

MARIA RODZIEWICZÓWNA

NIEOSWOJONE

PTAKI

**OPRACOWANO NA PODSTAWIE EDYCJI WYDAWNICTWA POLSKIEGO
W POZNANIU**

I

Z wesołego obiadu w gronie kolegów malarzy Jan Stankar wracał do domu. Oni jeszcze zostali przy kieliszku i cygarach, on spojrzał na zegarek i, jakby przerażony, że tak długo zabawił, zerwał się i wziął za kapelusz.

— Do żony ci tak pilno! — ktoś zażartował.

Ruszył ramionami.

— Mają przysłać po ilustracje — odparł znudzonym głosem. — Zresztą dwa dni nie byłem w budzie, trzeba zajrzeć!

I wyszedł szybko, bojąc się żartów, a może pokusy pozostania.

— Potrzebna mu była baba i bachory, jak kojec dla sokoła — posłyszał jeszcze uwagę Franka Poraja.

Na ulicy mrok już ogarniał kąty. Była wiosna, ale jeszcze naga i chłodna, drzewa ledwie pękały po skwerach.

— W Sorrento śniegiem kwitły kamelie! — przypomniał sobie opowiadanie kolegi Mareckiego, który wracał z Włoch właśnie i bawił ich wrażeniami z podróży.

Szedł z rękami w kieszeniach i głową zwieszoną, z uczuciem nieznośnej nudy i rozdrażnienia. Kamienica, do której wszedł wreszcie, stała w ciasnej uliczce, była odrapana i brudna, schody wąskie, strome, ciemne. Zewsząd wydzierały się na nie wyziewy ubogich kuchon, mydlin i pleśni, spotykał kucharki mniej niż eleganckie i czyste, wiodące z sąsiadkami rozmowy i kłótnie o klucz od strychu, i piał się wyżej i wyżej, aż na trzecie piętro.

Tam zadzwonił do prawych drzwi, spoza których rozlegał się wrzask dziecka, tak przeraźliwy, że świdrował

w uszach.

— Ja ją uspokoję! — zamruczał, marszcząc brwi. Otworzono drzwi. W ciemnej sionce zamajaczyła postać kobieca, która, ujrawszy go, cofnęła się bez powitania.

— Czy to dziecko nigdy nie cichnie! — zawołał niecierpliwie. — Można je znienawidzić lub oszaleć.

Zdjął palto i cisnął je na kufer, stanowiący całe umeblowanie sionki, i wszedł na prawo do dużego ciemnego pokoju.

Tam to, w jakimś mrocznym kącie, wrzeszczało dziecko. Ucichło w tej chwili jak czarem, widocznie na ręku matki.

— Gdzie lampa? — zawołał w ciemności.

Wtedy kobieta przemówiła, wychodząc do drugiego pokoju:

— Masz ją na twoim stole. Zapal sam.

Głos był wdzięczny, młody, ale brzmiał bezmiarem znużenia i apatią.

Mrucząc gniewnie, zapalił lampę. Pokój był duży, wąski, zastawiony różnymi sprzętami, gdyż służył jednocześnie za jadalnię, salon i pracownię.

Wraz z sypialnią i kuchnią stanowił całe mieszkanie rodziny Stankarów, składającej się z męża, żony i dwuletniej córki.

Malarz spojrzał na stół, zarzucony przyborami malarskimi, i sięgnął po list, który snadź przyniesiono w czasie jego nieobecności.

Czytał, twarz mu się poczęła rozjaśniać, promienieć, zapal napełniał oczy.

— Tolu, wiesz kto przyniósł ten list? — zawołał, zwracając się ku drzwiom sypialni.

— Listonosz, wczoraj! — odparła młoda kobieta, ukazując się w progu. Nie wiadomo, jakim cudem uśpiła

dziecko.

— Tyś dopiero stworzona na Egerię! — wybuchnął niecierpliwie. — Otóż, jak zwykle, mylisz się. List ten przyniósł mój dobry geniusz.

Kobieta zbliżyła się w krąg światła. Była bardzo młoda, smukła, zgrabna i uderzającej piękności twarzy, gdyby nie wielka chudość i bladość i wyraz znudzenia i zmęczenia, który ją szpecił i postarzał.

— Więc to pieniądze? — rzekła obojętnie. Zaśmiał się pogardliwie.

— Pieniądze! Więc ty znajdujesz, że mój geniusz nosi zatłuszczony miśszek, a moje marzenie — liczy brudne asygnaty.

Trochę krwi wystąpiło na mizerną twarz kobiety. Chciała coś odpowiedzieć żywo, ale zmarszczyła tylko brwi i odparła prozaicznym pytaniem:

— Czy podać ci obiad?

— Dziękuję. Dosyć wachać na schodach te preparaty, żeby stracić smak, a dostać wstręt!

Kobieta jak automat zwróciła się do sypialni. Wtedy on, rozdrażniony jej chłodem, zerwał się, zmiął list gwałtownie i cisnął go jej pod nogi.

— Masz, depcz, jakieś mi wszystko podeptała! — krzyknął z wybuchem wściekłości.

Kobieta usunęła się — stanęła — i nie straciła cierpliwości.

— Dobij mnie zatem, niech raz będzie tej męce koniec! — zawołała rozpacznie. — Będziemy oboje wyzwoleni!

— Ty! Więc i ty masz aspiracje jakieś, więc ja ciebie krępuję. Duch zapoznany i udęczoney! Cha, cha! Więc to ty jesteś ofiarą. Dałaś mi takie bajeczne szczęście, a ja jestem nienasycony tyran, ludożerca, kat!

— Nie, tylko lekkomyślnik, fantastyk i egoista. Kłamałeś mi kiedyś miłość — wierzyłam ci; przysięgałeś mi opiekę i szczęście, nie dotrzymałeś przysięg. Teraz niczego od ciebie nie pragnę, nie wymagam, tylko najelementarniejszej delikatności i spokoju, i tego mi nie dajesz! Czegóż wreszcie chcesz ode mnie, com ci zawiniła, w czym ci dokuczam? Widujesz mnie tylko wtedy, gdy sam chcesz, nie słyszałeś dotąd słowa skargi lub wyrzutu.

— To się skarż, wyrzucaj, mów! Albo ci bronię! Nawet ciekawy jestem, co ty możesz mieć do mnie za pretensje.

— A jakichże mieć nie mogę? Coś ty mi dał?

— Dałem ci moją swobodę i wolność. Coś ty z tego zrobiła, co ja mam w zamian. Tę przeklętą, brudną budę, to wścikłe, wrzeszczące dziecko i twoją wiecznie skrzywioną twarz. Ze zgrozą myślę, że do tego domu muszę iść!

— Gorsza zgroza z tego domu nigdy nie wychodzić, jak ja. Buda jest przeklęta i brudna, bo w niej mieszka niedostatek, dziecko jest płaczące, bo chore ze złego odżywiania i powietrza, a ja mam twarz jak to otoczenie, życie i ściany, wśród których lata mi płyną. Słońce tu nie bywa!

Ale to mieszkanie, dziecko i byt — tyś mi stworzył — i tak wygląda szczęście i raj, o którym mi opowiadałeś kiedyś — tam — w Ługach. A ja temu co winna? Wrócić tam nie mogę, iść nie mam gdzie, uwolnić ciebie od siebie, jak? Tylko śmiercią!

W tej chwili dziecko płakać zaczęło. Kobieta weszła do sypialni, pochyliła się nad łóżeczkiem i gorącą, suchą dłoń położyła na główce.

Była tak znękana i zubożniała na wszystko, że nawet słowa ni pieszczoty nie znalazła dla dziecka, które

wiedziała że płakało z głodu. Od trzech dni Stankar nie był w domu, a zostawił w stoliku dwa bilety na dwuzłotowe obiady i dziesięć złotych gotówką.

Pieniądze poszły na zapłacenie rachunku piekarza. Obiad czekał na niego co dzień. Wczorajszy przygrzewany rano, dostało dziecko, ale od południa zjadło tylko suchą bułkę i herbatę. Obiad czekał na ojca.

— Mamusiu, daj Jance mli–mli! — ozwało się dziecko żałościwie. Matka pogładziła ją po włosach.

— Będziesz cicho czekać aż wrócę — dobrze? To ci przyniosę zupy! — szepnęła.

— Będzie Janka cicho, będzie!

Stankarowa wyszła do kuchenki i poczęła przygrzewać jedzenie. Mąż chodził po pokoju, tu i tam, nierówno, jak dziki zwierz w klatce. Od czasu do czasu potraçał sprzęt jaki i kłął.

Na każdy taki wybuch kobieta wzdrygała się nerwowo i spoglądała na drzwi, czy nie wejdzie, potem znowu bezmyślnie wpatrywała się w płomyk naftowej kuchenki.

Wreszcie zupa była gorąca. Wylała ją do talerza i poniosła dziecku.

Posadziła je na kolanach i karmiła machinalnie.

Wtem Stankar stanął w progu.

— Pić mi się chce! — rzekł. — Masz piwo?

Potrząsnęła głową.

— To mi go sprowadź.

— Daj pieniędzy to sama przyniosę. Wiesz przecie, że służąca odeszła w zeszłym tygodniu.

— To się jej nie dziwię, a zazdroszczę, że się z tej nory wyzwoliła.

Kobieta podniosła głowę, popatrzyła na niego, i roześmiała się. Było to coś tak niesłychanego, śmiech na jej

ustach, że on się stropił.

— Cóż to znowu. Zwariowałaś. Czego się śmiejesz!

— Narzekaleś, że zawsze skrzywiona, więc się śmieję! Powinieneś być rad — odparła, wstając.

— To są żarty, godne ciebie! Dlaczegoż dotychczas nie postarałaś się o drugą służącą.

— Dla dwóch kardynalnych racji. Po pierwsze, że nie chcę mieć świadka scen, które tu się dzieją, i być pośmiewiskiem całej kamienicy, po drugie, że poprzednia nigdy nie dostawała zasług w porę — i na ciągłe upokorzenie z tego powodu nie chcę się narażać powtórnie.

— Jak sobie chcesz. Służ tedy sama, hrabino! Takis olbrzymi wniosła posag!

Teraz on się roześmiał i, dobywszy z kieszeni garść miedzi i srebra, rzucił na stolik.

— Przynieś sześć butelek piwa — rozkazał, wychodząc.

Stankarowa zaczęła usypiać dziecko. Nie była to łatwa sprawa.

Dziewczynka protestowała ile sił i mocy. Było to stworzenie uparte i grymaśne, nieprzystępne żadnej prośbie ni groźbie, gdy się raz zbuntowało.

Ułożona w łóżeczku, wierzgała, kręciła się, odpychała matkę i aż sinią z płaczu i krzyku.

Stankar usiadł do roboty. Ilustrował jakąś powieść, potrzebował skupienia i spokoju, gdy go ten krzyk poderwał.

— Cicho! — zawołał, porywając się za głowę.

Ale dziecko, jeśli możliwe, wrzeszczało jeszcze głośniejsze. Wtedy on cisnął ołówek, zerwał się, wypadł do sionki, chwycił kapelusz i palto i uciekł, czując, że gdyby pozostał, popełniłby chyba kryminał. W pół godziny potem Stankarowa zdołała uspokoić dziecko. Stała chwilę na

środku pokoju, zdumiona, że przecie jest cicho, i zaraz przypomniała sobie polecenie męża.

Zwykle nieśmiała i lękliwa do miasta i ulicznego gwaru, teraz z zadowoleniem pomyślała o wyjściu. Ubrała się żywo i zbiegła szybko ze schodów.

— Wiosna już! — pomyślała, wychodząc na ulicę.

I oto stało się coś dziwnego. Nic ją zda się poruszyć nie mogło, nic zająć, rozrzewnić, wydobyć z duszy dźwięk, z oczu łzy. Ale na tę myśl, poczuła, że jej serce zadrgało i ścisnęło się gardło łagodną żalnością.

— W Ługach już sady kwitną i pachnie ziemia. Żaby rechocą w księżycowe wieczory — i życie młode kipi. Jaki gwar tam — w ciszy!

Przycisnęła rękę do piersi, spojrzała w górę, i łzy się rzuciły do oczu.

— Mój Boże, godzinę tam być, a odżyję, i wszystko zniosę. Godzinę tylko, godzinę! — szepnęła błagalnie.

Jakiś przechodzień spojrzał na nią, ocenił — i stanął.

— Czy pani się zbłąkała? Może przeprowadzić! — rzekł.

Jak spłoszone dzikie zwierzę poskoczyła naprzód, zbudzona brutalnie z chwili marzenia. I w jednej chwili wrócił jej lęk ludzi, wstręt do ulicy i tłumu. Biegła prawie, śmiertelnie wystraszona, bo czuła instynktem, że jest ścigana przez rozpustnego próżniaka, któremu wpadła w oko.

Dogonił ją i usłyszała cyniczny głos:

— Bardzo widocznie pani spieszo. Po nocy takim pięknym panienkom nie godzi się chodzić bez towarzystwa i opieki. Dokąd pani idzie? Czy ktoś czeka i wygląda, czy wracamy już?

Nie odpowiadając, skrzyła w boczną ulicę, zapominając

po co wyszła, czego szuka, leciała na oślep, byle uciec. Ale napastnik nie ustępował, słyszała jego kroki i pogwizdywanie operetkowej aryjki.

Po dobrym obiedzie wyszedł snać bez celu, na spacer, i ściganie spokojnej kobiety założył sobie jako uprzyjemnienie wieczoru.

Ulice były prawie puste, a Stankarowa w swym przerażeniu zamiast kierować się ku ludniejszym, skręcała w coraz samotniejsze. Wreszcie naprawdę straciła pojęcie, gdzie się znajduje. Nagle z narożnego szynku o dziesięć kroków przed nią wyszła na ulicę gromadka pijanych wyrobników, śmiejąc się i pokrzykując. Wtedy, zewsząd otoczona, stanęła, tuląc się do ściany. Napastnik z tego skorzystał. Przysunął się już, pewny swego, i poufale wziął ją pod rękę. Szarpnęła się ze stłumionym okrzykiem i rzuciła się naprzeciw gromady pijaków.

W jednej chwili była otoczona, obrzucona gradem grubych żartów i dowcipów. Zawróciła tedy i uciekała ścigana przez dwóch, podczas gdy inni gwizdali, cmokali, podniecali ścigających okropnymi conceptami. Szczęściem na drugim rogu stał policjant i przechodnie snuli się gęściej, była uratowana. Zatrzymała się sekundę, aby tchu nabrać, gdy wtem spostrzegła, że pierwszy napastnik, wytrzymały, szedł za nią i opodal stał, czatując, kiedy się oddali od stróża porządku publicznego.

Rozpacznie obejrzała się za dorożką i podeszła do stójkowego. Obejrzał ją od stóp do głowy, a gdy nie odchodziła, spytał:

— Co wam potrzeba?

Chciała go poprosić o opiekę, ale się zlekła cyrkułu, protokołu, sprawy, a zresztą, jak oskarżyć o napaść człowieka, który stał spokojnie i oglądał wystawę

spożywczego handlu.

Spytała tedy o drogę do domu.

Policjant objaśnił ją, wskazał ulicę, nie było powodu dłużej pozostawać. Jeszcze raz poszukała oczami dorożki, westchnęła ciężko i poszła. Ale już jej sił zbrakło, by uciekać, więc ledwie minęła kilka kamienic, napastnik był już obok i, coraz natarczywszy, coraz zuchwalszy narzucał propozycje, targował ją, stawiał cenę. Wtem ukazała się wolno wlokąca dorożka. Kobieta zawołała, wskoczyła do środka, i czując się wreszcie uratowana, rzuciła adres. Dorożkarz rad z bliskiego kursu, konia zaciął, w turkocie nie posłyszał krzyku kobiety. Napastnik w biegu wskoczył za nią i brutalnie wpół ją objął.

Odepchnęła go i nieprzytomna ze zgrozy wyskoczyła na ziemię. Upadła na bruk, poczuła okropny ból głowy i ręki, zerwała się jednak, umknęła na chodnik, i wpadła w pierwszą bramę, pod nogi wychodzącej na ulicę kobiety. Tamta się usunęła.

— Można patrzeć przed siebie i nie potrącać! — rzekła.

— Mój Boże, to pani! — zawołała Stankarowa.

— Co się stało? Do nas pani idzie?

— Bóg mi panią zesłał. Przez litość, proszę mnie do domu odprowadzić!

— Ale co się stało? Ma pani krew na twarzy.

— Upadłam, potłukłam się. Jakiś drab mnie gonił! Niech mnie pani nie opuszcza!

— Ależ pani ledwie na nogach stoi. Proszę do nas wstąpić, odpocząć!

— Dziękuję, nie mogę. Dziecko samo zostało — i mąż czeka na piwo. Muszę wracać spiesźnie. — Mówiła gorączkowo, czując, że jej siły uchodzą z bólu i zmęczenia.

— A no, to chodźmy — odpowiedziała wybawicielka,

kobieta już niemłoda, energicznie wyglądająca. Wzięła ją pod rękę i prowadziła gderząc.

— Co za sens wychodzić tak późno, samej jednej, gdy się nie zna miasta, i jest się takim tchórzem, a no i taką ładną. Mnie nikt nigdy nie zaczepił, natura mnie zaasekurowała od podobnych wypadków, ale nie pojmuję, jak się można bać i uciekać. Ja bym mu powiedziała parę słów takich, że odpadłaby go ochota od napaści na długo. Co pani? Słabo?

— Zdaje mi się, że zwichnęłam rękę padając. Strasznie boli. Czy jeszcze daleko?

— Sto kroków. Mocno się proszę oprzeć na mnie. Mogę panią unieść całą na rękach.

Wtem Stankarowa zadrżała i cofnęła się.

— Boże, on znowu. Tam stoi, widzi pani, przy bramie i czatuje. Powiedziałam adres dorożkarzowi.

— Nie bójże się pani ze mną. To ten! Podniosła głos, korzystając, że było pusto.

— Taki podlec, to nawet na złodzieja się nie zdał, bo do tego fachu trzeba odwagi i strach kary. Czy nie lepiej napadać na kobiety bezbronne. Bardzo honorowy proceder. Małpa taka, której pomywaczka by nie chciała, wyobraża sobie, że byle raczył wybrać kobietę, już ją zdobył. Po szynkach się walał całe życie, i po sobie ludzi sądzi — bydlę brudne!

Napastnik wysłuchał wszystko i uznał zapewne naganę za chybioną, bo szybko przeszedł na drugą stronę ulicy, i zniknął, a energiczna kobieta rzekła triumfująco:

— Widzi pani! Tak go trzeba było przyjąć, zamiast uciekać. No — droga wolna.

Ale i siły Stankarowej były wyczerpane. Oparła się o bramę i szepnęła:

— Dziękuję pani za opiekę. Teraz muszę iść po piwo.

— Tak, do bawarii, między pijaków. Jeszcze lepiej. Idź pani na górę, stróż piwo przyniesie.

Wywołała cerbera i w dwa słowa załatwiła interes, potem prawie zaniósła Stankarowa na trzecie piętro.

Co dalej się z nią działo, nie pamiętała biedna kobieta. Gdy Stankar dobrze po północy wrócił do domu, zdziwił się mocno, gdy mu otworzyła nieznajoma kobieta. Nie czekając pytania, rzekła:

— Czekałam, aż pan wróci. Jestem Zarębianka, znajoma żony pana. Odprowadziłam ją do domu, ma zwichniętą rękę, poranioną twarz i stłuczony bok prawy. Doktor był, rękę nastawił — no — i piwo pan ma. Dobranoc, przyjdę jutro rano dzieckiem się zająć, bo chora dobrze jak za tydzień wstanie.

Powiedziała to prędko, ubierając się i zanim z podziwu zebrał się na odpowiedź, wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Zapalił świecę i wszedł do sypialni. Kobieta leżała nie śpiąc, przygotowana na scenę gniewu i wyrzutów. Rękę prawą miała w bandażach i skroń ze skóry odartą, rozszerzonymi bólem oczami wpatrywała się w niego.

— Ładnieś się urządziła! Co to? Wpadłaś pewnie pod dorożkę?

— Napadł na mnie jakiś pijak, gonił, ścigał! Wzięłam dorożkę, on za mną wskoczył. Uciekałam, padłam na bruk — opowiedziała urywaniem szeptem.

Ruszył niecierpliwie ramionami.

— Ten dopiero miał za kim się uganiać — mruknął pogardliwie. — A z ciebie też typowa geś wiejska. Ciekawym, co teraz będzie. Do wszystkich przyjemności domowego ogniska przybędzie mi niańczenie tego opętanego dziecka. Tfu!

Splunął, wyszedł z sypialni — i usiadłszy przy swym stole wziął głowę w ręce, i pogrążył się w ponurej zadumie.

I nie wiadomo, które było nieszczęśliwsze, bardziej znękanę dolą z ich dwojga — połączonych na życie wielką miłością!

II

Łużyccy na Ługach siedzieli już dawniej jak sięga pamięć ludzka. Jak się im wiodło i czym się odznaczali, o tym także nie pisano kronik, zapewne nie byli wielcy, ni sławni, i nie nęcił ich szeroki świat, ani rządy Rzeczypospolitej, dopiero w ostatnich czasach Stanisław Łużycki wyemancypował się z tradycyjnego domatorstwa swojej rodziny, schedę swoją bratu Kazimierzowi ustąpił, spłatę wziął, i wieści o nim nie dochodziły.

Ów tedy Kazimierz na Ługach pozostał, nie ożenił się, stosunki z ludźmi pozrywał, wyszedł na dziwaka i w swoich Ługach szczególnie się urządzał. Przedewszystkim, gdy tylko uwłaszczono włościan, przestał uprawiać grunty. Gdzie chciał rosnać las, tam rósł, gdzie nie, całe łany leżały odłogiem. Ługi stały się dziczyzną i stepem, po którym pasła się stadnina pana Kazimierza, jedyne źródło dochodu i amatorstwo właściciela.

Następnie, żeby się zupełnie ubezpieczyć od sąsiadów chłopów, dwór cały otoczył wysokim murem — zamknął w ten obręb folwark i dom, sady i ogrody — i zamczystymi bramami opatrzył. Ale że sadów nikt nie oglądał, a dzikich drzew nikt nie krzesał, cała ta osada po latach niewielu stała się masą gęstwiny splątanej, rozczochranej, dowolnie bujającej. Stadnina uczyniła kopytami drogę do folwarku, nieliczna służba przetarła ścieżki do krynicy i lamusu, do grząd warzywa i drwalni. Zresztą dom był niewidzialny w bzach, chmielach i wybująłych chwastach.

Pan Kazimierz spełnił w ten sposób marzenie swego życia.

Nie potrzebował chłopskiej łaski i uchronił się od chłopskiego łupiestwa. Nie zatruwała mu życia troska o deszcz i pogodę, o ceny zboża, nadużycia i oszustwa oficjalistów. Dochód z koni i poręb leśny zaspokajał podatki i wydatki, a nawet można było trochę na czarną godzinę odłożyć. Ludzie nie nawozili panu Kazimierzowi plotek i pustej wrzawy, nie miał spraw i procesów, i był naprawdę panem w swym państwie.

Czworo służby podzielało jego gusta i samotność. Na czele bezdzietne małżeństwo, w którym żona była kucharką, gospodynią i trochę despotyczną panią całego dworu, a mąż stał na czele hodowli koni i zarządu majątkiem.

Trzecim był jednooki Franek, strzelec i leśniczy, a czwartym głuchonieme faktotum, Marek. Ten nie miał nazwy, ni fachu — i dlatego robił wszystko — więcej, niż tamtych troje, a gospodyni Florianowa pilnie dawała baczenie, by mu nie zostawić czasu na myślenie, protest i odpoczynek. Kilku koniuchów i stajennych parobków, rekrutowanych bardzo starannie i płatnych bardzo dobrze, stanowiło wraz z babą pomywaczką cały garnizon tej szczególnej fortecy.

Pan Kazimierz prowadził życie czynne i ruchliwe. Wstawał o świcie, dzień cały spędzał w stajni lub lesie, jadał mało, pił tylko wodę, nie palił tytoniu, nie odzywał się dużo, ale rygor umiał utrzymać i był kochany przez swych podkomendnych.

Wieczorem czytywał w swym gabinecie — otoczony psami i różnym chowanym dzikim zwierzem.

Wysoki był, suchy i nerwowy — nie znał co choroba, z usposobienia dobry, chociaż pozór miał szorstki, mowę twardą, a sąd surowy.

Bardzo rzadko, parę razy do roku, pan Kazimierz przestępował granicę Ługów, zwykle pieszo, ze swego lasu wstępował do dworu, który z nim graniczył — do Brzezickich.

Podżartowywano w sąsiedztwie, że się w Brzezickiej kochał, gdy była panną i że afekt w sercu zachował. Jeśli tak było, to go litość ciągnęła do dawnej bogdanki.

Brzezicki był chorowity, interesy w opłakanym stanie, cały ciężar na barkach i głowie kobiety.

W pięć lat po ślubie Brzezicki umarł, zostawiając jej ruinę finansową i trzyletniego Michasia, którego pan Kazimierz do chrztu trzymał.

Myślano, że się pobiorą po skończeniu żałoby, ale wdowa sprowadziła do domu starą kuzynkę, najgorszą plotkarkę z całej okolicy i borykała się dalej sama z biedą, przy fikcyjnej pomocy rady rodzinnej.

Jak poprzednio, pan Kazimierz parę razy do roku przychodził na chrześniaka popatrzeć, posiedzieć u komina lub na ganku godzin parę, zawsze na oczach ciekawej, szpiegującej kuzynki, która przy wysokiej cnocie, chciwa i łakoma skandalu, nazwała go wreszcie ciemną i gburem i traktowała lekceważąco.

Raz przecie, w chwili bardzo finansowo ciężkiej — wzruszona troską Brzezickiej, a oburzona egoizmem Łużyckiego, ostro mu docięła.

— Mógłby też pan przez wzgląd na dziecko poradzić wdowie, zamiast milczeć i końce swych butów oglądać.

— Radziłem raz, więcej słowa nie powiem!

— Ciekawam tej rady?

— Żeby się jak ja urządziła, zamiast pracować dla chłopów i lichwiarzy. Na ciężkie roboty skazują, na kryminały — ale żeby kto dobrowolnie sam siebie na to

skazywał, to absurd i wariacja. Ja nie psychiatra!

— Bardzo się pan delikatnie wyraża. Tak to pan pojmuję obywatelskie obowiązki! Winszuję.

— Nie inaczej i dobrze mi z tym.

— Zapewne, egoistom zawsze dobrze.

— Egoista jest ten, kto innych dla siebie wyzyskuje — ja tylko nic nikomu nie daję — i nie dam!

To powiedziawszy, odszedł, sztywnie jej się skłoniwszy, i długi czas się nie pokazał.

Istotnie Łużycki nic nikomu nie dawał.

Na żadną dobroczynną składkę, na żadną instytucję, na żadne kościoły i pomniki, a odpowiadał na wezwanie zawsze jedno:

— Czy to nakaz? Nie. Więc odmawiam. Do niczego nie należę i należeć nie chcę!

Z czasem był źle notowany i miał najgorszą wśród współobywateli opinię — nikt do niego nie zajeżdżał. Był temu bardzo rad i coraz bardziej zasklepiał się w swej samotności z naturą i księgami.

Pewnej jesieni pan Kazimierz czytał w swym gabinecie, skończywszy dzienne zatrudnienie i odprowadziwszy Franka strzelca, z którym omówili jutrzejsze polowanie.

Ogień się palił w ogromnym staroświeckim kominie, psy faworyty spały na wilczych i niedźwiedzich skórkach, za oknem ponuro jesienny wicher szumiał, przy wielkim stole pan Kazimierz gazety przeglądał, a wielką ciszę tej samotni przerywał tylko świerszcz w szparze komina, ułożony na zimowe leże, trzaskanie ognia i czasem mruczenie senne wyżlicy Dżwiny, do której boku przytuliły się dwa podżare taksy, i zawsze czujne, przezierały co chwila rozumne oczy, pilnując, czy pan nie wychodzi.

Nagle, jeden z nich. Mrówka, podniosła trochę uszy i

pysk do góry, nasłuchując i poczęła mruzczeć. Był to sygnał dla zapalczywego Trzmiela, jej towarzysza. Nie zadając sobie trudu spytania o rację, ani słuchania, ni węszenia, porwał się od razu z przeraźliwym szczekaniem.

Szczekanie to, które wyprowadzało z cierpliwości borsuki i lisy, że z nor się przed nim wynosiły, poruszyło też pana Kazimierza.

— Będziesz cicho, piszczałko — krzyknął.

Pies przyczał się i umilkł na sekundę, ale że mądra Mrówka poszła, mrużąc i węsząc ku drzwiom, i on za nią podreptał, kolebiąc się na swych krzywych łapach, nos w szparę wetknął i na nowo alarm podniósł.

Dźwina także podniosła głowę i zbyt wielka dama, by krzyżeć, patrzyła tylko ku drzwiom, powoli poruszając ogonem i dając przez to znać, że czuje kogoś znajomego, gdy taksy bez względu na to, kto szedł, protestowały energicznie przeciwko przerwaniu im snu, a panu czytania.

Teraz już i pan Kazimierz słyszał, że ktoś się zbliżał i poznał ciężki krok towarzysza. Odłożył gazetę i zrobił ruch, jakby do harapa, który wisiał na poręczy fotelu, dobrze snąć znany taksom, bo w tej chwili szmyrgnęły pod kanapę, zaszyły się bezpiecznie, i wytknąwszy tylko dwa nosy czarne i lśniące jak trufle, dalej ciągnęły swój przeraźliwy duet.

W tej chwili zapukano do drzwi.

— A co tam, Florianie? — spytał pan Kazimierz.

Drzwi się otworzyły, wszedł Florian, na bok się usunął przed żoną, która coś niosła dużego na rękę a twarz miała od łez czerwona.

— Proszę pana, nieszczęście się stało, pan Stanisław umarł! — rzekł głucho Florian.

Łużycki się zerwał.

— Skąd wiesz? Kiedy? Gdzie?

— W zeszłym tygodniu w Rydze. Tydzień chorował.

— Ale skąd wiesz? Była depesza? Dawaj!

— Człowiek stamtąd przyjechał, Łotysz — jego służący, i przywiózł dziecko!

— Jakie dziecko?

— Pana Stanisława córeczkę. Zdrowiutką przywiózł, niech pan zobaczy!

Odchylił chustkę na rękach żony, i ujrzał pan Kazimierz różową twarz śpiącego dziecka.

Machinalnie palcem do policzka dotknął, jakby przekonać się chciał, że nie śni, ale Florianowa wreszcie opanowała swe wzruszenie i odzyskała mowę:

— Co pan robi? Szturga, jak psiaka, jeszcze w oko trafi!

I, ogarnąwszy silniej dziecko rękami, pochyliła się nad nim z taką czułością i uszczęśliwieniem, że jakby cała jej dusza rozpromieniła się macierzyństwem.

A pan Kazimierz, ochłonąwszy, badał dalej.

— Pan Stanisław kazał mnie dziecko oddać? A matka?

— Matka umarła przy urodzeniu. Łotysz u nich pięć lat służył. Gada, że mu pan Stanisław zapisał meble i wszystko, co miał, byle dziecko do nas odwiózł. Łaska boska nad nim, że taki chłop niezgrabny w drodze go nie zamorzył.

— Gdzież ten człowiek. Ma list? Papiery?

— Ma wszystko. Został u nas w mieszkaniu.

— Wołajcie go tutaj.

Florian wyszedł, a pan Kazimierz do kobiety się zwrócił.

— Jakże to będzie? Trzeba jej mamki, myślę?

— Jezus Maria! Toć ma półtora roku!

— Aha, to cóż trzeba? Niańki?

— A ja to nie potrafię? Prędeż mi ręce pousychają, niż

obce ręce jej się tkną. Ot co, trzeba kołyski, pościółki, ciepłego mleczka, jak się obudzi. Ja ją tu u pana zostawię, bo tu najcieplej, a sama się zakrzętam. Niech no pan potrzyma, tylko delikatnie.

Oszołomiony zupełnie pan Kazimierz, wziął niezgrabnie na ręce dziecko i obejrzał się, gdzie by je ulokować. Nigdzie mu się nie zdało lepiej, niż przed kominem na skórach. Było tam najmiękczej i najcieplej. Złożył tedy ostrożnie pakiet żywy na kilku skórach i, przykleknąwszy, przypatrywał się śpiącemu dziecku. Z równą ciekawością i zdziwieniem, ale przyjaźnie i życzliwie przyglądały się tej nowinie wszystkie trzy psy.

Obeszły wokoło, obwąchały, obejrzały, przekręcając głowy i mrużąc oczy, i wreszcie pokładły się wokoło, jakby łaskawie przyjmowały przybysza do swej szanownej kompanii.

Pan Kazimierz się pochylił i dziecko pocałował, potem wstał, słysząc kroki.

Florian wprowadził Łotysza.

Był to człek lat średnich, brzydki, dobrodusznie patrzący.

Roześmiał się, szeroko roztwierając usta, i rzekł łamaną rusczyzną, w której połowa była niemiecczyzny i łotewskiej mowy.

— Maleńka pani dojechała zdrowo, dzięki Bogu. O, bardzo to daleko — ledwiem trafił. Oto są papiery, które mi pan kapitan zostawił — trochę zamokły. Nie wiedzieć, co było od deszczu zakrywać — torebkę, czy dziecko. Już czwarty dzień jestem w drodze.

— A brat mój kiedy umarł? Dlaczego mnie nie wezwano? Nagły zgon?

— Dobrą śmierć miał, lekką. Przeziębził się na rewizji w

porcie, bo oto z Petersburga był kontroler, i galowy mundur pan kapitan włożył. Zaraz też na trzeci dzień doktor powiedział, że będzie z nim źle. Wtedy mnie to zawołał, kazał sprowadzić pana sędziego Bruna, z którym był w przyjaźni — i tak przy nim do mnie powiada: „Ty, Hans, jak tylko umrę, zabierzesz tę ceratową torbę z mego biurka, sto rubli, co tu leżą, upakujesz ciepło dziecko, i odwieziesz je do mego brata; masz tu wypisaną marszrutę. Jak to spełnisz, proś mego brata, by ci dał świadectwo, żeś dziecko zdrowo i cało mu wręczył, a z tym świadectwem zgłosisz się do sędziego Bruna, który ci za to odda całe umeblowanie mieszkania, jako też moje ubrania i bieliznę. Mam nadzieję, Hans, że mi nie odmówisz tej ostatniej usługi?”

— Spełnię akuratnie, panie, pan sędzia świadkiem — ja mu odpowiadam.

Bardzo się ucieszył i zaraz pan sędzia Brun ułożył w torbę wszystko, co pan kapitan kazał, a potem mnie odprawili i zaczęli ze sobą gadać i pisać, a ja zaraz poszedłem do żony i zacząłem się uczyć, co to z takim dzieckiem robić w dalekiej drodze, żeby nie zmarło.

— Kiedy umarł mój brat? — przerwał pan Kazimierz.

— Zeszłej niedzieli. Gdy oddał Bogu ducha, zaraz mi pan sędzia Brun oddał torbę, pieniądze i dziecko i zaraz kazał jechać. Pokornie proszę pana o świadectwo, żem spełnił, com obiecał, i na legat zasłużył. Jutro o świcie chcę odjechać z powrotem.

Pan Kazimierz odebrał z jego rąk torbę opieczętowaną i, milcząc, napisał mu żądany dokument. Potem otworzył biurko i wraz ze świadectwem podał mu sto rubli.

Łotysz rozpromienił się jeszcze bardziej, i wszystkie zęby wyszczerzył.

— Dziękuję panu i życzę, żeby się maleńka pani wychowała zdrowo i szczęśliwie panu na pociechę. Jeszcze ją na pożegnanie pocałuję!

Zaraz, jak wszedł, Florian dziecko z ziemi podniósł, i trzymał na rękach zapatrzone, jak w obraz cudowny. Zadyszana wpadła też Florianowa, oznajmując, że wszystko gotowe, i nie pytając pana, zabrała ten żywy skarb ze sobą. Florian i Łotysz wyszli za nią i znowu jak przedtem, pan Kazimierz sam pozostał i zadumał się, patrząc na leżącą przed nim torbę opieczętowaną.

Z bratem poróżnili się od dawna, gdy tamten z kraju wyszedł, a zerwali zupełnie stosunki, gdy tamten stanął do służby. Pan Kazimierz listownie go ostro skrytykował, tamten się obraził, i przestali do siebie się odzywać, o małżeństwie brata dowiedział się przypadkowo — z gazet — o śmierci żony nie wiedział wcale — jako też o istnieniu dziecka, i oto — już ich obojga nie było.

Jednakże on — jego zasady wygrały, kiedy brat jemu odsyłał dziecko, nie rodzinie żony, i nie komu z nowych przyjaciół i kolegów.

— Poczekaj — mruknął do siebie pan Kazimierz — kiedyś mi rację przyznał, wychowam twą córkę tak, by żyć za granicą Ługów nie potrafiła. Będzie dziki ptak, nie da się oswoić nikomu!

Nazajutrz raniutko odwiedził pan Kazimierz swoją pupilkę. Zastał ją na rękach głuchoniemego Marka, gdyż Florianowa zajęta była w kuchni.

Dziecko przywykło snąć w swym krótkim życiu do obcych i coraz nowych twarzy, bo się śmiało i pokrzykiwało radośnie, bynajmniej nie przestraszone nieznanym otoczeniem, i na wezwanie stryja wyciągnęło do niego rączki.

Zawołał Florianowa i oznajmił jej swą wolę:

— Hartujcie ją, karmcie dobrze i w niczym się nie sprzeciwiajcie. Niech rośnie wolno i swobodnie. Zostawię ją wam do czterech lat, a potem pójdzie do mnie na naukę. Antonina ma na imię.

— Wiem, Łotysz mówił, że ją nieboszczyk Tołą nazywał. Ale przecie pan nie myśli uczyć ją czytać w cztery lata. Jezus Maria — z tego dziecko zamrzeć gotowo.

Dziecko w tej chwili wyciągnęło ręce do Dźwiny, aż się przegięło całe, więc pan Kazimierz rzekł radośnie:

— Będzie zuch dziewczyna — bo lubi psy.

Tola nie zawiodła tej nadziei. Jakżeby zresztą nie miała lubić psów, kiedy od chwili, gdy pełzać zaczęła, byli to najlepsi przyjaciele i towarzysze. Suwała się po podłodze za Mrówką, a trzymając się grzbietu Dźwiny, nauczyła się chodzić. One też wyprowadziły ją pierwszy raz na boży świat, bo gdy wiosna nadeszła, a Florianowa jeszcze się bała dziecka na wilgoć i wiatr narażać, pewnego dnia Dźwina przemyślna otworzyła drzwi i Tola za psem wydreptała na podwórze i nuż się tarzać z taksem po świeżej trawie.

Florianowa ubóstwiała dziecko, ale jej życie pracowite nie dozwalało dużo czasu bawić się Tołą.

Dzieciak był wymyty, czysto ubrany, suto nakarmiony, ale siedzieć w izbie nie chciał, a że pan Kazimierz kazał woli w niczym nie krępować, więc Florianowa nie zamykała więcej klatki, ptaszek wyleciał na swobodę. Głuchoniemy Marek dostał polecenie pilnowania.

I tak ledwie dwuletnia, malutka Tola rozpoczęła życie czynu, ruchu i odkryć. Poznała podwórze i ptactwo domowe, za którym się Trzmiel uganiał, zawsze bezskutecznie, studnię ze skrzypiącym żurawiem, lodownię

w gąszczu, gołębnik i zawsze pod przewodnictwem psów wtargnęła do ogrodu. Tu dopiero był raj prawdziwy — murawy pełne fiołków, pierwiosnków i sasanek, drzewa osypane białym kwieciem, altany z chmielów, labirynty zdziczałych malin, w których ptaszki słały gniazda, same cuda i zachwyty.

W tej ciszy, pełnej śpiewu, w tej samotności barwnej i wonnej, chowało się dziecko, rozwijało i rosło zdrowe, i stało się dla całego dworu uciechą i zajęciem, i potrosze osią, wkoło której kręciły się myśli tej gromadki samotników i dziwaków. Każdy znalazł czas nim się bawić i starał się dogodzić. Głuchoniemy Marek wystrugiwał wieczorami drewniane narzędzia i zabawki, ponury Franek znosił jej z lasu pióra różnobarwne i żywe ptaki — poważny Florian huśtał ją na kolanach i opowiadał bajki, Florianowa miała zawsze łąkocie i pieszczoty, a pan Kazimierz spędzał czasem całe dni, chodząc za nią po ogrodzie, i cierpliwie odpowiadał na tysiące dziecinnych zapytań, i spełniał wszelkie zachcianki.

Wieść o istnieniu Toli przez usta służby rozeszła się po okolicy. Gdy się pan Kazimierz pokazał u Brzezickiej, obie panie zarzuciły go pytaniami, chciały koniecznie dziecko widzieć, zachwycaly się na niewidziane. Ale on nie okazał żadnego entuzjazmu, ani się z uczuciami nie zdradził.

— Jest małe! Nic osobliwego — śpi, je i krzyczy. Nie ma czym się pochwalić. Jak wyrośnie, to ją pokażę.

— Ależ to okropne tak dziko bez ludzi chować dziewczynkę. Powinien ją pan do nas przysyłać — bawiłaby się z Michasiem pod moim nadzorem — ofiarowała się kuzynka.

— Za mała dla niego. Ledwie chodzi. Niech się bawi z taksami. Dosyć dla niej!

— No, kiedy pan tak ją zazdrośnie w swej fortecy więzi — my przyjdziemy ją zobaczyć! — rzekła Brzezicka.

— Bardzo mi będzie miło — odparł Łużycki, bynajmniej nie zachwycony obietnicą.

Musiała to zrozumieć Brzezicka, bo odwiedziny pozostały w projekcie i Tola spędziła dwa lata w Ługach, nie mając pojęcia że jest ktoś więcej na świecie, oprócz stryja i czworga domowników.

Miała cztery lata, gdy ją pan Kazimierz zabrał od Florianowej i umieścił obok siebie w domu. Był z tego powodu bunt i protest gospodyni, złe humory i niełaska przez tydzień, ale gdy to w niczym nie zachwiało postanowień Łużyckiego, spokój domowy powrócił.

Od tej pory pan Kazimierz zaniechał polowania i pszczelarstwa, zobojętniał dla koni — cały swój czas poświęcił małej — i stał się pozornie dzieckiem, a dziecko pod jego kierunkiem nad wiek było rozwinięte.

Tego lata Brzezicka, mając do sąsiada ważną jakąś sprawę gospodarską, a nie mogąc się go długo doczekać — wybrała się pewnego dnia z kuzynką i synem na grzyby do łużyckiego lasu, i, będąc niedaleko dworu, postanowiła odwiedzić dziwaka.

Przyszły tedy do muru i, oburzając się nad takim marnotrawstwem cegły — doszły do bramy, szczelnie zamkniętej, na której obok dzwonka był napis:

„Bez ważnego lub urzędowego interesu wchód wzbroniony”.

— Czy nie wariat — szepnęła kuzynka. — Przecież to jest obelga dla sąsiadów i znajomych. Wróćmy, bo gotowi nas odprawić od bramy!

Ale Brzezicka już zadzwoniła, i po dość długim oczekiwaniu furtka się otworzyła, i stanął przed nimi

głuchoniemy Marek.

— Chcemy się widzieć z panem Łużyckim.

Niemy głową potrząsnął, uśmiechnął się i obejrzał. Ale Florianowa, która mu kazała otworzyć, odeszła, więc nie wiedząc, co czynić, usunął się i wskazał im ręką w stronę domu.

Kobiety weszły, rozglądając się ciekawie. Dom był nie widziany przez gęstwinę drzew i krzewów, tylko przy oficynie, na prawo, rzadsze były zarośla i ścieżki wydeptane. Ruszyły w tę stronę, po chwili się obejrzały, czy ich eskortuje odźwierny, ale ten gdzieś przepadł — były zostawione własnemu przemysłowi.

Szły tedy za śladem, między gąszcze spirei, akacji i ujrzwały przed sobą pasieki Łużyckiego, jakby wioskę różnokolorowych domków, ocienionych wiśniami.

— Pszczoły! chodźmy stąd! — zawołała kuzynka.

Ale na głos ludzki rozległo się w odpowiedzi szczekanie psów i wypadły na przerażone kobiety dwa taksy i wyżlica, a za nimi ukazała się Tola z kawałkiem chleba w ręce, bosa, opalona słońcem, zarumieniona zabawą.

Na widok obcych ludzi stanęła zdziwiona, zawróciła się, i umknęła między ule, wołając cieniutkim głosem:

— Tatku, tatku — na drodze coś stoi!

— Cicho, pszczoły cię opadną! — odpowiedział pan Kazimierz z głębi pasieki, ukazując się zza wiśni, otoczony dymem podkurzacza.

Wpadła mu pod nogi i mówiła zdyszana:

— Tam coś stoi! Dwie Florianowe, ale nie takie zupełnie. Niech tatko zobaczy!

I ciągnęła go za rękaw.

— Ki diabeł! — mruknął, ale że psy szczekały zajadle, więc zamknął ul i ruszył ku domowi.

— Weź mnie tatku na ręce, bo się boję — prosiło dziecko.

— A gdzie kapelusz? — spytał.

— Jeź w nim śpi, tam pod krzakiem. A to chleb do miodu! Teraz pan Kazimierz zobaczył i poznał obie panie i kroku przyśpieszył, wołając na psy. One też, opędzając się parasolkami, odpowiedziały z daleka.

— Przepraszam panie stokrotnie — odparł. — Żeby się spodziewał odwiedzin, przyjąłbym na progu miłych gości. Witam i przepraszam za nieoswojoną moją chudobę.

— Więc to jest zaklęta królowna tego zaczarowanego dworu! — rzekła kuzynka, przypatrując się Toli.

— Może malutka da buzi! — dodała Brzezicka.

— Przywitaj te panie — upomniał Łużycki, stawiając dziecko na ziemi.

Ale zaledwie poczuła się wolną, porwał ją lęk nieprzytomny, spojrzała tu i tam, i skoczyła w bok — w krzaki, psy za nią, i wszystko znikło w gąszczu.

— Ładnie się zaprezentowała! — roześmiał się Kazimierz, w głębi duszy rad z dzikości wychowanki, ale widząc zgorszzone miny obu pań, dodał:

— Nie można się dziwić. Nie ma pojęcia, że poza mną i naszą służbą są jeszcze ludzie na świecie.

— Trzeba ją oswoić! — rzekła Brzezicka.

— A po co? — przerwał.

— Jak to po co? — wmieszała się kuzynka, która miała powołanie do dawania rad i morałów. — Przecie człowiek stworzony dla świata i ludzi, i dzikim być nie może. Z dziecka wyrośnie człowiek — panienka, kobieta. Przecie życia tu nie spędzi w tych murach.

— Czemu nie! Albo tu źle, To pewna, że jej nieszczęścia nie spotkają w tych murach — chyba za nimi. I ja jej stąd

nie wypuszczę na ten wielbiony przez panią świat, bo jej tu najlepiej.

— Jak to! Życie ma tu spędzić? I pan w to wierzy?

— Wierzę i przekonam panią, że będzie szczęśliwa! Kuzynka roześmiała się ironicznie.

— Zobaczmy za lat kilkanaście, czy murów tych nie nazwie więzieniem, a szczęścia samotnego niedolą.

— Pani ma na myśli — miłość! Już ja ją nauczę, co ludzie ochrzczili tą hipokrycką nazwą!

— Winszuję takiego systemu wychowania! Więc ją pan obedrze ze złudzeń i marzeń — największego skarbu dziewczicy. To okropne!

— To pewna, że fałszami i tajemnicami nie będę karmił.

Oboje byli tak podnieceni dysputą, że aż się w to wdała Brzezicka.

— Ależ, moja Kociu, tak się tym alterujesz.

— Tak bo rozumiem, jak straszne jest życie bez złudzeń i marzeń!

— Zwłaszcza, że ciebie nikt nie pocieszył! — pomyślał Łużycki, który jej serdecznie nie cierpiał. Ale przypomniał sobie obowiązki gościnności i dodał z uprzejmym uśmiechem:

— Dalekie to jeszcze czasy, więc nie ma o co się spierać. Może mnie pani przekona, a tymczasem służę paniom i proszę do chałupy.

Dom był tak obrosnięty krzewami, że gałęzie wciskały się oknami do wnętrza, ale pokoje były czyste, a z ganku widok na ogród dziki i fantastyczny.

Na ganku tym latem przesiadywał gospodarz, bo na stole pełno było gazet i książek, a na podłodze zabawki Toli.

Brzezicka wyłuszczyła swój interes o jakieś sagi drzewa, sprzedane Żydowi, który teraz kręcił i z wypłatą zwlekał, a

kuzynka zeszła do ogrodu, żeby go zwiedzić.

Wróciła jednak po małej chwili, bo ją zniechęciły chwasty olbrzymie i nieprzebyte gąszcze, i rzekła:

— Musiał to jednak niegdyś być śliczny ogród!

— Nigdy nie był tak piękny jak teraz, gdy ma swobodę. Zleciało też do niego ptactwo leśne, i zrobił się biblijny raj — odparł Łużycki.

— Chyba bez jabłka, bo sad zdziczały przestał rodzić.

— Owszem. Kilka jabłoni i grusz pielęgnuje Florianowa. Więcej jest tego, niż potrzeba nawet, bo ich chłopci nie kradną. Dla małej, żeby się uczyła botaniki i ogrodnictwa, wytrzebię na grządki kęs jaki. Reszta niech rośnie wedle własnej fantazji.

W tej chwili Florianowa ukazała się na ganku z tacą i zastawiła stół do podwieczorku.

Był chleb i masło, apetyczne wędliny i ser — maliny i mleko — jabłka i miód.

— Czy widziały też panie naszą Tolę? — spytała, rozpromieniona dumą z tego skarbu. Bywała niekiedy u Brzezickiej i знаła obie panie.

— Ledwieśmy widziały, bo zemknęła.

— O, to ją zaraz przyprowadzę! — i poszła w ogród.

— Szczęśliwy pan, że nie ma troski ze służbą — westchnęła Brzezicka.

— Parva domus, magna quies! — odparł Łużycki.

— Mam ich czworo tylko — mogę wybierać i przebierać. Teraz ta mała ich zawojowała i już się stąd nie ruszą.

Florianowa ukazała się z powrotem, prowadząc Tolę, eskortowaną przez psy. Musiała ją ośmielić i uspokoić co do obcych, bo dziewczynka szła bez oporu i bez strachu, gwarząc z nią wesoło.

Na ganku wpadła wprost na kolana Łużyckiego i rezolutnie patrzyła na obie panie.

— Gdzieś była? — spytał.

— U królików z Markiem.

— Chodź do mnie! — zaproponowała Brzezicka. — Jak mi dasz buzi, to ci przyślę Michasia do zabawy w niedzielę.

— Czy to pies? Jaki on?

— To taki sam mały dzieciak, jak ty. Będziecie razem biegać po ogrodzie.

— Eh, on tu nigdzie nie trafi i zginie! — odparła lekceważąco.

— A ty byś nie chciała pójść z nami do Michasia i zobaczyć, jakiego on ma srokatego kuca?

Zamyśliła się i spojrzała na Łużyckiego.

— Dlaczego on ma kuca srokatego?

— Bo się dobrze uczy. Będziesz i ty miała takiego, jak zamiast drzeć książki, będziesz czytać.

Spod gęstwiny roztrzęsionych włosów zerknęła na książkę z obrazkami, leżącą na ziemi w oplakany stanie, i odparła:

— To Trzymiel czytał — to nie ja! Roześmieli się wszyscy.

— Bardzo rezolutne i roztropne dziecko. Będzie pan z niej miał rozrywkę i pociechę! — rzekła Brzezicka.

— I będzie bardzo ładna! — dodała kuzynka. Florianowa triumfowała, ale Łużycki się zasepił.

— Tego jej wmawiać nie będę! — mruknął.

Gdy panie odeszły, dał folgę swemu oburzeniu i wpadł z gniewem na Florianowa.

— Po coś ją prezentowała tym kwokom? To jeszcze szczęście, że za mała, by te głupstwa pojąć. Ładnie by one ją wykierowały. Prawią o niewinności, a od razu

wmawiają, że piękna. Potrzebne i logiczne dopiero! Zapowiadam, żeby mi ich więcej nie wpuszczać przez bramę; nie potrzebuję ich zachwyków ani morałów. Niech sobie chowają w wykoszlawiają swego Michasia, a od naszej małej — zasię. Niech rośnie dziko, ale zdrowo. Nie będzie kurą, ani indyczką, jak one.

Florianowa nie zrozumiała, w czym zawiniły te panie, ale że pan Kazimierz rzadko się tak unosił — wyrezonowała, że musiały czymś ciężko dziecko obrazić, i zastosowała się do rozkazu.

Odtąd Brzezicka zastawała u bramy samą szafarkę, która na pytanie o dziedzica odpowiadała, że wyjechał to do stadniny, to do lasu i dziecko ze sobą zabrał.

Po paru bezowocnych próbach — wizyty ustały i Tola nie poznała Michasia, aż w lat siedem, gdy zaczęła z opiekunem wyjeżdżać poza mury. Bo ledwie nieco podrosła, pan Kazimierz nauczył ją konnej jazdy i brał ze sobą na łąki do koni, na polowanie do lasu — byli zawsze nierozłączni. Wtedy kiedyś, gdy oglądali pasące się konie, podjechał do nich chłopak kilkunastoletni w gimnazjalnej bluzie na chudym, brzydkim podjezdku. Zbliżył się do Łużyckiego, zeskoczył z konia i w rękę go pocałował.

— A, jak się masz? Cóż — promocję masz?

— Mam, proszę pana. Onegdaj przyjechałem na wakacje.

— No, kiedy promocję masz, to swego podjezdka w stado puść, niech się odpasie, a sobie wybierz w zamian którego z tych koni.

Chłopiec poczerwieniał, spojrział na konie, ale się nie ruszył.

— Dziękuję panu — odparł. — Jak będę miał pieniądze, to kupię sobie lepszego konia, a tymczasem ten mi dobry, a

prezentów przyjmować honor mi zabrania.

Łużycki popatrzał na niego i uśmiechnął się.

— Honor — bardzo chwalebne! Przepraszam, zem pana dobrodzieja uraził. A czy honor pozwoli panu przyjąć w Ługach podwieczorek?

— Mama mnie posłała prosić pana na jutro do nas, bo ma być urzędnik, z opieki — i nie potrafi się rozmówić, a ja nie jestem jeszcze dostatecznie z interesami obeznany i nie mogę jej wyręczyć.

Powaga, z jaką to mówił, ubawiła Łużyckiego.

— Tak, rozumiem, że nieco ci brak do reprezentacji głowy rodziny. Jedźże za nami — dam ci list do matki.

Pojechali we troje i po raz pierwszy przestąpił Michaś furtę zaczarowanego dworu i zaznajomił się z Tolą. Z początku siedzieli oboje bardzo poważnie, zerkając na siebie spode łba i nic nie mówiąc, ale gdy spożyto podwieczorek i Łużycki wyszedł dla napisania listów, Tola przemówiła pierwsza.

— Czy u was są kanarki?

— Są — ciocia Kocia ma pełen pokój. Tak wrzeszcza, że ja bym im łby poukręcał.

— A ja bym chowała — takie ładne. Ale nie mam!

— To ja dostarczę — ofiarował się.

— O, albo ta ciocia da?

— Już to mój kłopot! — odparł, i prawdziwa natura figlarza i szkodnika wyjrzała mu z oczu, które stały się żywe i swawolne.

— Tylko jakże mam przysłać? — dodał i zamyślił się sekundę.

— Ja pošlę Marka do was.

— A jakże, akurat! Tak nie można. Ja je jutro przyniosę sam wieczorem — na mur się wdrapię i na sznurku klatkę

spuszczę.

— A ja pod murem będę czekała — dobrze? — A w którym miejscu?

— Ot tam — od ruczaju, ja będę gwizdał — to będzie znak. Tylko nie trzeba nikomu mówić!

— Dlaczego?

— Bo takie ptaszki z sekretem to się najlepiej chowają.

— Doprawdy?

— Słowo honoru daję.

Zaimponowało to dziewczynce, zrobiła tajemniczą minę — i spytała ciszej:

— A klatkę skąd wziąć?

— To mój kłopot. Nie takie ja sztuczne rzeczy umiem robić — co tam głupia klatka.

— A co umiesz robić? — pytała ciekawie Tola, coraz więcej oczarowana towarzyszem i ośmielona.

— Wszystko. Sidła na ptaki i kosze na ryby — i siatki i gwizdawki z kości i z wierzby, i z drzewa. Co zamyśłę — to zrobię. Łuki mam i proce, to tak tym ptaszki biję, jak ze strzelby.

— Pokaż mi to wszystko!

— A jak? Przecie w kieszeni nie noszę, tylko procę mam. Ot jaka.

Zaczął szukać po kieszeniach. Czego w nich nie było: ołówek zębami zatemperowany, scyzoryk, szpagat, kilka świeków, kawałek gumy, sznurek z włosienia, hubka i krzemień, a wreszcie z samego dna wraz z brudną chustką do nosa wy dobył procę.

— Tak się robi! — tłumaczył łaskawie, rozkładając ową broń i mierząc do wróbla na krzaku.

— Raz, dwa, trzy i trup.

Rzeczywiście, ptak upadł martwy na ziemię. Tola

otworzyła buzię z podziwu.

— To jak król Dawid Goliata! — zawołała.

— Nie wielka to sztuka trafić w Goliata, co był jak piec, albo stóg. Do wróbla niechby król Dawid ze mną spróbował.

— To prawda. Do wróbla by spudłował — potwierdziła z przekonaniem Tola i Michaś stał się dla niej pierwszym, żywym bohaterem.

— Żebyś ty mnie wszystkiego nauczył — zawołała.

— Ho, to trudno. Musiałabyś pójść do mnie na służbę, słuchać i spełniać, co każę, i sekret umieć utrzymać, bo za zdradę wielka kara. Zresztą ja sobie wolny kozak, a ty tutaj zamknięta.

— Poproszę tatka, żeby mi pozwolił z tobą się bawić.

— Co mam pozwolić? — spytał Łużycki, stając we drzwiach.

— Bawić się z Michasiem! — zawołała, skacząc mu na szyję.

— Takeście się prędko poznajomili. Ano, to się bawcie. Niech tu przychodzi, ile zechce.

Zapomniawszy o danej obietnicy sekretu, zaczęła opowiadać, czego ją ma nauczyć, jak się mają bawić. Chłopak mocno się zażenował, widząc, że się Łużycki uśmiecha i patrzy na niego.

A ten cieszył się jego pomyslowością i dziecinnymi gustami, i rzekł wreszcie:

— No, toś zuch. Pokaż no tę procę i jak z niej trafiasz.

I począł się z dziećmi bawić i zdecydował, że może śmiało powierzyć Tolę Michasiowi — naturalnie pod swoim nadzorem.

Odtąd zaczęły się dla dzieci rajskie dni. Tola bardzo prędko Przejęła talenty Michasia i wkrótce go prześcignęła.

Po całych dniach uwijali się po ogrodzie, wynajdując coraz to nowe prace. Karczowali niby puszcze, budowali domy, tworzyli najfantastyczniejsze bronie i narzędzia, łowili ptaki i ryby. Pan Kazimierz, przekonawszy się po kilkudniowej obserwacji, że chłopak jest bodaj dziecienniejszy od Toli, przestał ich swą obecnością kępować i zajął się swymi robotami — zleciwszy Markowi, żeby doglądał, by się nie potopili, a zresztą dał im bawić się, jak zechcą.

Dobrodusznego głuchoniemego wnet tak zawojowały dzieci, że służył im i spełniał co kazały. Rąbał i ciosał, budował im klatki na ptaki, siodłał im konie, rozkopywał jamy lisie.

Bo wkrótce za ciasno im było w ogrodzie, wymknęli się na szerszą widownię, grasowali po polu i borze. Stało się też, że Tola, upojona swobodą, zaczęła poprawiać pomysły Michasia. Gdy zamierzał na przykład użyć na „dom” wywrót dębowy, ona pogardliwie ruszała ramionami.

— To za łatwe. Zróbmy sobie dom wysoko — między konarami taki pomost, a ściany ze trzciny — i dach z liści. To dopiero będzie sztuka!

— Ho — sztuka! — on się nadymał. — Zaraz zrobimy! — I cały tydzień w pocie czoła pracowali, a cierpliwy Marek znosił im drzewo i trzcinę — wciągał te materiały w górę i pomagał bardzo szczerze.

To znowu, gdy w lesie rozpalili ognisko — rzekła Tola lekceważąco:

— Co to wart taki ogień. Żeby to podpalić wrzosa i zrobić pożar prerii!

I podpálili, niewiele myśląc, i zapúścili w las rzetelny pożar, i omal się sami nie upiekli. Ledwie pan Kazimierz z komuchami i leśną służbą zdołali ogień ugasić.

Przeżazona Brzezicka przybyła na miejsce wypadku, pewna, że to syn był winien i jęła go karcieć, a przepraszać Łużyckiego.

Ale Tola ujęła się energicznie za swój pomysł.

— To nie Michaś, to ja — wołała uszczęśliwiona z rezultatu. A Łużycki zmęczony, czarny od dymu, śmiał się.

— To zuch dziewczyna! — rzekł.

— Bój się pan Boga! — wołała Brzezicka. — Jak ją pan za to będzie chwalić, podpali panu dom którego dnia!

— Nie, bo się przestraszyła, choć się nie przyznaje. Niech będzie kozak — lubię takie.

Brzezicka była okropnie zgorszona. Zabrała Michasia i trzymała go w domu cały tydzień. Ale po tygodniu chłopak się wykradł i dalej broił z Tolą — była to przyjaźń na śmierć i życie.

Chciała go zabrać znowu i ukarać, ale wdała się w to kuzynka Kocia.

— Moja droga, daj pokój! Może tak Bóg rządzi. Dzieci do siebie przylgną — a potem to się i pobiorą! Łużycki ładny ma fundusz. Michaś nie znajdzie nigdzie lepszej partii. Niech się bawią tymczasem, kiedy Łużycki tego chce.

Ten argument podobał się Brzezickiej i nie krępowała więcej Michasia.

Minęły jednak wakacje, i przerwały się zabawy. Tola wróciła do nauk, tęskniła długi czas za towarzyszem, ale wciągnęła się znowu do samotności, wzięła się z zapalem do książek i porządnego zajęcia. Ale gdy rok ubiegł, Michaś znalazł ją znowu gotową do figlów, ze skarbnicą nowych conceptów, i rozpoczęły się dobre czasy swobody. Kilka lat tak trwało. Z dziecka wybujała na podlotka, z podlotka na pannę dorosłą. Wybujała i wyrosła na podziw

pięknie, i ładną była, że oczy do niej rwało. Pozostała bóstwem całego domu, a umiłowaniem bezmiernym Łużyckiego.

Michaś skończył szkoły, przeszedł do agronomicznego instytutu — już na wakacjach nie grasowali po polu i borze, zmieniły się stosunki. Dziewczyna z powagą i przejęciem grała rolę gospodyni domu, spotykali się już rzadko, rozmawiali o książkach, i Michaś trochę ją z góry traktował — jako parafiankę, która świata nie widziała, o niczym pojęcia mieć nie może. Ciocia Kocia, której swaty stanowiły najmilszą osłodę staropanieństwa, z musu zagabywała go często:

— Nie uważasz, jak Tola Łużycka pięknieje z dniem każdym?

— Nie. Zdaje mi się zawsze niezmienną — odpowiadał obojętnie.

Istotnie, on widział w niej zawsze swawolne dziecko, z którym się czubili i kłócili — jak dwoje urwisów! Ciocia Kocia wzdychała, i odprawiała nowenny — żeby przejrzał. Ale że nowenny były w celu ziemskim — zostały wysłuchane i spełnione — tylko wraz z karą za niską intencję. Przejrzał Michaś, ale za późno!...

Miał kolegę z gimnazjum, z którym stali na jednej stacji i zaprzyjaźnili się. Potem ich fach rozdzielił. Michaś poszedł na agronomię, Jan Stankar wyjechał za granicę na artystyczne studia. Wypadkiem spotkali się po latach w Warszawie na wystawie rolniczej, gdzie Michaś oglądał bydło i maszyny, Stankar zbierał wzorki i typy do ilustracji.

Ucieszyli się sobie niezmiernie, przebulali dni parę w Warszawie i Stankar dał się z łatwością namówić na wycieczkę do Brzezin, tym chętniej, że pracownię miał opieczętowaną za długi, i żadnego popytu na ilustracje.

Był to biedny chłopak — nerwowy, idealista, z dużym talentem i fantazją — znękany i zwichnięty walką o chleb. Od dziecka borykał się z losem i szedł mozolnie naprzód, z duszą pełną marzeń i zapału, wciąż spychany na dół, wciąż smagany trudnościami — zawsze głodny, zawsze bez grosza i wyzyskiwany na wsze strony.

Za granicą utrzymać się nie mógł — wrócił do kraju — miał w głowie wielkie, piękne pomysły do obrazów, ale żeby je wykonać, potrzebował mieć czas, najmować modele, kupić płótno i farby — mieć pracownię. Gdy się zebrał na pracownię, zapożyczył się na farby i przybory — i już mu brakło na chleb i modele. Wziął się do ilustracji, to mu dawało ledwie chleb, a zabierało dużo czasu. Z tego błędnego koła było jedno wyjście: za długi zabrano pracownię i sprzęty — pozostał znowu na tym samym punkcie, jak na początku, tylko coraz bardziej znękany i rozgoryczony.

Michaś dodał mu ochoty.

— To jest psie życie! — rzekł, wysłuchawszy całej historii przyjaciela. — Pomóc to ja ci nie mogę, bo sam mam długów i kłopotów wyżej uszu, ale przyjedź do nas i odpocznij. To grunt, żebyś się odpał i odespał — cień z ciebie został.

Nie będzie ci w Brzezinach wystawnie i wybrednie, ale będzie zdrowo. Słońce mieć będziesz i modele darmo — i pracownia się znajdzie w starej oranżerii — teraz lato — więc tam nie zmarzniesz. Będziesz smarować, jeździć konno, spacerować, śpiewać i marzyć bez troski. To cię odrestauruje, zobaczysz.

Pojechali tedy razem, w towarowym wagonie, bo Michaś eskortował osobiście kupionego na wystawie byka i ta podróż oryginalna tak podobała się Stankarowi, że

począł na życie patrzeć z humorystycznej strony i z biedy pokpiwać.

Przybyli do Brzezin w najpiękniejszej porze wczesnego lata. Łany jeszcze stały nietknięte, łąki w całej krasie, lasy w pełnej zieleni.

Kolegę Michasia przyjęto serdecznie i od dawnych czasów raz pierwszy zasnął pod gościnnym dachem przyjaciela bez troski o jutro i z ochotą do życia. Przez parę dni odpoczywał, był jakby upojony powietrzem, ciszą i urokiem wsi. Rozlokował w starej oranżerii swe teki i farby, nie mógł się napatrzeć i nacieszyć przyrodą — chodził jak we śnie.

A po tygodniu odżył zupełnie. Już nie pamiętał biedy i troski, ani prozy życia — pływał znowu w swych ideałach, marzeniach, snuł cudne baśnie i zaczął szkicować projekty do obrazów.

Michaś, wróciwszy raz po południu z pola, zastał go nad dużym kartonem, tak zajętego, że nawet się nie obejrzał.

— Co to będzie? — spytał, patrząc na szkic.

— To będzie pierwszy obraz z cyklu „Natura”. Bór, spokój i trójka żerujących, beztrwożnych łań.

— Aha! — rozumiał Michaś. — Ale jeśli lubisz malować zwierzęta, to powinieneś zobaczyć stadninę Łużyckiego, jak się pasie na swobodzie. Ja się temu napatrzeć nie mogę, choć widzę sto razy. Istne Mohortowe wspomnienie.

— A daleko to?

— Nie — ze trzy wiorsty stąd. Chcesz — każę konie posiadłać i pojedziemy.

— To chodźmy lepiej pieszo.

Pieszko było bliżej, przez kładki na granicznej rzece, którą z daleka można było odgadnąć po gęstwinie łoż,

chmielów i olch przybrzeżnych.

— Jak tu pięknie i cicho! — rzekł Stankar rozmarzony.

— Jacy wy szczęśliwi wieśniacy. Toć tu tylko żyć i śnić. Michał, rachujący kopice siana, roześmiał się.

— Żyć bardzo ciężko, a śnić nie ma kiedy. Kochana wieś pod tymi złudnymi pozorami poezji — kryje taką brzydką prozę, że aż mi wstyd za nią. Ostatecznie, my wieśniacy — patrząc na te czary i uroki — marzymy o nawozie!

— Zlituj się, milcz, cyniku!

— Milczę, ale ty uważaj teraz pod nogi, bo trzeba przejść rzeczkę. Tu moja granica, dalej państwo Łużyckiego.

Po śliskich kłodach przedostali się na drugą stronę, i od razu krajobraz się zmienił.

Łąki były nieruszone, trawa w pas, a po tej sianożęci rozrzucone kępy krzewów, kaliny, olch — jak bukiety — w oddali bukiety zlewały się w jedno z czarną linią dębowego lasu.

— Tu tak dziko, jakby się było w puszczy! — rzekł Stankar.

— Czemu nie szaleć, kiedy można — odparł Michał. — Żeby Łużyckiego tak dusili Żydzi i nie Żydzi jak mnie, toby się wziął do roboty i fantazji zaniechał.

— Więc u niego tak wszędzie dziewiczo, jak tutaj?

— A wszędzie. Trochę łąk koszą na zimę dla koni. Ale żyto na chleb i owies dla stada u mnie kupuje, i żyje z grosza, który mu poręb roczny przynosi. Taki oryginał!

— A widzisz — są i tacy między wami, którzy o nawozie nie myślą. Ten musi być poeta!

— Cha, cha, cha! Żebyś go zobaczył tego poetę, jak wali pałką swoich koniuchów i osobiście koniom krew puszcza i

pyski sprawia! Nie myśli o nawozie — to myśli o zółzach i szpacie!

— Szkoda dla was takich widoków i barw i woni — rzekł Stankar, stając i rozglądając się wokoło.

— Patrz—no, ktoś ku nam idzie! — dodał ciszej.

— To Tola Łużycka! A to po co chodzi po łąkach o tej porze? Czekaj — nie widzi nas — przestraszy się, gdy się natknie znienacka. Stójmy pod krzakiem.

Dziewczyna istotnie nie widziała ich, idąc na zachód — wprost w purpurę.

Stankar się w nią zapatrzył i oniemiał.

Szła wolno, zrywając zioła i kwiaty i śpiewając z cicha, raczej nuąc od niechcenia piosnkę starodawną — zachowaną jeszcze po zaściankach szlacheckich, której nauczyła zapewne ją Florianowa.

Z tamtej strony jeziorczka panowie jadą
Hej, hej, mocny Boże! panowie jadą...

Zdjęła z głowy słomiany, prosty kapelus, składała w niego kwiaty. Głowę jej odkrytą złociło słońce, rzeźbiąc wypukłe każdą linię. Była to głowa i twarz tak idealnie piękna, że Stankarowi się zdało, iż chyba takie po świecie chodzić nie mogą żywe. Że to jest uosobnienie lata, pogodnego nieba i wiejskiej poezji.

— Boginka! — szepnął.

Ona zbliżała się ku nim, niefrasobliwa, spokojna, wciąż nuąc. Teraz całość postaci objął wzrokiem. Była gibka, smukła, zręczna, ruchy swobodne, postać — jaką rzeźbiarz tylko wymarzyć może. Zachwyt przerwał mu Michał, bo się znienacka poruszył i wydał jakiś dziki okrzyk.

Dziewczyna podniosła oczy i stanęła. Nie przestraszyła

się, ani krzyknęła. Był to okrzyk, którego używali w dzieciństwie, gdy bawili się w Indian. Zaśmiała się — pokazując zęby jak perły zza koralowych ust, i odpowiedziała podobnym hasłem. Wtedy Michał podszedł ku niej, a Stankar został w ukryciu.

— Gdzie idziesz tak późno? — zagadnął Brzezicki.

— Nigdzie nie idę. Kwiaty zbieram na wianeczki. Jutro przecie Boże Ciało.

— Będziecie w kościele?

— A jakże! A wy?

— Nie wiem. Może moje kobiety, ja nie. Mam gościa.

— Takiego, co się kościoła boi?

— Nie, ale który woli w domu odpocząć, jak się dusić w chłopskim ścisku — na procesji. Ty pewnie będziesz nawet ołtarzyk nieść?

— A będę.

— A może kwiatki sypać — białą ubrana?

— Nie, bom nie dziecko.

— Doprawdy, odkądże to? — drożył się dalej.

— Ano — odkąd kwiatków nie sypię! — odparła bardzo logicznie.

— No, kiedyś już człowiek, to ci przedstawię kawalera. Jasiu, nie kryj się za krzakiem.

Stankar musiał się ukazać. Dziewczyna spojrzała ciekawie na niego i zaczerwieniła się, gdy się nisko przed nią uklonił, a potem gorejącym spojrzeniem objął. Przestraszyła się i zaniepokoiła.

— Czołem — przed królową! — drugi raz uklonił się Stankar.

— To wszystko mego stryja, nie moje! — zaprzeczyła, odzyskując śmiałość.

— A wolno obcym stopom deptać? — uśmiechnął się.

— Wolno! Michał może panu powiedział, że stryj taki srogi! To nieprawda.

— A pani pomóc kwiaty zbierać — wolno?

— Już kwiatów mam dosyć — na osiem wianeczków. Tylko trzeba mi bożej rosy na dziewiąty, a tej tutaj nie znajdę — chyba Pod lasem — tam!

— Co to jest za чудо „boża rosa?”

— Nie zna pan? To taki mech drobniutki.

— Myślałem, że to natchnienie, czy miłość. Boża rosa — mech — co za poniewierka nazwy!

Popatrzała na niego zamyślona.

— Prawda — może nie warta roślina wyrazu, ale przecie musi ten mech mieć przymioty wielkie, kiedy — będzie na ołtarzu, na monstrancji.

— Bo to wiesz, że te wianeczki wiją się z pewnych kwiatów i ziół — zawsze tych samych! — tłumaczył Michał.

— A jakże! To trzeba wiedzieć! — potwierdziła z całą powagą.

— Niechże mnie pani nauczycy.

— Zaraz, zerwę tylko bożej rosy, i będę wić — wtedy panu pokażę.

— Chodźmy razem, jeśli pani pozwoli.

— A stadnina? — przypomniał Michał.

— To ciekawsze! — odparł, ruszając obok Toli.

— Panowie szli do stadniny? To daleko! Zwróciła się do Michasia.

— Wczoraj ją przepędzono do Garby. Piechotą tam nie zajdziesz, bo grząsko. Wiesz, tam, gdzie się rzeczka rozlewa i gdzieśmy to żaki na ryby stawiali. Pamiętasz, coś to mnie tam kiedyś do wody wrzucił, a ja ci czółno przewróciłam.

— Pamiętam. Nie darowałaś nigdy nic. I żeby ciebie stworzył Bóg mężczyzną, tobyś była zbrojną.

— Ach, żebym ja była mężczyzną! — westchnęła.

— Pragnęłaby tego pani?

— Naturalnie. Nie broniliby mi stryj jeździć konno na Farysie — i poszłabym do wojska, i mogłabym się pojedyńkować.

— Z kimże byś się pojedyńkowała? Z niemy Markiem?

— Toć bym w wojsku była w ułanach. Pojedyńkowałabym się z kolegami o obrazę honoru.

— Wystrzelałabyś wszystkich oficerów!

— I tak jak Bóg panią stworzył — będzie dość ofiar na pani drodze! — rzekł Stankar.

— Dlaczego? — spytała zdziwiona.

— Bo dana pani najstraszniejsza broń — piękność, a tym, co jej zaznają — najcięższy ból — miłość!

Podniosła na niego czyste, proste spojrzenie i odparła poważnie:

— Alboż ja nie jestem jak wszyscy? A jak mnie kto kocha — to ja go też Kocham — i dobrze!

— Jak to? Będziesz kochać każdego, co się w tobie zakocha? — roześmiał się Michał.

— A tak. W domu mnie wszyscy Kochają — a ja też.

— Ach tak — to wierzę, ale jakby cię inni pokochali — tak, i tuzin kawalerów — czy ich wszystkich w sercu pomieścisz?

W tej chwili spod nóg Toli zerwała się kaczka dzika z wielkim łopotem skrzydeł, i zapadła kwacząc o kilka kroków w trawę.

— To starka do młodych, pewnie są tuż i małe — zawołała dziewczyna, rzucając kapelusz i kwiaty na ziemię

i skrećając w łozy.

Młodzi ludzie poskoczyli za nią, rozpoczęło się poszukiwanie i okrzyki. Istotnie były małe, ale przycyaiły się w trawach i tylko Michał złapał jedno i oddał Toli.

Popatrzała na nie, popieściła, pocałowała i puściła na swobodę.

— Niech żyje.

— Do czasu, aż je zastrzelisz.

— Pani poluje? — spytał Stankar.

— Umiem strzelać, razem ze stryjem polujemy zawsze. Ale wolę konną jazdę, bo wtedy człowiek ptakiem się czuje — i tak by leciał bez końca.

— O, jest boża rosa! Widzi pan!

I poczęła zrywać delikatne żdzbla mchu, a on jej pomagał, przykleknąwszy u jej stóp.

— Dosyć będzie! — rzekła po chwili. — Teraz można wić! Usiadła w trawie, rozłożyła kwiaty, dobyte z kieszeni nici i nożyk, i zabrała się do roboty.

Michał wyciągnął się wygodnie i zapalił papierosa. Stankar podawał jej kwiat za kwiatem i chwilę milczeli wszyscy troje.

— Zaśpiewaj—no coś, Jasiu! — ozwał się Michał.

— Prawda! Trzeba śpiewać! — potwierdziła z zapalem.

— Głos będzie iść po rosie daleko.

— Niech pani śpiewa, a ja za panią.

— Kiedy ja nie umiem.

— A śpiewała pani, gdy nas spotkała.

— Ej, to taka prosta piosenka.

— Ale piękna! — i zaczął:

Z tamtej strony jezioreczka panowie jadą.

— Zna pan! — ucieszyła się i zaczęli we dwoje śpiewać. Brała z jego rąk kwiatki drobne i polne, i wiała miniaturowe wianeczki, i śpiewała czystym, srebrnym głosem — monotonna, tęskną piosenkę, a on oczu z niej nie zdejmował zachwyconych. Wkoło była cisza i spokój natury dzikiej i swobodnej.

Michał, ćmiąc papierosa, wypoczywał rad po znojnym dniu i myślał o swych kłopotach, dopiero gdy piosnka się skończyła, stęknął i rzekł:

— Prawda, że głos dzisiaj leci na milę. Będzie może pogoda na siano. Śpiewajcie jeszcze!

— Teraz niech pan sam zaśpiewa co nowego! — rzekła Tola. Stankar zamyślił się i po chwili zaczął z cicha kusząco:

Już gwiazdka błysnęła, już matka zasnęła.
Tu gaik, tu cień.
Przyjdź dziewczę cichutko, powrócisz
raniutko
Nim zbudzi się dzień.

Tola przestała układać wianeczki, oplotła rękami kolana i słuchała z przymkniętymi oczami, rozmarzona, tamując dech, by nie zmaćcić melodii, żadnej nuty nie stracić.

Stankar gorącymi oczami ją obejmował, i pokusa gorącej młodej krwi dyszała w jego śpiewie:

Nikt ojcu nie powie, nikt matce nie powie.
Ni gaik, ni zdrój,
Usteczka gorące, serduszko bijące,
O skarbie ty mój!

Słyszała Tola tę piosenkę bezustannie odtąd. Wracając do domu, rozmawiając i milcząc, we śnie i na jawie. Młodzi ludzie odprowadzili ją aż do bramy fortecy Łużyckiego, a gdy na pożegnanie podała im rękę, Stankar schylił się w milczeniu i pocałował ją, a potem stał chwilę i patrzył smutnie, aż się furta za nią zamknęła.

I zanim zdała sobie sprawę z nieznanego uczucia, już go kochała, już tylko marzyła, by go znowu spotkać, by znowu tak patrzył i śpiewał.

A on, wracając, rzekł do Michała:

— I ty ją znasz, patrzysz omal nie co dzień — i nie kochasz się w niej. Toć to najcudniejsza dziewczyna, jaką słońce oświeca. Czyś ty ślepy?

— Nie, ale nie lubię naiwnych. Wolę brzydką, ale która kochać umie, niż takie głupie gąsiątka. Naucz ją kochać, a potem ja ją wezmę!

— No nie — zachnął się Stankar. — Ja ją kochać nauczę — ale mnie tylko, i ja ją wezmę. Taką całość oceni i zdobędzie tylko artysta. Tyś się na tym nie poznał nawet!

— A Łużyckiego znasz? Postaraj się, żeby on cię poznał i ocenił — roześmiał się Michał. — Mnie się widzi, że on jej nie chował na model dla artysty, i zdobyć ci ją nie będzie łatwo.

— Ale dla mnie chowała ją natura i los, a to nad wszystko silniejsze. Ja ją mieć muszę, bo to ideał piękna!

— Muszę się jej uważniej przyjrzeć, żeby tych cudów dopatrzeć — zdecydował Michał, ramionami pogardliwie ruszając.

Nazajutrz, za namową Stankara, całe towarzystwo ruszyło do kościoła, panie staroświeckim, mocno obszarganym koczem — panowie bryczką. Michał rad by był przyjechać na koniec nabożeństwa, ale Stankar naglił,

więc ruszyli do kościoła przed procesją i przepchali się przez tłum, aż do prezbiterium. Tam Michał z Łużyckim znaleźli się pod baldachimem, prowadząc księdza pod rękę, a Stankar ustawił się na drodze procesji, by się Toli napatrzeć. W kościele gorąco było i duszno, organy i nabożni starali, zda się, aby grać i śpiewać fałszywie, kadzidło i wyziewy ludzkie dławily za gardło, ołtarze były przystrojone okropnymi papierowymi kwiatkami, obrazy w nich malowane jaskrawo i brzydko, ale on, estetyk i marzyciel, zachwycony był i przejęty tą jedną postacią dziewczyny, niosącej ołtarzyk Matki Boskiej — okropne malowidło na noszach, jak lektyka, upstrzone wieńcami z bibulek, obwieszone powiędłymi ziołami.

Dwa razy przeszła obok niego i spojrzeli na siebie, a on gotów był modlić się do niej i znajdował, że śpiewy były anielskie, kościół piękny, jak niebo, a ten ołtarzyk — arcydziełem ludzkim.

Po nabożeństwie, na cmentarzu, Michał przedstawił go Łużyckiemu, zbliżyła się Brzezicka, ciocia Kocia, i poczęły zapraszać dziwaka z Tolą do siebie na obiad.

Twarz jego surowa i chmurna pozostała obojętną na uprzejme słowa, obejrzał się za Tolą i spytał lakonicznie:

— Chcesz?

Skinęła głową i przytuliła się do niego prosząco.

— No, to jedźmy — zdecydował natychmiast.

Widocznie, że żył tylko, by jej dogodzić we wszystkim. Zaprząg Jego odróżniał się wielce od landary j szkap Brzezickich. Odkąd Tola dorosła, kupił wolant i dał do jej rozporządzenia czwórkę rasowych kasztanów, za które mu ofiarowywano cztery tysiące rubli. Ale Tola chciała mieć te konie, więc je miała, tak jak wszelka jej chęć i fantazja była spełniona, zaledwie raczyła pomyśleć i wypowiedzieć. Po

drodze Łużycki zauważył:

— Cóż to za eleganta przywiózł sobie Michał?

— To jego kolega. Żeby tatko słyszał, jak on pięknie śpiewa — zawołała z żywością Tola.

— Skądże ty wiesz o tym? — zdziwił się.

— Wczoraj mnie spotkali na łąkach. Szli oglądać naszą stadninę, bo on malarz.

— Tak — to powinien przemalować stacje drogi krzyżowej. Ksiądz zebrał już pieniądze i szuka malarza. Muszę mu o tym powiedzieć.

— Kiedy on nie maluje religijnych obrazów.

— Toście aż tak szczegółowo gadali!

— A tak, bośmy parę godzin przesiedzieli we troje pod lasem, a potem odprowadzili mnie do bramy.

— Widzę, że ci się mocno podobał! — uśmiechnął się Łużycki.

— Tak, ładnie śpiewa i rozmawia o ciekawych rzeczach. Mówił, że ma pełne teki rysunków i szkiców. Piechotą schodził Tyrol i Bawarię i rysował. Pokaże mi wszystkie swe zbiory.

Była uradowana i zajęta. Łużycki się zamyślił, chciał coś rzec, ale się powstrzymał, i tak zajechali do Brzezin.

Gdy o zmierzchu wracali do domu, Tola była milcząca i zadumana, Łużycki chmurny. Wreszcie się odezwał:

— Ten malarz gładki chłopak i szczerzy. Tylko siedzi w nim niespokojna dusza. Boć talent ma, to widoczne, a sam wyznaje, że jest w nędzy. Więc widocznie rządzi się tylko fantazją i do niczego nie dojdzie.

— Bo on goni tylko za ideałem! — odparła Tola.

— Bardzo chwalebna gonitwa, ale do niej trzeba być wolnym od wszelkich obowiązków!

— Ale i spokojnym o byt materialny.

— Racja! — mruknął lakonicznie.

Tego wieczora, całując ją na dobranoc, zauważył, że gorejące miała czoło, a oczy jakby senne.

— Możesz niezdrowa? — zapytał niespokojnie.

— Zdrowam, tyłkom się zmęczyła! — odparła spieszenie, z widoczną chęcią pozostania samą.

Zamknęła się w swoim pokoju, otworzyła okno i usiadła przy nim— Noc była księżycowa i ciepła, a dziewczyna pierwszy raz w życiu nie chciała spać, nie zmówiła pacierza, tylko siedziała tak bez ruchu, rozmarzona, z bijącym sercem — i słyszała gorące słowa:

— Wczoraj widziałem piękność pani, dziś już jej nie widzę. Bożą rosę — kochanie — zerwałem tam na skraju lasu. Teraz mnie tak rozkosznie boli dusza!

Powiedział to jej tak prosto, otwarcie, jak czuł gwałtownie, a ją od razu objęły ognie i drzenie, i tak ją zdobył od razu.

Przesiedziała noc całą, nie zdając sobie sprawy, że mijają godziny. Dla niej były to sekundy.

O świcie przebrała się, umyła i poszła do ogrodu. Świat był inny, jak wczoraj, cały różowy, ale nie miała chęci do pracy, ani do zajęcia jakiegokolwiek. Zaczęła też zastanawiać się, co dalej będzie, a raczej, kiedy go zobaczy. To jedno tylko ją zajmowało.

Łużycki miał tego dnia turbację z jakąś chorą kłaczą, na śniadanie wcale nie przyszedł. Tola zresztą miała nieograniczoną swobodę, i nikt się nie dziwił, gdy poszła na łąki.

Tam na skraju lasu spotkali się ze Stankarem i południe im zeszło na niewyczerpanej nigdy rozmowie. Pod wieczór przyjechali we dwóch z Michałem z wizytą. Po paru dniach przyszedł już sam tylko i począł bywać często,

przesiadywać coraz dłużej. Idylla trwałaby spokojnie, żeby jej nie przerwała ciocia Kocia.

Spotkała kiedyś Łużyckiego w lesie, gdy obchodził poręb, a ona zbierała grzyby, i zagadnęła ze złośliwym uśmiechem:

— Pan poręb ogląda. To zapewne na wyprawę dla Toli pójdą te dęby.

Nie cierpiał starej sekutnicy, ale wysilił się na spokój.

— I te dęby, co stoją — i te, co zrąbią — wszystkie pójdą dla niej! — odparł.

— On potrafi je prędko przeżyć i przemarnować.

— Co za on?

— Ano — ten szarlatan — malarz.

— Pan Stankar? Przecie to Michała przyjaciel i gość wasz! Nie wiedziałem, że protegujecie szarlatanów.

— Każdy może się omylić i omyłkę poprawić. On już nie przyjaciel Michasia, ani nasz gość. Daliśmy mu do zrozumienia, że nie znosimy takich niecnych intryg — i opuścił na zawsze nasz dom.

— Nie jest już u was? Więc gdzie mieszka? Onegdaj był u nas i nic nie mówił, że wyjeżdża.

— Nie miał się czym chwalić. Od dwóch tygodni nas opuścił. Gdzie mieszka? Myśleliśmy, że u pana. Przecie zbałamucił Tolę i biednego Michasia zabił moralnie! On ją tak kochał cicho i stale od dziecka, i nie śmiał się biedak oświadczyć, żeby nie być posądzonym o interesowność. Tamten nie miał takich skrupułów.

— Co mi pani prawi za historie — wybuchnął Łużycki, mocno zaniepokojony. — Michał, jeśli się kochał, to mógł mi to powiedzieć dawno, a panie, żebyście mi były życzliwe, tobyście zaraz po wyjeździe tego Stankara dały mi znać o awanturze.

— Pan był tak dumny z wychowania Toli, żeśmy nie śmiały uczynić uwagi! — odparła złośliwie.

— Toteż o Tolę jestem zupełnie spokojny, ale rozmówiłbym się z jegomością i kwestię wyjaśnił. Zaraz ja tam zrobię porządek. Myślałem, że panie wiedzą, kogo goszczą, i nie przypuszczałem, że Michał zbiera kolegów awanturników.

Rozsierdzony, zawrócił wprost do domu, i ledwie przestąpił bramę — spytał starej Florianowej:

— Gdzie panienka?

Babina przestraszyła się jego głosu i wyrazu twarzy, a on z pomieszczenia jej zrozumiał, że wiedziała więcej, niż on sam dotychczas.

— W ogrodzie. Ja jej poszukam i przyślę do pana! — odparła niespokojnie.

— Nie trzeba! Ja ją sam znajdę! — mruknął.

— Niechże jej pan nie wystraszy. Pan pewnie znalazł szkodę w lesie, i „nabrał się” złości — a na panience się skrupi.

— A odkądże to ona mnie się boi? Kiedyż się na nią gniewałem? Chyba ma coś na sumieniu, że się za nią tak wstawiacie!

— Co ma mieć, Jezus Maria! Ale pan też niech pamięta, że to nie dziecko. Toć skończyła osiemnaście lat.

— A Florianowa niech pamięta, że w osiemnaście lat trzeba lepiej pilnować, jak w sześć i mieć rozum i rozsądek, a nie głupią słabość.

Minał ją — i wszedł do ogrodu.

Tola i Stankar nie spodziewali się go wcale, bo zapowiedział, że na wieczór dopiero wróci.

Siedzieli i gruchali w sadzie pod cieniem jabłoni, gdy się zjawił jak duch sądu.

— Tatko! — zawołała Tola, zrywając się z miejsca. Stankar w pół leżał u jej nóg — powstał także.

Łużycki ponury, gwałt sobie czynił, by go nie zmiażdżyć, nie zabić.

— Dowiaduję się ze zdziwieniem, że pan już od dwóch tygodni nie gości u Brzezickich! — rzekł wreszcie, z trudnością wymawiając słowa. Stankar prędko odzyskał przytomność.

— Tak, poróżniłem się z Michałem! — odparł.

— A dlaczego pan nam tego nie powiedział?

— Nie było o tym mowy.

— Szkoda, bobym już dawniej spytał pana, obcego w tych stronach, o powód częstych wizyt u mnie i miejsce pańskiego nowego zamieszkania.

— Nigdzie nie mieszkam właściwie, a odjechać stąd nie mam siły, bo życia nie rozumiem bez widoku panny Antoniny.

Łużyckiego cała twarz zaczęła drgać wściekłością.

— Ale panna Antonina i ja obejdziemy się bez pana widoku. Raczy pan uwolnić mój dom od swych odwiedzin i zapamiętać, że dla awanturników i obieżyświatów są awanturnice, a nie uczciwe dziewczęta. Fora!

Stankar skoczył do niego z podniesioną dłonią, blady z obrazy jak papier. Łużycki podniósł laskę, gdy wtem Tola wpadła pomiędzy nich z okrzykiem:

— Tatku, za co go tatko znieważa? Ja go kocham, to mój narzeczony!

— Idź stąd precz do domu! Z tobą się potem porachuję. A narzeczonego psami wyszczuję, jak na to zasłużył, jeśli nie pójdzie precz natychmiast. Marsz z mego domu.

— Nie pierwej, aż mi pan da satysfakcję! — zawołał Stankar. — Jestem narzeczonym panny Antoniny, jej

opiekunem przed pana despotyzmem i tyranią. Proszę i żądam jej ręki, i potrafię się o me prawa upomnieć. Nie potrzebuję i pogardzam pana majątkiem, ale zdobyłem serce, kocham i uczciwie chcę tę ukochaną żonę mieć — i będę! Daję panu czas na opamiętanie do jutra — jutro Przyjdę po stanowczą odpowiedź. Zapowiadam panu, że walkę się nie b — i walczyć o szczęście mego życia potrafię.

Zbliżył się do Toli, pocałował ją w rękę i odszedł. Dziewczyna wybuchła płaczem.

— Chodź do domu! — rozkazał jej Łużycki.

Poszła, jak automat, zaprowadził ją do swej kancelarii, i drzwi na klucz zamknął.

Usiadł na fotelu i milczał długo — ona wsunęła się we framugę okna i tylko łkanie przerywało ciszę.

— Czego płaczesz? Skrzywdziłem cię, obraziłem? Tyran i okrutnik jestem — nieprawdaż? Ten gach ci to tak wytłumaczył! On cię do szczęścia prowadzi, a ja więzę — pastwię się — ozwał się wreszcie gorzko Łużycki. — W takiej grozie byłaś tu chowana, że mi nie śmiałaś wyznać swych uczuć, i po kryjomu przyjmowałaś oświadczyny obcego człowieka. Takeś mi się wypłaciła za moje przywiązanie. Teraz zapewne chcesz co rychlej mnie opuścić — i iść za nim! Naturalnie — po to przecie jesteś kobietą!

Rozśmiał się pogardliwie.

— Myślałem, że będziesz człowiekiem — aleś ty stworzona na niewolnicę. Możesz panować — ale ty marzysz, aby cię poniewierano i deptano. Kształciłem duszę twoją, a tobą tylko ciało rządzi. Teraz mi wstyd, że takie mrzonki tyle lat karmił. Między nim i mną tyś wydała już wyrok — on chce walczyć — ja nie — boś ty już wybrała. Nie ja ciebie, aleś ty mnie skrzywdziła i obraziła

śmiertelnie! Chcesz — idź sobie za nim — ja cię zatrzymywać nie będę; ale ty dla mnie i ja dla ciebie istnieć przestaniemy, jakby nas śmierć przegrodziła.

Tola rzuciła mu się do kolan.

— Tatku, proszę mi przebaczyć! — łkała.

— Co? Twoją lekkomyślność? Więc odmówisz mu i zostaniesz ze mną?

— Tatku, ja go kocham nad życie.

— Więc pozostaniesz przy nim?

— On kocha i tak nieszczęśliwy, biedny, sam!

— Zatem mnie nie proś o przebaczenie. Uszczęśliw go, kochaj — i towarzysz i ubogacaj. Spełniam twe chęci — nie potrzebujesz przeproszać i prosić. Byłem twoim opiekunem i obowiązki do końca spełnię. Jutro jak ten przybędzie, to odpowiedź możesz mu dać pomyślną. Weźmie ciebie i twój posag — niech się cieszy triumfem. Tylko to sobie stawiam za warunek. Gdy za tobą i za nim zamkną się moje drzwi — już się dla was więcej nie otworzą.

— Tatku, litości. Dlaczego nas tatko odtrąca?

— Dlatego, żebym na sumieniu nie miał niedoli twojej. Gdybym ci zabraniał, nazwałabyś mnie katem, gdybym cię gwałtem zatrzymał tutaj, miałabyś się za ofiarę nieszczęsną mojej tyranii. Bądźże ofiarą, ale własnej woli, bądźże niewolnicą, ale jego fantazji i miłości. Kiedyś poznasz, kto z nas dwóch ciebie więcej kochał — ale teraz ślepa jesteś — a wtedy będzie za późno!

— Dlaczegoż tatko tak jego krzywdzi posądzeniem, a mnie odtrąca? Ja was obu kocham, z wami bym żyć chciała!

— Gdzie? Tutaj? On tu nie wytrzyma, jemu będzie trzeba wrażeń, ruchu i zmian. Tam — w tym dumnym

mieście ja nie będę. Zresztą, co tu mówić — jam ci już niepotrzebny. Między nami wszystko skończone. Ja się z życia wycofuję — ty w nie wchodzisz! — To tylko dowód twego zaślepienia, kiedy myśleć możesz, że ja bym jego widok zniósł. To tylko mnie pociesza, że i jego los ukarze! Możesz odejść. Zapewne wiesz, gdzie on przemieszkuje. Oszczędź mi tedy trudu i napisz do niego, że się na wasze połączenie zgadzam — niech się stara o załatwienie prawnych formalności i jak najprędzej ślub. Widzieć się z nim nie życzę! Idź i niech się to raz skończy!

Wstał i wyszedł, nie spojrzawszy więcej na nią.

Nie mógł wytrzymać w domu, zwołał psy i wrócił do lasu, ale już go nie zajmował poręb — szedł bez celu i drogi, czując wielki ból, i zmęczenie, i starość, i smutek samotności.

Niespodziewanie na ścieżce spotkał Michała.

I ten się włókł ociężale, ze zwieszoną głową, beczynny, pomimo gorącej dla gospodarza pory.

Przywitali się, spojrzeli na siebie uważnie i zrozumieli bez słów.

— A ty czemuś mnie nie uwiadomił! — wybuchnął Łużycki. — Może by jeszcze był czas na ratunek!

— Więc on ją bierze! I pan pozwala! Przecie ona na zatracenie Pójdzie!

— Chce tego — jestem bezsilny. A ty — prawda, co paplała ta ciocia Kocia? — Kochasz ją także?

Michał gorzko się uśmiechnął.

— Gdym zrozumiał, co czuję — było za późno. Już on ją był opętał. Mniejsza o mnie, ale jej żal, żal. Nie jej żyć tak, jak on lubi i chce.

Spuścił głowę i szli milcząc obok siebie.

Po chwili Łużycki rzekł:

— Pozostaną mi psy. Te wierne!

I ręką machnął.

Ciężkie dni i tygodnie nastąpiły w Ługach. Tola była jak opętana kochaniem. Nie rozumiała cierpienia starego, nie żałowała nic i ni kogo, dniem i nocą marzyła o ukochanym, z którego uczyniła sobie bóstwo. Stankar wyjechał dla załatwienia formalności, zapożyczył się na nowo — urządził mieszkanie, umeblował to gniazdko — i by pijany szalem.

Zasypywał Tolę listami namiętnymi, które ją utrzymywały w bezustannej egzaltacji, przestała zajmować się czymkolwiek bądź — całe dni spędzała beczynn timer, całe noce bezsennie.

Łużycki zdawał się na nią nie zwracać wielkiej uwagi, pracował: po dawnemu, więcej tylko ponury i małomówny — wieczory spędzał samotnie do niej odzywał się tylko z koniecznej potrzeby.

Dopiero gdy do ślubu pozostało tylko dni parę — zawołał ją do swej kancelarii i rzekł zimno:

— Ojciec twój część swoją dziedzictwa wziął i mam na to jego; pokwitowanie. Teraz oto wypłacę ci dziesięć tysięcy rubli, żebyś miała z czego żyć, a nie rachowała na więcej. Gdy to stracisz, niech ci wystarczą amory na resztę życia, bo ode mnie nic nie dostaniesz, ani za życia, ani po śmierci.

— Ja nie potrzebuję i grosza nie wezmę! — zawołała hardo Tola.

— Będą leżały w banku do twego rozporządzenia. To mi obojętne, weźmiesz, czy nie. Do kościoła cię odwiozę sam i moja rola opiekuna na tym się kończy. Tu są twoje papiery — i różne listy i dokumenty, które mi twój ojciec wraz z tobą przysłał. Zachowaj to u siebie, jeśli chcesz, zabierz

swe sprzęty i co życzysz z domu. Przed ślubem masz prawo do wszystkiego, potem do niczego. Mam nadzieję, że to zapamiętasz,

— O tak, może stryj o to być spokojnym! — odparła, zacinając się także w zawziętości.

Mówiła mu już „stryju” teraz.

Ślub się odbył o rannej godzinie i dnia roboczego — więc kościół był prawie pusty. Oboje młodzi promienieli szczęściem — widzieli tylko siebie, i ledwie ceremonia się skończyła, Stankar uprowadził żonę, nie dał jej nawet zbliżyć się do Łużyckiego, siedli do oczekującego na nich powozu pocztowego i uwiózł ten skarb jak najdroższą zdobycz. Gdy turkot bryczki umilkł, wyszedł z kościoła Łużycki, na furmana swego skinął, i samotny odjechał do pustego domu.

Długi czas potem nie widziano go w polu i w boru. Podobno chorował ciężko — ale na jesieni spotykano go znowu jak zwykle, przy stadzie lub ze strzelbą i taksami w lesie, i ludzie mówili, że był jak dawniej — tylko zbielała mu do cna głowa i kark się trochę zgarbił.

Tej zimy zmarła Brzezicka. Jednakowo smutno i pusto było w obu sąsiednich dworach, i jednakowa troska toczyła dusze dziedziców.

O Stankarach naturalnie nie było żadnej wieści.

III

Zarębianka utrzymywała z siostrą wdową czytelnię, a raczej wypożyczalnię książek. Oprócz tego ona tłumaczyła z angielskiego, a siostra zarabiała szyciem i haftem. Z tego żyły i kształciły chłopaka — syna wdowy.

Zimą, w długie wieczory, Zarębianka uczyła jeszcze czytać i pisać kilkoro dzieci z kamienicy — lokatorów poddaszy i suterenu. Czas był tedy szczelnie zapelniony, zważywszy w dodatku, że książki swej czytelnicy sama oprawiała.

Stankarową poznała jako klientkę, a że gawędzić lubiła, więc wyciągnęła z kobiety, kto była i co porabiała. Zrazu Stankarową płaciła i brała książki, potem wypożyczać przestała, ale przychodziła niekiedy po informację, radę, a czasem tylko, by posiedzieć w kącie i wypocząć. Miała już swoje ustronne miejsce, za szafą, a Zarębianka dawno wiedziała, co się u nich święci.

Nazajutrz po wypadku rzekła do siostry:

— Zastąp mnie do obiadu w czytelni. Pójdę się dowiedzieć, jak też się czuje Stankarową, i trochę jej pomogę. Ta już syta jest małżeńskiego szczęścia.

— Różnie bywa w małżeństwie! — ujęła się za swój stan wdowa.

— A pewnie, że różnie! — odcięła nieprzejednana stara panna. — Albo żona zamęczy męża, jak ty, albo mąż zamęczy żonę, jak lada dzień będzie u Stankarów.

— No a ci, którzy dożyją wspólnej starości?

— Ba, wojny bywały i trzydziestoletnie. Zależy od sił i wytrwałości. I, nie czekając na dalszą dysputę, wyszła.

U Stankarów zastała ostateczne rozprzężenie. Kobieta leżała w gorączce, dzieciak pod opieką stróżki spał; w mieszkaniu panował nieład nie do opisania.

— Któż to graty tak porozrzucił? — spytała Zarebianka, biorąc się do uporządkowania.

— A toć przecie on — opowiadała szeptem stróżowa. — Rzucił, ciskał, kłał, a potem wyleciał. Może przecie się obwiesi, to będzie koniec!

— A doktor był?

— Był, ten młody, co na drugim piętrze mieszka. Powiedział, że to jakaś zła gorączka. Może też i ona zemrze. Po prawdzie to by jej się należało, bo takie życie, to byle prędzej skończyć.

— Wy macie lekką odprawę na tamten świat. A dziecko może by też za jednym zachodem...

— O! z dzieckiem to bajki. Dobre ludzie nie dadzą zginać. Ja sama wezmę, bo własnych nie mam. Grymaśne to i złe; ale rada na to jest. Robaki pewnie ma, to i wrzeszczy. Dziecko będzie miało u mnie lepiej. Oho!

I załatwiwszy się w ten sposób z całą rodziną, stróżowa, rada, że ją ktoś luzuje, poszła do domu.

Zarebianka w pół godziny doprowadziła do ładu mieszkanie, obejrzała kuchnię i spiżarnię, a widząc, że i myszy nawet stamtąd się wyniosły, usiadła obok chorej, pomimo wielkiej praktyczności, zupełnie bezradna.

Tola dyszała ciężko, nie otwierała oczu, zupełnie obojętna, co się wokoło dzieje; dziecko, szczęściem, przespiało głód.

— Jednakże, jeśli ta baba trafnie wywróży i ten się obwiesi, co tu robić — myślała frasobliwie Zarebianka. — Trzeba komuś dać znać, ale komu? Licho mi nadało tu wleźć — teraz nie mogę odejść, aż jaki ład zaprowadzę.

Toć już południe, a ja się ruszyć nie mogę. No — ktoś zatrząsk otwiera — to pewnie nieboszczyk.

Istotnie, był to Stankar.

Paroksyzm rozpaczy i buntu już mu minął, pozostało przygnębienie i bierna rezygnacja.

Wszedł cicho, a ujrzawszy ją nad żoną, rzekł posepnie:

— Dziękuję pani, że przyszła. Ja wyszedłem po lekarstwo. Doktor mówi, że to będzie tyfus, czy zapalenie mózgu.

— Et, każdy prawi okropności, byle być cudotwórcą. Kobięcina się wczoraj wylekła i tyle. Parę dni spokoju postawi ją na nogi. Dobrze by tylko było, żeby pan na te parę dni dziecko oddał gdzie do krewnych, żeby chorej było cicho w domu.

— Nie mamy krewnych! — odparł krótko.

— No, to do znajomych!

— Nie mamy znajomych — powtórzył, ramionami ruszając.

— Jakże tak można się urządzić? Bez ludzi i raj się znudzi — rzekła żartobliwie.

— Nie jesteśmy też w raju, ale w czyścucu, jeśli nie w piekle! — mruknął i dodał:

— Trzeba jej dać lekarstwo, jeśli nie śpi.

Zarębianka uniosła głowę chorej i podała do ust łyżkę mikstury.

— Boli cię głowa? — spytał Stankar.

Wzdrygnęła się na jego głos, trochę otworzyła oczy, i odparła sucho:

— Nie wiem. Ale to nic.

I znowu zapadła w martwość.

Usunął się do okna i stał, patrząc bezmyślnie na brudny, okopcony mur przeciwległy.

Potem jakby się ocknął, zwrócił się do Zarebianki i spytał szeptem:

— Co dla dziecka przynieść jeść? Ano, i ona może zechce, to co kupić? Może wina?

— Poślij pan stróżkę po mleko, bułki. A najbardziej panu radzę, weź pan na dni kilka dozorczynię do domu, bo pan sam rady dać nie potrafi. Ja bym chętnie została, ale nie mogę, bo mam dużo w domu roboty. Albo — daj mi pan dziecko na ten czas!

— Gdzie bym śmiał panią tym obarczać. Przecie ono jak nie śpi — to wrzeszczy. Jeśli wszystkie dzieci takie, to nie rozumiem, jak rodzice zachowują zdrowe zmysły.

— Niech się pan nie ceremoniuje. Ja się na dziecinnych fochach nie znam, ale mam siostrę wdowę, która za dziećmi przepada. Dopilnuje małej. Niech pan będzie spokojny.

— Jakże pani taka łaskawa dla nas, mało znanych. Ja już i dziękować nie umiem.

— Proszę się nie fatygować. Nie potrzeba wiele znać, żeby komu w biedzie pomóc. To jest głupstwo, nie warte wzmianki. Biorę dziecko, a żona pańska je odbierze, jak wyzdrowieje. Nie ma o czym mówić. Mieszkam tu niedaleko na Chmielnej. Mam czytelnię w podwórzu.

Bardzo rada z takiego załatwienia kwestii, dopilnowała jeszcze, by sprowadził mleka, nauczyła kiedy i jak miał dawać lekarstwa j korzystając z rozespania małej, otuliła ją szalem i zabrała.

— Co to? Pani zabiera dziecko? — zaczepiła ją w bramie stróżowa niespokojnie.

Zarebianki trzymały się żarty pomimo szpakowatych włosów.

— A toście ich uśmiercili oboje, ale mieli jeszcze czas

mnie dziecko zapisać — a was proszą o przystojny pochówek!

I uniosła co rychlej małą, która się rozbudzała i naturalnie rozpoczynała koncert. Gdy się znalazła wśród obcych, tak się jednakże wylękała, że przestała krzyczeć i tylko wielkimi oczami rozglądała się po nie znanych kątach. Wieczorem wdowa rzekła do Zarębianki cicho, żeby nawet jej chłopak nie mógł słyszeć:

— Czy ty uwierzysz, że to dziecko tak grymasi i płacze z głodu?

— Et — nie może być! Czyżby u nich było tak źle?

— Widocznie. Zobaczysz, jutro będzie ciche i wesołe. Zarębianka pokręciła głową markotnie.

— To dopiero musi być urwis ten Stankar, po co to się żeni. Zawsze jednak na moje wychodzi, że małżeństwo to jest nieudany wynalazek.

Nazajutrz mała Jania była jak zamieniona. Głosu jej nie było słychać. Budziła się tylko, by jeść i było zdumiewające, co mogła pochłonać mleka, bułek i rosółu. Wcale też domu ni matki nie wspominała, zajęta tylko, jak zagłodzone zwierzątko, kwestią odżywienia.

Trzeciego dnia na chwilę wpadł Stankar roztargniony jakiś, nieswój, podziękował za opiekę, na dziecko ledwie spojrzął, oznajmił, że żona zdrowsza i za parę dni małą zabierze. Zabawił pół godziny i zdawało się, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale się nie zdecydował i poszedł.

— Bardzo przystojny mężczyzna, ale ojciec nie bardzo czuły — zdecydowała wdowa zgorziona.

— Smarkacz i błazen — wybuchnęła Zarębianka. — Zamorzył żonę i dziecko, a kupuje sobie fiołki do butonierki i włosy fryzuje. Elegant!

— Powinni by małą zupełnie nam zostawić, bo i ona

pojęcia nie ma o obowiązkach matki — dodała z przekąsem wdowa.

— A niechby została. Przy nas nie zginie! — odparła siostra z dumą.

Jednakże w parę dni potem przysła Stankarowa wieczorem tak zmieniona, mizerna, szerniała troską, że obie kobiety przelęły się. Po pracowitym dniu odpoczywały w jadalni, która zarazem była salonem i pracownią. U stołu na jednym końcu spożywano wieczorny posiłek, a na drugim końcu leżały zeszyty Staszka, manuskrypty tłumaczeń Zarębianki i robota krawiecka wdowy.

Przed wszystkim zaproszono Stankarowa do sypialni i pokazano małą sypialnię, potem dano jej herbaty i posadzono u stołu. Ale biedaczka nic jeść nie mogła, patrzyła przed siebie nieprzytomna i milczała.

Nagle wstała i z jakimś rozpaczonym postanowieniem rzekła:

— Już pójdę. Trzeba dziecko zabrać i iść.

— Gdzie? Po co? Czy pani zwariowała! — zawołała po swojemu, szorstko Zarębianka. — Dziecko można jutro rano odnieść, kiedy pani koniecznie chce, ale rozsądniej by było tu je zostawić, aż pani naprawdę będzie zdrowa. Toć pani wygląda w sam raz na katafalk.

Stankarowa ruszyła ramionami, zatrzymała się bezradnie na środku pokoju, wreszcie podniosła pałające gorączką oczy na Zarębiankę i rzekła głucho:

— Wszystko jedno — dziś czy jutro.

— Co takiego?

— Umrzeć! — szepnęła.

— Jezus Maria! I po to pani dziecko zabiera!

— A cóż! Żebym była zwierzem w boru, tobym je

wykarmiła i sama wyżyła, ale wśród ludzi trzeba umrzeć!

Zarębianka położyła jej rękę na ramieniu i rzekła surowo:

— Nam pani nie ma prawa tak mówić, ale przeciwnie opowiedzieć troskę. Co znowu! Młoda pani, dziecko ma, i nas życzliwych, i tak bluźni. A toć pani za takie rozpacze nad losem warta paraliżu, żeby się przekonać o rzetelnej niemocy i nieszczęściu. Do roboty się brać, a nie bredzić o śmierci! No — cóż się tam u was stało? Bieda? Rękawy zakasać — i jazda na biedę!

Stankarowa słuchała apatycznie i odparła:

— Kiedy mi się żyć nie chce. Mam dosyć życia.

— Banialuki! Kto nie pracował, ten nie wie, jakie ono bywa smaczne czasami. Ja pani wynajdę zajęcie, a jak pani skosztuje zapraw naszego chleba, to prędko do równowagi i zdrowia wróci.

Wstyd tak na duchu o byle co upadać. Chce pani pracować? Mąż pozwoli?

— Nie ma go.

— Jak to — nie ma?

— Wyjechał. Musiał wyjechać. Dostał bardzo korzystną ofertę do Paryża.

— I tak panią zostawił?

— Ja nie chciałam jechać! — szepnęła. Zapanowała chwila milczenia.

Zrozumiała Zarębianka, że między małżeństwem coś zaszło, czego badać nie pozwalała delikatność, i na razie nie wiedziała co rzec. Ale wnet jej rezon wrócił.

— Więc kiedy tak — tym bardziej ma pani co myśleć o przyszłości samodzielnie. Mieszkanie dotychczasowe za duże — trzeba się z niego wyprowadzić, zająć jeden pokój, nie bawić się w kuchni, a czas cały nie mrzonkom, a pracy

poświęcić. Zaraz od jutra trzeba się tym zająć. Ja pani pomogę — a pokój nawet tu u nas się znajdzie. My odnajmujemy jeden — miesięcznie. Kiedy termin tej staruszki z pieskiem, Natalko? — Zwróciła się do siostry.

— Za dwa tygodnie.

— Tymczasem przenocuje pani na kanapce w czytelnicy. No, to już załatwione. Teraz kwestia zajęcia. Co by też pani mogła robić?

Stankarowa uśmiechnęła się gorzko.

— Nic! Niech pani o tym nie myśli. Do niczego jestem, bo nie mam woli żyć.

— Ale, że śmierć na zawołanie nie przychodzi, żyć pani musi. Ma pani rodzinę?

— Nie, nie mam.

— Szkoda. Żeby pani miała rodzinę, która o panią nie dba, toby warto było dokazać, że się bez nich obejdzie. Ha, kiedy pani pracować nie chce, to niechże pani żyje jak wszystkie żony — z pracy męża.

Stankarowa się wzdrygnęła.

— Ja nigdy z pracy męża nie żyłam. Dostałam posag z domu i ciężarem mu nie byłam.

— Póki posagu starczyło. A teraz jak gotowego nie ma — duch upadł. Wstyd!

— Więc co ja mogę robić, czym się zająć, jak pracować! — wybuchnęła kobieta. — Wychowana na wsi i w dostatku — nic nie umiem, niczym być nie mogę. Ushnę jak to drzewo na skwerze. O, byle prędzej.

— Bój się pani Boga! Toć masz dziecko!

Stankarowa milczała, spojrzała ku drzwiom sypialni, i wreszcie poczęły jej łzy biec po twarzy.

A Zarębianka, widząc, że przecie przełamała się jej dusza, mówiła stanowczo:

— Zajęcie się znajdzie. Przecie czytać, pisać i rachować panią nauczono. Już ja to biorę na siebie, że posadę sklepowej dla pani wynajdę. Tymczasem zostanie pani u nas na noc, a ja jeszcze dzisiaj dowiem się w jednym miejscu.

— Wiesz, Natałko, do Barwińskiego na Nowy Świat. Nakarmij i napój naszego gościa, a ja za godzinę wrócę.

Prędko wzięła kapelusz i okrycie, i wyszła.

— Ona wszystko żywo robi! — rzekła wdowa. — Ale na razie to najpierwsze. Barwiński ma skład perfum i mydeł. Onegdaj był u nas i narzekał, że mu żona zasłała i chwilowo magazyn bez opieki. Byłoby to zajęcie chwilowe, ale zanim co lepszego się znajdzie, dobre i to. Najgorzej być bez roboty. Ja jestem chora, gdy nastanie lato i robota się urwie. Mój mały moją ma naturę. Rwie się to do pracy i żebym nie broniła, toby wieczorami, odrobiwszy lekcje, chodził do litografii, tu w podwórzu, tak go to korci.

Chłopak znad książki głowę podniósł i rzekł:

— A cóż, mógłbym sobie co zarobić, na zeszyty, a nie prosić mamy o każdy grosz.

Stankarowa spojrzała na dziecko i pomyślała, że i te dziecinne usta naukę jej dają.

— A cóż byś robił? — spytała.

Chłopak przypomniał jej dzieciństwo i Michasia Brzezickiego, który także tak pracować lubił i bez zajęcia nie był sekundy.

— Etykiety bym rozcinał! — odparł. — Można przez jeden wieczór zarobić piętnaście groszy — odparł mały poważnie.

— Będzie pani miała z niego pociechę! — szepnęła Stankarowa. Wdowa uśmiechnęła się łagodnie, spojrzała na

syna, przestała szyć i pogładziła go po głowie.

Stankarowa patrzyła na nich przez łzy i czuła, jak jej serce napęłnia wielka moc kochania. Zerwała się, wsunęła się do sypialni, uklękła przy śpiącym dziecku swym i płakała cicho, z głębi duszy zbywając gorycz i rozpacz. A goryczy tej i rozpaczy morze się zebrało przez dwa ostatnie lata, gdy po długiej podróży za granicę wrócili i osiedli w Warszawie, gdy minął szal, marzenia, złuda i przyszła proza życia, przebudzenie ze snów ideału. Zaznała wszystkiego, nędzy i poniewierki, opuszczenia i niewierności męża, samotności i brutalstwa. Bóstwo jej i bohater okazał się człowiekiem, pełnym grymasów i małostek, miłość — chwilowym kultem jej pięknego ciała, małżeństwo — parodią przysięg dozgonnej wiary i uczciwości, życie — szeregiem utrapień i trosk prozaicznych, małych a dokuczliwych, związek dusz — ciągłym nieporozumieniem, zwadą, a wreszcie zupełnym zamknięciem duszy i serca, i zaciętym milczeniem. Teraz ją opuścił, rzucił jak nieznośny ciężar, a ona zamiast rozpaczać — wołała umrzeć, niż go zatrzymać w imię obowiązku.

Gdy jej powiedział, że jedzie, odetchnęła, jak od zmory uwolniona — i została — nie czując na razie nic — tylko odpoczynek.

Gdy się zastanowiła, co dalej pocnie z dzieckiem, bez środków do życia, i gdy tylko śmierć z głodu widziała przed sobą — jeszcze mniej była nieszczęśliwą, niż przez te dwa lata życia!

Dzwonek się rozległ w przedpokoju, i zaraz potem gruby, szorstki głos Zarębianki.

— No, i skończony interes. Barwiński przystał chętnie. Miesiąc zapewniony i piętnaście rubli. A gdzież pani

Stankarowa? Przecie jej nie puściłaś do domu?

— Nie. Do swej małej poszła.

— To dobrze. Pościel jej, Natałko, w czytelni, i prędko trzeba do snu ułożyć, bo jutro o ósmej ma być w magazynie. Co to? Nic nie jadła. Ho, ho — nic z tego. Musi zjeść!

Przyprowadzona gwałtem do stołu Stankarowa wypiała trochę herbaty i przegryzła kęs bułki, potem ułożyła się na kanapce w czytelni i zasnęła, zwalczona ogromnym wyczerpaniem.

Rano zbudziła ją Zarębianka już ubrana, już czynna i burmistrzująca po swoim.

— Zaprowadzę panią, a po drodze trzeba do mieszkania wstąpić. Pokaże mi pani graty, co chce sobie zostawić, resztę już ja spieniężę — dysponowała.

— Ja bym tam nierada wracać! — szepnęła kobieta — do żadnych sprzętów nie mam szczególnego upodobania. Można wszystko sprzedać. Co mi trzeba! Łóżko i szafkę na rzeczy, i łóżeczko małej. Zresztą nic!

— To dobrze. Ja sama wybiorę i do wieczora to załatwię. Tylko stróżowi pani mnie przedstawi, jako swą plenipotentkę. Wieczorem chłopaka do magazynu po panią przyślę, żeby pani nie zabłądziła. A teraz w drogę!

Poszły obie, Zarębianka gwarząc bezustannie, Stankarowa przerażona i milcząca. Miała uczucie, że idzie na stracenie i zęby jej szczękały. Barwiński, łysy, zawiędły człeczyna, oczekiwał już na nie, i od stóp do głowy obejrzał badawczo kandydatkę na sklepową. Wydała mu się za chudą, za niedbale ubraną i za poważną. Zaczął żałować, że tak na niewidziane się umówił. Ale nie czas było się cofać, a co gorsza, zadzierać z Zarębianką, która była w wielkich łaskach u jego żony — więc jak umiał,

zawód pokrywał. Stankarowa jak automat, pod komendą swej opiekunki zdjęła okrycie i kapelusz w klitce za sklepowymi szafami, przyglądała włosy i zajęła miejsce za ladą między słojami z mydłem i stosami pudełek rękawiczek. Była odurzona masą informacji i nauk swego chlebobdawcy, nowym otoczeniem i fachem, o którym nie miała najłżejszego pojęcia.

Perorował Barwiński, perorowała Zarębianka, turkot uliczny ogłuszał, spasiony mops ją oszczekiwał zajadle, zapach kosmetyków dławiał — była jak na torturach... Wreszcie Barwiński zakończył:

— A przede wszystkim zalecam pani uprzejmy uśmiech i wyszukaną grzeczność dla klientów. To jest pierwsze przykazanie w kupiectwie. Interes na tym stoi.

Stankarowa próbowała się uśmiechać, ale się tylko skrzywiła żałościwie. Przyszła jej w pomoc Zarębianka.

— Niech pan będzie spokojny. Pani Antonina dzisiaj jest jeszcze nieśmiała i strwożona, ale się oswoi, i wszystko dobrze pójdzie. Ja jeszcze wstąpię na górę do żony pańskiej i zmykam.

Ucisnęła dłoń Stankarowej i dodała:

— A pani niech się nie odstręcza nieświadomością. Za parę dni będzie to pani wszystko umiała na palcach. To głupstwo.

Tak się to wszystkim zdawało, a nawet biedacy i głodni, przechodzący pod oknami magazynu, zazdrościli sklepowej dobrego, lekkiego chleba. Co to za praca właściwie: siedzieć za ladą i obsługiwać kupujących eleganckim wonnym towarem! Dla Stankarowej była to jednak niewypowiedziana męka. Czasami mijała godzina w zupełnej bezczynności. Zabijała czas sprzątaniami półek i obznajmianiem się, gdzie co jest ustawione, aż zjawił się

kupujący.

Była to publika elegancka, próżniacza. Ci znowu zabijali czas wybieraniem, przebieraniem, krytykowaniem; targowali najdroższe perfumy, a kończyli w najlepszym razie na glicerynowym mydle — często nic nie kupili, a przrzucili pół sklepu.

Barwiński, wytrawny kupiec, był bezzmiennie uśmiechnięty, słodki i rozmowny. Stankarowa była tak zmęczona i znudzona, że jej się na płacz zbierało za każdym targiem.

Rozpacz ją ogarniała na dźwięk dzwonka u drzwi, na widok strojnych dam, szykownych panien i panów. Miała minę nie kupcowej, ale męczennicy. Jedna ze stałych klientek otyła, bardzo strojna dama, dla której Barwiński był, jeśli możliwe, jeszcze słodszy, zrobiła uwagę bez ceremonii, obejrzawszy lekceważąco młodą kobietę:

— Nową panienkę pan dostał do sklepu, ale się dla gości niezbyt fatyguje!

— Pani baronowa raczy nowicjuszcze wybaczyć — odparł uśmiechnięty. — Ja jestem na rozkazy.

Stankarowa poczerwieniała z upokorzenia. Żeby usłyszeć pierwszej myśli, toby w tej chwili stąd poszła precz, ale opamiętała się, że zobowiązania dotrzymać musi, że Zarębiankę urazi, że dziecko głodne — i schyliła pokornie głowę.

Gdy zostali sami, Barwiński rzekł:

— Niechże się pani postara być uprzejmą. Nie sposób zrażać publiki.

— Postaram się! — odparła apatycznie.

— Ja muszę odejść do chorej żony, a potem mam interes na mieście. Pani już sobie sama da radę, sądzę! Tylko — na Boga, niechże pani będzie swobodną i wesołą.

— Postaram się — powtórzyła.

Spojrzał raz jeszcze po szafach i półkach, stęknął i wyszedł.

Stankarowa, zostawszy sama, usiadła w kącie, przymknęła oczy, i marzyły jej się szerokie łąny zbóż zielonych, kwitnące czeremszyny, ptasi świergot i błękit czysty, jak kopuła z kryształu. Było tam tak swobodnie, cicho, i nie było ludzi — tłumy obcego, gwaru gorączki.

Dzwonek u drzwi zajęczał, ocknęła się i zerwała przerażona. Dwie damy weszły, tak wonne i tak jaskrawe, że fach był od razu wiadomy. Śmiały się i oglądały, dając jakieś znaki przejeżdżającemu właśnie dorożką młodzieńcowi. Potem zaczęły paplać między sobą, coś opowiadać, ogromnie zajęte i rozbawione.

Stankarowa patrzyła na nie, czekając, czego zażądają, poznała jedną. Przed rokiem Stankar z nią jeździł i chodził, bywał w teatrze, i tracił na nią resztki posagu żony.

Teraz miała się do niej uśmiechnąć i być uprzejmą. Nagadawszy się do woli z koleżanką, dama obejrzała się po sklepie.

— Po cośmy tu weszły? Nie wiesz, Maniu?

— Miałaś kupić farby „blond złoty!”

— Ach, prawda.

Spojrzała na Stankarowa uważnie i rzekła do towarzyszki.

— Co to za jedna? Czyśmy zmyliły? Czy tu już nie ma mamy Barwińskiej? Nowa firma?

— Pani Barwińska chora. Czym mogę paniom służyć?
— wykrztusiła Stankarowa.

— A gdzie papa Barwiński?

— Wyszedł!

— To proszę panią o flaszkę wody do włosów „blond

złoty”. Stankarowa poczęła szukać żądanego kosmetyku, a dama półgłosem rzekła do towarzyszki:

— To jakaś świeżo importowana. No, jeśli jej lepiej nie ubiorą, to lichy zrobi interes papa Barwiński, a ona żadnej kariery.

Ręce Stankarowej drżały i kipiało w niej oburzenie i wstręt. Pohamowała się jednak o tyle, że podała flakon w milczeniu. Ale te damy rozpoczęły znowu gawędkę, rozsiadły się wygodnie, nie myśląc wcale o kupnie. Stankarowa musiała stać i czekać, aż raczą sobie cel wizyty przypomnieć.

Minęło kilka minut, które jej się zdały wiekami. Wreszcie zwróciła się klientka do niej:

— To właśnie! Dobrze. Ile?

— Dwa ruble pięćdziesiąt!

Dama wydobyła portmonetkę pełną — i położyła dziesięć rubli. W chwili, gdy Stankarowa liczyła resztę w kasie, towarzyszka wyjrzała przez drzwi, i krzyknęła:

— Karolek!

Dama się porwała z miejsca.

— Gdzie? Nie może być!

— On! Przeszedł w tej chwili.

— Goń go i zawróć! Proszę prędzej o resztę — zawołała niecierpliwie. — Pani liczyć nie umie. Prędzej proszę — mnie spieszo!

Tupała nogami — zerkając z towarzyszką na ulicę. Stankarowa podsunęła jej pieniądze — zaczęła dość niezręcznie owijać flakon.

— Ależ prędzej, Pani zapewne w Kocku uczyła się owijać pakiety. Porwała flakon, zgarnęła pieniądze i wyleciała na ulicę. Po chwili wróciła z towarzyszką i młodym człowiekiem, barczystym i opalonym —

widocznie zdobyczą wiejską...

— Zostawiłam parasolkę — wołała od progu. Stankarowa wskazała na ladę.

— Leży! — rzekła lakonicznie.

Młody człowiek przelotnie na nią spojrzął, pociągnęły go za sobą, ale ode drzwi jeszcze raz się obejrzał.

Ten wzrok zabolął kobietę, jak policzek. Skuliła się znowu w kąt, jak ranne zwierzę.

Gdy Barwiński wrócił z miasta, powiedział jej, że ją zmieni, by miała czas zjeść obiad, ale niegłodna była, i pozostała. Był temu rad, a że targ okazał się pomyślny, z lepszą myślą poszedł do mieszkania i zdał sprawę żonie.

— Widzisz, a jużes desperował — odparła. — Zarębianka byle kogo nie zarekomenduje. Za kilka dni kobieta się wprawi i będziesz mógł do biura iść. To grunt, że uczciwa i porządna. No, i niedrogo!

Została tedy Stankarowa. Przez parę dni była oszołomiona, niezręczna, potem obeznała się ze sklepem, z cenami, z publicznością, i dawała sobie radę. Tylko twarzy swej nie umiała w uśmiech ustroić, ani udawać swobody i wesołości. Spełniała obowiązek bez ochoty, w głębi duszy obmierzły jej był. Oczy jej były smutne i ponure, wyraz każdy z trudnością wydobywał się na usta, czuła się beżmiernie nieszczęśliwą.

Co dzień wieczorem mały Staszek przybiegał po nią i wtedy na sekundę rozjaśniały się jej oczy.

— Wszystko dobrze w domu! — mówił na wstępie, a potem eskortując ją, opowiadał zawsze jedno, jakby chciał matkę oszukać i wynaleźć sobie zajęcie.

Miał w niej powiernicę i polubili się wzajemnie. Doszło do tego, że wspólnie nad tą kwestią dodatkowego zarobku zaczęli rozmyślać i marzyć.

— Ja niby dla pani przyniosę te etykiety z litografii — szeptał tajemniczo — a potem niby tak sobie będę pani pomagał.

Zgodziła się, i zaraz tego dnia zasiedli we dwoje do machinalnej pracy rozcinania arkuszy etykiet od wódek.

Wieczory były dla Stankarowej najmiłszą chwilą w dniu. Zasiadali wokół stołu jadalny, Zarębianka czytywała głośno — inni pracowali. Zapominała wtedy, że to jest w mieście, że to są obcy ludzie, że dola jest tak ciężka, a życie przed nią tak długie, marzyła o Ługach, budowała zamki na lodzie, czuła, że nabiera sił i ochoty do borykania się z losem. Małej swojej prawie nie widywała teraz; rano, gdy wychodziła do magazynu, dziecko jeszcze spało, ale całując ją na dobranoc, widziała, że nabiera rumieńców i zdrowia, a pani Natalia chwaliła, że dzień cały jest cicha i spokojna, i najmniejszego nie sprawia kłopotu. Powoli Stankarowa przychodziła do równowagi. Jak zmora, oddalało się wspomnienie dwuletniego małżeńskiego pożycia, goiło się jej serce i dusza. W magazynie, obcując wciąż z ludźmi, pozbywała się dzikości, a u Zarębianki widząc pracę, spełnianą tak chętnie i wesoło, nabierała hartu i kultu dla obowiązku.

Po sprzedaży gratów i opłaceniu długów pozostało jej kilkadziesiąt rubli. Pieniądze te chciała dać Zarębiance na życie i mieszkanie ale ta ofuknęła ją z góry:

— To jest dopiero lekkomyślność. Zaraz zapas wydać, a w razie choroby zostać na słomie. Przepraszam, na to ja nie pozwolę. Te pieniądze złożymy do kasy oszczędności, na czarną godzinę, a na chleb i mieszkanie — musi pani zarobić.

— Ależ mój zarobek, te piętnaście rubli, nie wystarczy na utrzymanie moje i dziecka.

— Ha, to trzeba się starać o więcej. Ja tych pieniędzy nie dam marnować!

I nie dała, a Stankarowa poczęła głowę łamać, skąd dorobić jeszcze drugie piętnaście, i ta myśl wyгнаła jej resztę rozpaczony za minionym szczęściem, i nie dała rozpamiętywać nad zawodem serdecznym. Zaczęła tedy wieczorem uczyć się szyć od pani Natalii, a w święta i w niedziele kleiła pudełka.

Zarobek ten wynalazł Staszek, naturalnie, i uprawiali to rzemiosło na spółkę, posiłkując się introligatorskimi przyborami Zarębianki.

Mały to był dochód, jednakże przy końcu pierwszego miesiąca Stankarowa złożyła pani Natalii, która zajmowała się utrzymaniem domu, dwadzieścia rubli.

— Brawo! Zuch z pani! — pochwaliła Zarębianka. — Dorobić pięć rubli — to bardzo dużo!

— Ale co jutro będzie. Barwińska już wyzdrowiała. Skończyłam zajęcie w magazynie.

I stała, znękana i bezradna, patrząc żałośnie na swą opiekunkę.

— Wielkie nieszczęście! Byle zdrowie i dobra wola! Barwińscy niecnoty wyzyskali panią. Ja tylko zniosłam to na początek. Niechby mi teraz śmieli ofiarować piętnaście rubli. Ładnie bym ich przyjęła.

Tu się zamyśliła, jak wódz naczelny tej gromadki, którą prowadziła przez życie, i wreszcie rzekła:

— Musi się pani nauczyć buchalterii.

— I siedzieć dzień cały nad cyframi. To okropne. Żebym mogła dostać jakie zajęcie bardziej czynne i ruchliwe.

— Co? Zaczyna już pani przebierać i grymasić? Patrzcie no, jak to prędko! Czynne zajęcie! Może do baletu chce

pani!

Fukała niby szorstko, ale się uśmiechnęła, pierwszy raz.

— Ja bym chciała dostać się do ogrodnika — szepnęła. To by i wieś przypomniało.

— Zacznie pani wybierać, i czekać na te różne mrzonki. Trzeba się uczyć buchalterii, i basta. Jak pani sobie kupi majątek — to będzie wieś. Tymczasem trzeba kajzerki i serdelka!

— Ależ nauka kosztuje!

— Ba. O to właśnie chodzi, żeby darmo była! I zamyśliła się znowu.

Nazajutrz osadziła Stankarowa w czytelni, a sama wyszła na miasto.

Młoda kobieta wpadła tedy w chaos książkowy.

Szczęściem, Staszek miał jakieś gimnazjalne święto i z całą dobrą wolą stanął jej do pomocy. Bóg wie, skąd chłopak znał każdą książkę, wiedział gdzie leży, znał przychodzących, jak wiewiórka uwijał się po szafach i półkach, orientował się doskonale w katalogach i, dumny ze swej roli, wyřęcał ją i uczył.

Przyznał się jej też pod wielkim sekretem, że często wykradał książki i czytał po kryjomu. Ten na wszystko miał czas. Zarębianka wróciła na obiad triumfująca.

— W czepku się pani rodziła! — zawołała. — Jest posada u ogrodnika, ale w magazynie. Będą pani pachniały kwiatki, tylko trzeba szykownie się ubrać. Wymęczyłam dwadzieścia pięć rubli. A lekcje buchalterii prawie pewne, tylko niezupełnie darmo.

Stankarowa spojrzała na nią z wdzięcznością.

— Jaka pani dobra — i za co? Toć pani mną się jak rodzoną opiekuje. Czym ja się odśluzę?

— Et, nie ma o czym gadać. Niech się pani spyta

Natalki, jak z nami było, gdy ojciec umarł. Zostałyśmy bez grosza, dwie głupie dziewczyny. Ostatniego rubla dałyśmy na Mszę, i beczaliśmy w kącie u św. Krzyża. Aż tu czuję, że mnie ktoś w ramię trąca — patrzę — niemłoda kobieta w żałobie. Pyta, po kim płaczemy. — Po ojcu — powiadam.

— A matka jest? — pyta.

— Tej już i nie pamiętam.

— Ano — powiada — to chodźcie ze mną.

— I zaprowadziła nas tutaj — do tego samego mieszkania — do tych samych księzek — i zostałyśmy.

— Tacy są ludzie na świecie — na pamiątkę, że go przecie Bóg, nie diabeł stworzył.

— Dobrodziejka nasza żyła jeszcze dziesięć lat. Natalkę za mąż wydała, mnie nauczyła pracować, matką nam była... Pięć lat temu umarła. Cóż byśmy warte były, żebyśmy jej przykładu nie przejęły na siebie, i drugim nie oddały, cośmy od niej doświadczyły! To obowiązek i basta! Natalka, trzeba panią Stankarowa wystroić, bo po obiedzie zaprowadzę ją na nową posadę.

Już śmielej weszła młoda kobieta do magazynu kwiatów i przedstawiła się nowemu chlebobdawcy.

Był to młody człowiek, przystojny i wesół, który się do niej zyczliwie uśmiechnął, zapewne rad z urody nowej sklepowej.

Stankarowa dowiedziała się od Zarebianki po drodze, że jest to syn właściciela składu. Stary mieszkał za rogatkami, w ogrodach, i nigdy prawie w sklepie nie bywał.

Instalacja odbyła się prędko, bo Zarebianka się śpieszyła i Stankarowa została sama z panem Karolem, który bardzo uprzejmie począł ją w sprawy handlu kwiatowego wtajemniczać. Znowu przez parę dni, oszołomiona i

niezręczna, myliła się często, mieszała ceny i adresy, aż wciągnęła się i wprawiała, i pan Karol mógł jej śmiało magazyn powierzyć.

Okazało się, że „Syn firmy” o niczym mniej nie myślał, jak o interesie, nigdzie rzadziej nie bywał niż w magazynie. Miał prowadzić kasę, pilnować zamówień i ekspedycji, ale on około jedenastej miał zwykle pilny interes na mieście, i prosił Stankarowa, by go na chwilę zastąpiła.

Ta chwilka przeciągała się do czwartej i dalej. Wracał jak wicher, przeproszał ją, dziękował — zabawił godzinę — i znowu zniknął, i zjawiał się regularnie na pół godziny przed zamknięciem sklepu. Wtedy opowiadał tysiące bajek — że go zatrzymano na kolei, że miał sprawę w cyrku, że musiał jeździć do ojca. Fantazja jego na ten temat była niewyczerpana.

Stankarowa przez jakiś czas wierzyła wszystkiemu i ubolewała nad nim — odrabiała za niego robotę, zapracowywała się, aż wreszcie chłopak, pomocnik z ogrodu, używany do pakietów i posyłek, rzekł jej, śmiejąc się:

— Bo to prawda, co pan Karol pani prawi. On nijakich nie ma wypadków, ino siedzi u swojej panny, albo na rogu, w handlu. Niech no by stary zwąchał — byłby dopiero wypadek!

— Po cóż zmyśla? Co mnie obchodzi, gdzie on bywa.

— Ano, bo mu wstyd, że na panią całą robotę zwałił, i boi się, by pani staremu nie doniosła, jak to panna Julia, co tu przed panią była. Nie każdy zechce robić za dwóch. Panna Julia zaraz gwałt podniosła. Bo i trudno wydołać!

— Ja postaram się wydołać!

Jej dogadzała teraz robota i nabierała z konieczności wprawy. Tylko gdy pan Karol wpadł wieczorem z nowym

zapasem opowieści o nadzwyczajnych przeszkodach, rzekła mu:

— Niech pan się nie fatyguje zmyślać. Ile mogę, najlepiej zastępuję pana w magazynie i daję radę, więc może pan oddalać się, ile chce.

Zmieszał się bardzo, zaczął przeproszać, i tłumaczyć się, i wstyd mu było, więc przez kilka dni pracował gorliwie.

Ale pewnego popołudnia przyszła do sklepu elegancka dama, bardzo obrażona, spojrzała na Stankarowa, potem na młodego człowieka, i rzekła:

— Ach tak! Teraz rozumiem pana postępowanie. Więc to jest nowa zabawka i zdobycz! Mam nadzieję, że pan więcej mego progu nie przestąpi!

— Ależ panno Mario! Maniu! — zawołał przerażony. Ale panna Maria pogardliwa, dumna, wyszła ze sklepu.

— Co jej się stało! Ja nieszczęśliwy! — jęknął. Stankarowa wybuchnęła także.

— Prosiłam pana, żebyś się bawił. Bardzo chętnie wyręczałam. Wolę najcięższą pracę, jak podobne obelgi — takich kobiet!

— Ależ ona oszalała! Bóg moim świadkiem... Przerwała mu niecierpliwie:

— Niechże pan boskiego imienia nie miesza do takich zaklęć...

— Ja muszę jej wyjaśnić, muszę ją widzieć...

— To idź pan i wyjaśnij zarazem, że ja do jej podobnych nie należę.

Skonfundowany, umknął i wcale się dnia tego więcej nie pokazał. Czekala dłużej niż zwykle, wreszcie sprawdziła kasę, zamknęła pieniądze i kazała pomocnikowi zamknąć magazyn.

Nazajutrz pan Karol z miną skruszonego grzesznika

zajął swe miejsce nad pulpitem i przetrwał do jedenastej. Dłużej nie mógł wytrzymać. Wziął z kasy garść asygnat i sięgnął po kapelusz.

— Niech pan odrachuje pieniądze, które zostają, a te wpisze do księgi na swój rachunek — zatrzymała go Stankarowa.

— Cóż znowu! Pani nie potrzebuje kontroli! — zawołał. — Za godzinę wrócę.

I wyszedł, jakby do pożaru pędził.

Stankarowa ruszyła ramionami, ale w tej chwili weszli kupujący i musiała nimi zająć się.

Po południu, na wozie pełnym kwiatów, zajechał przed magazyn stary, wygolony Niemiec.

Chłopak pomocnik ledwie go zobaczył, zawołał:

— O je! Sam stary. Będzie heca! I skoczył do drzwi.

Niemiec, jak prosty robotnik, poznosił z chłopcem kwiaty, poustawiał je, wychodzącym klientom otworzył drzwi i nisko się uklonił, a potem skinął głową Stankarowej i mruknął:

— Morgen!

Miało to być powitanie.

Zaraz też do ksiąg i pieniędzy się zabrał, ściśle kontrolował.

— A gdzie Karol? — spytał po chwili.

— Wyszedł! — odmruknęła Stankarowa, rozgniewana i powitaniem, i kapeluszem na głowie, i tonem zapytania.

— Panna taka ładna. Mogłaby go przy sobie utrzymać!

— Niby po co? Jeśli chodzi o zajęcie — mógłby go pan najkorzystniej u siebie w ogrodzie zatrzymać — bo tutaj w magazynie — ja sama wystarczam.

— Oho — żebym go zabrał, to bym i pannę stracił. Już ja znam wasze wyrachowanie.

— Co to znaczy wasze? — zawołała rozdrażniona.

— Ano, wasze — sklepowych panien. Każda chciałaby się za Karola wydać. To wyście go tak rozpuściły. Albo ja nie wiem, co się tu święci! Przekłęty handel! Weź starą i brzydką — pies nie zajrzy, weź młodą i ładną — chłopca mi bałamuci. Wermaledeite Wirtschaft!

I splunął pogardliwie.

Stankarowa osłupiała z podziwu i oburzenia.

— Ja — ja mam panu „chłopca” bałamucić! Kiedy? A toć ja go nie widuję po dniach całych. Zresztą, ja żadną panną sklepową nie jestem — mam męża i dziecko, i tak mi w głowie pański „chłopiec” jak zeszłoroczny śnieg.

— Aha — nie widuje go po całych dniach! To dobrze — ja właśnie tego chciałem się dowiedzieć. Schön, gut. Nie trzeba się zaraz obrażać. A kasę panna sama prowadzi?

— Ja! — odparła.

— Brakuje trzydzieści siedem rubli i kopiejki.

— Pan Karol wziął garść pieniędzy wychodząc.

— Tak — bez rachunku. Ładne porządki.

W tej chwili wszedł posłaniec i wręczył Stankarowej kartkę. Spojrzała na nią i podała staremu.

„Proszę przysłać dziesięć wazonów tuberoz, które mieli dzisiaj przywieźć z ogrodu.”

Stary zerwał się ze stołka, porwał ryżową miotłę i krzyknął do posłańca:

— Masz — zanieś mu to i powiedz, że ojciec przysłała. Posłaniec, śmiejąc się, wziął miotłę i wyszedł.

Wtedy stary począł latać po sklepie i kłać po niemiecku i po polsku. Stankarowa, pomimo obrazy i gniewu, nie mogła się od uśmiechu powstrzymać, chłopak schował się do drugiego pokoju i dusząc się ze śmiechu, za jakąś skrzynkę.

Pan Karol naturalnie nie śpieszył się teraz z powrotem. Stary wyczerpał repertuar klątw, wysapał się i znowu księgi zaczął wertować. Stankarowa obsługiwała kupujących — godziny mijały.

Wreszcie stary się zerwał i rzekł:

— Pani pewnie wie, gdzie on siedzi. Pani jest z nim w znowie! On pani pewnie osobno płaci za oszukiwanie i rujnowanie mnie! Toć on w tym miesiącu wydał, nie wiedzieć na co, sto dwadzieścia trzy ruble. Pani wie, ile na to trzeba wyhodować lewkonii? To jest zgroza. Ja was oboje wygonię!

— Ja sama odejdę. Do obowiązków moich nie należy słuchanie pana impertynencji — zawołała, wyprowadzona z cierpliwości.

Rzuciła trzymane w rękę kwiaty, porwała kapelusz i okrycie i wypadła na ulicę, bliska płaczu z rozdrażnienia.

Jednym tchem opowiedziała wszystko w domu Zarębiance.

— Wolę umrzeć z głodu, jak wrócić do tego gbura — zakończyła.

— Musiał dostać tańszą — i zrobił awanturę. No, ja się z nim jutro porachuję.

Stankarowa z rachunku tego otrzymała połowę należności i przekonanie, że pracowała pilnie i uczciwie dla wyzyskiwacza, który skorzystał z jej obrazy i delikatności, żeby się jej pozbyć i oszukać.

W magazynie zastała Zarębianka nową pannę, do której „Karl” już się umizgał, a stary to tolerował, bo była mniej płatna, a zalotna i wesola. Zarębianka, oburzona, chciała sprawę podać do sądu, ale Stankarowa zaprotestowała.

Po sądach się włóczyć, dawać przedstawienia gawiedzi, dostać się do brukowych pism — za nic!

Zgnębiona była i tak zniechęcona do pracy, że dni parę przepędziła beczynnie, niezdolna do żadnego zajęcia. Znowu ją opadły czarne myśli, rozpacz, i może najgorsza męka ze wszystkich — tęsknota do pól i borów, ciszy i samotności wsi.

Bywała wtedy jakby nieprzytomna, chora, z oczami gorejącymi — bez słowa do nikogo, nie jedząc, nie śpiąc.

Praktyczna, trzeźwa Zarębianka gwałtem ją otrzeźwiła pewnego wieczora.

— No, mam dla pani idealną pracę.

Zadrżała ze strachu, ale przypomniała sobie dziecko, chleb łaskawy i spytała:

— W magazynie znowu?

— Nie, hrabina Melsztyńska pisała do mnie, prosząc o lektorę. Stara milionerka — ofiarowuje trzydzieści rubli miesięcznie za dwie godziny przed południem i cały wieczór. Naturalnie byłam u niej i prawie rzecz załatwiona. Chce tylko panią poznać, i jeśli się podoba, to od pojutrze początek. No, chyba to się udało. Ludzi tam pani nie zobaczy — a impertynencji nie dozna.

— Dziękuję stokrotnie — odparła Stankarowa bez zapału.

— Pani mówi „dziękuję”, a myśli „wolałabym chorować”. Et, tracę nadzieję, że panią kiedykolwiek zadowolę. Mój Boże, a ma pani szalone szczęście. Popróbowalaby pani, jak niejedna, parę miesięcy szukać bezskutecznie.

— Niech pani mi daruje, ale i ja tracę nadzieję, czy w mieście zdam się na co. Wolałabym na wieś iść na szafarkę, drobiu i trzody doglądać. Tutaj mi tak strasznie ciężko.

Zarębianka ruszyła ramionami.

— A ja bym wołała kości po podwórkach kupować, byle stąd nie wyjeżdżać. Nigdy na wsi nie była, a nawet nie ciekawam, jak tam wygląda. Pewnie nie ładniej niż w Łazienkach.

Stankarowa się przemogła i uśmiechnęła się blado.

— Jutro tedy prezentuję się hrabinie i będę się starała jej dogodzić. Czy ona sama mieszka?

— Sama. Nikogo pani tam nie spotka. Stara żyje w swej kamienicy, jak puszczyk.

— Dobrze mi tam będzie! — szepnęła Stankarowa.

Nazajutrz z kartką Zarębianki poszła w Aleje Ujazdowskie i zadzwoniła do kamienicy szarej i niepozornej, do której przytykał duży, zdziczały ogród.

Otworzył jej stary Szwajcar w liberii i poprowadził na górę po kręconych, rzeźbionych schodach.

Kamienica nie miała bramy, ani lokatorów.

Na górze stary kazał jej zaczekać w gabinecie, a sam, bez szelestu stąpając po dywanach, poszedł dalej. Po chwili wrócił, oznajmił, że Pani hrabina zaraz przyjdzie — i zniknął.

Stankarowa podeszła do okna i uśmiechnęła się radośnie na widok drzew zielonych i trawników, które ujrzała. Przypomniały się jej Ługi ukochane.

Ale w tej chwili drzwi się otworzyły, wpadł naprzód piesek mały jak pięść, kudłaty i szpetny, który się ku niej rzucił, ujadając piskliwie, a za psem — kobieta, drobniutka, szczupła, czarno ubrana, z lornetką przy oczach.

— Cicho, Mietka! — zawołała i obejrzała Stankarową od stóp do głowy badawczo, jak towar na sprzedaż.

— Pani przysłana z czytelnii, od tej pani — jakże?... Zawiszanki?

— Zarębianki!

— Tak, tak — c'est ca. Ależ pani bardzo młoda. Myślałam, że dostanę starszą osobę. Nie lubię trzymać młodych, bo to się nudzi ze mną starą, i zanim nawyknę — już mnie opuszcza, a te zmiany to nieznośne! Ileż pani ma lat?

— Dwadzieścia dwa.

— To niewiele, chociaż pani i na tyle nie wygląda. Panna Zawiszanka mówiła mi, że pani zamężna.

— Tak — mam męża i dziecko.

— Właśnie, czy pani będzie miała wobec tego zupełną swobodę zająć się obowiązkiem?

— Mój mąż jest za granicą, a dziecko w dobrej opiece.

— Bo ja wymagam, żeby pani przychodziła o jedenastej, pomogła mi w załatwieniu korespondencji, sprawunków, jeśli się zdarzą, i opatrzenia ubogich, którzy się wtedy schodzą. Przy śniadaniu o dwunastej przeczyta mi pani gazety — i o pierwszej mogę panią uwolnić do szóstej. Potem spędzi pani ze mną cały wieczór, czytając, lub robiąc robotę. Idę spać o jedenastej — wtedy pani może wrócić do domu.

— Będę się starała dogodzić pani hrabinie.

— No, to możemy spróbować, chociaż za młoda pani. Stanowczo za młoda! — i pokręciła głową krytycznie.

— Jest to wada, z której się co dzień poprawia! — uśmiechnęła się Stankarową. — Więc jutro o jedenastej będę na rozkazy!

— A dlaczegóż nie dzisiaj? Zapoznasz się z mieszkaniem, ze służbą, z mymi zwyczajami. Owszem, zostań pani — jak?... Jak godność?

— Antonina! — odparła, rumieniąc się. Nazwisko męża stało się jej nienawistnym.

— Pięknego masz patrona. Mam do niego wielkie

nabożeństwo, proszę tedy za mną.

Zaprowadziła ją w głąb apartamentów. Przeszły trzy salony, umeblowane przepysznie — ale zimne i sztywne, snać nigdy nie zaludnione, i zatrzymały się wreszcie w pokoiku, umeblowanym po staroświecku w gobeliny, brązem wykładane meble, drogocenne makaty — pełnym gratów, książek i etażerek.

Tutaj spędzała życie hrabina, w wielkim fotelu, w którym ginęła jej drobna postać, przed biurkiem, stanowiącym jej archiwum, kasę i pracownię.

Ta milionerka, zajmująca sama jedna całą kamienicę, użytkowała mniej niż zwykły śmiertelnik — te parę sprzętów — i trzy pokoje.

Z fotelu swego ruszała się bardzo niechętnie, a już trzeba było niesłychanego wypadku, żeby się ruszyła z domu. Nie było to jednak życie pasożyta, jak się Stankarowej zdało w pierwszej chwili.

Korespondencja, którą się zajęła, natychmiast po zajęciu miejsca z boku biurka, na oczach hrabiny — objaśniła ją, że staruszka była członkinią wszystkich dobroczynnych instytucji, opiekunką całej falangi sierot i nędzarzy, znaną ze szczodrej ręki i dobrego serca.

Listy wszystkie były tej treści: daj, daj, daj!

W miarę czytania kazała je odkładać na dwie strony po kolei, a gdy odczytano wszystkie — na chybił trafił wybrała jedną paczkę, i rzekła:

— Te spal — tam na kominku, a na te odpisz.

Stankarowa usłuchała machinalnie, nie rozumiejąc jej rozkazu, i zasiadła naprzeciw staruszki, przygotowała papier i czekała dyktowania odpowiedzi. A hrabina brała list po liście, czytała przez lornetkę podpis i już wiedząc o co chodzi, dyktowała. Gdy załatwiono list ostatni, okazało

się, że cyfra datków wynosiła kilkadziesiąt rubli.

— Dosyć na dzisiaj! — zdecydowała, dobywając z biurka pieniądze.

Gdy Stankarowa wkładała je do kopert — objaśniła:

— Bo to, uważasz, nie mogę wszystkim od razu dać, a jakbym zaczęła wybierać, co pilniejsze, tobym żyła w ciągłych skrupułach. A tak daję połowę — ci co nie dostali, jutro się zgłoszą, i kiedyś przyjdzie i na nich los. Nie można inaczej. Zadzwoni na Jana i wypraw korespondencję.

Gdy wszedł lokaj — spytała:

— Jest tam kto?

— Czeka jedenaście — odparł, zabierając listy.

— Zaprowadź panią. Zwróciła się do Stankarowej:

— Idźże z nim. Oto masz spis. Tam czekają ubodzy i proszący. Ci co tu są zapisani — mają swój etat. Będzie tam Sakowiczowa, moja ekonomka. Ta ci dopomoże się rozeznac wśród nich. Jeśli są nowi, nieznani — zapiszesz do sprawdzenia.

Stankarowa wzięła podany zeszyt, dość dużą skrzynkę i wyszła za lokajem.

Poprowadził ją na dół — przez podwórze. Posesja wychodziła na Wiejską ulicę — była tam brama-furta — a w jednej z oficyn znajdował się duży pokój, pełen interesantów.

Była to kolekcja łachmanów, chorowitych twarzy, żalonych spojrzeń.

Wszystkie oczy zwróciły się na wchodzącą i rozległy się stękania, westchnienia, kaszle.

Gruba, stara jejmość za stołem, w głębi, powstała i ukloniła się na widok zeszytu i skrzynki.

Była to Sakowiczowa. Składała hołd reprezentantce hrabiny.

Stankarowa zjednała ją poczciwym spojrzeniem i cichym wyznaniem:

— Niech mnie pani ratuje. Nie mam pojęcia, co mam czynić. Stara uśmiechnęła się zyczliwie i rzekła:

— Pani pierwszy raz przychodzi. Dzisiaj zapewne przybyła?

— Przed godziną przyjęła mnie pani hrabina. Boję się, że nie potrafię dogodzić.

— To już od pani zależy. Bywają takie, co i tygodnia nie wytrzymują, a inne i parę lat są. Pomówimy o tym. Proszę czytać spis — ja pani pomogę.

— Franciszka Uminek! — zaczęła Stankarowa.

Jedna kobieta wysunęła się z tłumu, a Sakowiczowa na pamięć recytowała:

— Dwa bilety do taniej kuchni, kwit do apteki, dwa ruble na komorne.

Kobieta, wzdychając, wzięła co jej dawano i rzekła zmęczonym głosem:

— O Manię się spytam, czy ją do szwalni przyjmą?

— Czy tam co o tym stoi napisane? — spytała Sakowiczowa, spoglądając na zeszyt.

— Nie! Nic nie ma.

— A pewnie. Toć od tygodnia pani hrabina sama. Niech pani prośbę jej zanotuje i dalej wywołuje.

— Agata Wozińska.

Staruszka, ślepa na jedno oko, wystąpiła z szeregu.

— Dwa złote, spódnica barchanowa i kłębek bawełny do robienia pończoch. A macie, matko, co gotowego?

Staruszka podała parę gotowych pończoch.

— To dobrze, a kto dalej?

— Jan Szarak — czytała Stankarowa.

Zbliżył się do stołu człek kulawy, chudy, wynędzniały.

— Żona umarła! — rzekł, uprzedzając Sakowiczowa.

— To się Bóg nad nią ulitował — odparła i objaśniła: — Proszę napisać: żona zmarła — dano na pogrzeb trzy ruble.

— Pięcioro sierot — szeptem dodał człeczyna — gospodarz z mieszkania ruguje.

— Bądźcie spokojni. Pani hrabina o wszystkim się dowie. A kto więcej?

— Ja! — odparł chłopak z obandażowaną ręką, zapowietrzający pokój jodoformem. — Wczoraj mnie ze szpitala wypisali, alem tak słaby, że ledwie stoję. Bóg wie, kiedy robić będę mógł, a głodnym!

— Podaj nazwisko i adres. Dziś dostaniesz bilet do taniej kuchni, a jutro sprawdzimy, coś za jeden.

— To i mnie proszę zapisać: Karolina Mydłek na Czerniakowskiej. Mąż pół roku leży, stara matka leży, dzieci pięcioro. Jak ratunku nie dostanę, to chyba do Wisły iść!

Zapisywała Stankarowa, wydawała ze skrzynki pieniądze, bony, bilety, wokoło gwar narzekań i próśb rósł — cisnęli się wszyscy do stołu, a każda nędza była — zda się — od poprzedniej cięższa, a każda potrzeba nagłą i konieczną. Odchodzili jedni, wciskali się drudzy, powietrze stawało się duszne, w głowie jej huczało.

Wreszcie skrzynka była pustą. Stankarowej serce się ścisnęło, wobec kilku jeszcze, co czekali i co odejdą bez pomocy.

— Mój Boże! — szepnęła do Sakowiczowej. — Jakże tych odprawić z niczym!

Stara, otrzaskana od wielu lat z podobnym widokiem, odparła spokojnie:

— Tak się to każdemu zrazu strasznym zdaje. Ale co robić. Do wieczora by ich starczyło, a na rok by nie stało

funduszu hrabiny. A i tak ona wszystko co ma — na tę ofiarę daje.

— Na jaką ofiarę?

— Ano, na to nieszczęście hrabiego.

Stankarowa nic nie zrozumiała i nie śmiała dalej pytać. Patrzyła smutno na pustą skrzynkę.

Sakowiczowa odprawiła spóźnionych, otworzyła okna, zawołała dziewczynę, której kazała sprzątać izbę, i rzekła:

— Ja tu obok mieszkam. Może pani raczy wstąpić.

Weszły do dwóch schludnych pokoików, a gdy Stankarowa przede wszystkim zachwyciła się kwiatami w oknie, gospodyni ją powiadać:

— Kwiaty mi ogrodnik przynosi. Co ma z nimi robić, są przecie szklarnie i cieplarnie w ogrodzie, do których oprócz niego nikt nie zagląda. Już pięć lat jak pani hrabina nie była w ogrodzie, ani w tej części domu.

Wskazała boczne skrzydło, zwrócone do ogrodu, a potem inne okna, i tłumaczyła:

— Tam mieszka rządcą, a tam profesor Girą, a tam Stachórska, co pincerów dogląda, a tam Marcinkowska, co zarządza kościelnymi haftami, a tam Pawlik, emeryt, kamerdyner nieboszczyka hrabiego, a to okno gabinetu hrabiego, a to okno gabinetu hrabiny.

— A to całe skrzydło od ogrodu? — spytała Stankarowa, którą pociągały, nęciły gęstwiny zielone, widne przez boczną bramę, i parkan między tym skrzydłem, a stajniami, od Wiejskiej ulicy.

— A to apartamenty hrabiego Romana... puste! — jakimś innym tonem objaśniła Sakowiczowa. Ale Stankarowej hrabia Roman nie zaciekawił. Popatrzała raz jeszcze na czuby drzew, westchnęła.

— Tam musi być ślicznie. Jak wieś!

Przesunęła ręką po czole, a że zegar w tej chwili wybił pierwszą, zerwała się przestraszona.

— Muszę wracać. Dziękuję pani. Sakowiczowa ruszyła się także.

— I ja idę na górę z raportem — rzekła.

Po drodze spytała.

— A pani warszawianka?

— Nie. Za mąż wyszłam do miasta. Trzy lata temu. Całe życie na wsi byłam.

— I ja ze wsi. Mój mąż był kasjerem w dobrach hrabiego, piętnaście lat jak umarł, i tutaj mnie pani hrabina zabrała. Ojciec mój dzierżawcą tam był.

— I pani potrafiła piętnaście lat w mieście wytrzymać. Tyle czasu!

— A cóż, przywyka się. I pani przywyknie.

— Ja — nie, o nie! — zaprzeczyła żałośnie.

— Najgorzej z początku. A mąż pani ma tutaj posadę?

— Nie. Mąż wyjechał za granicę — tam pracuje. Ja zostałam z dzieckiem. Ubodzy ludzie jesteśmy!

Schyliła głowę i dodała:

— Żeby nie dziecko, na wsi bym służby szukała — byle jakiej. Tam życie — a tutaj męka! Ptaki tutaj w klatkach i ludzie w klatkach.

Weszły do gabinetu, i Sakowiczowa zdała sprawę z przebiegu dobroczynnego zajęcia.

— Dobrze, Sakosiu. Teraz mi sprawdź stan tych nowo przybyłych, a skrzynkę do rządcy odeślij. Niech mi ją napelni, a wieczorem sam z nią przyjdzie, bo mam z nim do pomówienia. I pani już odejdzie, pani Antonino, proszę mi wieczorem przynieść z czytelni książkę, dobrą powieść francuską, panna Zarębianka zna mój gust. Zaczniemy głośne czytanie.

Stankarowa skłoniła się i wyszła. Na schodach spotkała staruszka księdza i jakąś damę w żałobie, i dosłyszała urywek rozmowy.

— Rozmaite są skutki gromu, pani baronowo. Jednego kaleczy, drugiego ogłuszy tylko, a innego zabija. Snać hrabia Roman do tej ostatniej należy kategorii.

— Za młody! — odparła baronowa. — Gdy pierwsze wrażenie minie, opamięta się, że szkoda życia dla awanturnicy!

— Tym ciężiej odczuje, co dla niej poświęcił i stracił.

Drzwi się zamknęły. — Stankarowa znalazła się na ulicy, zawahała się chwilę i, zamiast ku domowi, poszła raz jeszcze spojrzeć na cen kuszący ogród przez żelazne sztachety.

Ale nie zobaczyła głębi. Sztachety były gęsto oplecione winem pachnącym, stanowiły jedną zieloną ścianę, poza którą wzrok nie sięgał.

Westchnęła i zawróciła w stronę placu.

W domu czekała ją niespodzianka. List pieniężny od męża.

Zawierał sto franków i kartkę z tymi tylko słowy:

„Na utrzymanie Jani. Proszę, by jej na niczym nie zbywało.”

Krew oburzenia trysnęła do twarzy kobiety.

Ani słowa do niej, ani uznania winy i żalu za... krzywdę i opuszczenie, ani tłumaczenia!

Zmięła kartkę, żywo wzięła arkusz papieru, i napisała: „Na Janie potrafię sama zapracować. Pomocy nie potrzebuję, ani nawet pamięci.”

Włożyła pieniądze do koperty, zaadresowała, i, nie zwlekając chwili, poniosła na pocztę.

Zarębianka tym razem nie uczyniła żadnej uwagi,

dopiero, gdy młoda kobieta wróciła, rzekła:

— No, jakże się pani u hrabiny podobało?

— Od dziś każde zajęcie mi się podoba. Każde wezmę i wszystko zniosę. Policzkować się nie dam!

Pałała jej jeszcze twarz, wzięła małą na ręce i przygarnęła do siebie.

— Wyhoduję ją i wychowam sama, i nie dam tak wierzyć, jakem ja wierzyła!

Pieszcząc dziecko, uspokoiła się po chwili i zaczęła opowiadać o swych nowych zajęciach, potem przypomniała sobie rozmowę, zasłyszaną na schodach, i spytała:

— Któż jest ten jakiś hrabia Roman i co się mu przytrafiło?

— A to była przed trzema laty głośna historia. Pisały gazety i gadał każdy przez cały, cały tydzień. Zabił w pojedynku krewnego — jedynaka u rodziców i swego najbliższego przyjaciela. Poszło o żonę, która jakoby z tym kuzynem miała romans. No, a w rok potem żona uciekła ze śpiewakiem Włochem i okazało się, że miała kochanków bez liku.

— Więc on jest synem hrabiny?

— Wnukiem i jedynym spadkobiercą. Po tej awanturze strzelił do siebie, ale go odratowano, i odtąd nie mieszka w Warszawie. Podobno trochę wariat, czy melancholik. Co prawda, mogło się człowiekowi w głowie pomieszać po tym wszystkim.

— Biedna staruszka! — szepnęła Stankarowa, zamyślona.

— Pewnie, że oni oboje od nas wszystkich biedniejsi. Nie trzeba nad swoją dolą nigdy rozpaczać — ale spojrzeć wokoło. Zobaczy się zawsze gorsze nieszczęścia, w

porównaniu człowiek moc czerpie i, zamiast bluźnić, Bogu podziękuje.

Zapamiętała Stankarowa te słowa i wieczorem, idąc na służbę, rozmyślała nad pustką i smutkiem tej samotnej starości. Chowała zapewne staruszka tego wnuka, jedyną latorośl rodu i podporę swego wieku i spadkobiercę wielkiej fortuny i wielkich obowiązków. Bóg wie, co za chlubę z niego miała. A on ją opuścił dla awanturnicy, która nazwisko wstydem okryła i jemu życie złamała.

Mimo woli zestawiała ją, samą w pałacu, ze starym stryjem swoim, który równie samotny — przez nią opuszczony — w swej pustce ostatnie lata pędził, i pierwszy raz uczuła, że popełniła krzywdę, za którą teraz pokutuje.

Szwajcar, otwierając jej drzwi, oznajmił:

— Pani hrabina jeszcze przy obiedzie. Pani raczy w gabinecie się zatrzymać i zaczekać.

W gabinecie wszystko było do wieczornego posiedzenia gotowe. Pomimo lata ogień się palił na kominku. Obok stał fotel — na biurku hrabiny rozłożona robota szydełkowa, a naprzeciw dla lektorki krzesło. Z obok leżącej jadalni dochodził brzęk porcelany i srebra, rozmowa kilku osób i zapach wykwintnego jadła.

Kwadrans może oczekiwała Stankarowa, oglądając obrazy po ścianach. Jeden portret nad kominkiem był zapewne hrabiego Romana. Przedstawiał bardzo pięknego mężczyznę w hiszpańskim stroju.

Z dobrej zapewne epoki pochodził, bo uśmiechały się usta, a oczy patrzyły marząco, ale marzeniem szczęśliwym.

Rumor krzesel przerwał obserwacje Stankarowej i po chwili do gabinetu weszła hrabina, za nią ten sam, spotkany na schodach rano ksiądz, a na końcu jeszcze jeden

staruszek, łysy, w okularach, z wielką białą brodą, dość niedbale ubrany.

— Pani już czeka, przepraszam, spóźnił się dzisiaj obiad! — rzekła uprzejmie hrabina, ale jej nie przedstawiała nikomu, i w ogóle gośćmi swymi nie zajmowała się wcale.

Usiadła i spytała, jaką przyniosła książkę, potem wzięła robotę i rzekła:

— Może pani zaczynać.

Trochę ze strachem Stankarowa zaczęła czytać, ale opanowała wrażenie i szło gładko. Książ zabawił ledwie chwilę, wziął „Przegląd Katolicki” z etażerki i bez pożegnania się wyniósł. Staruszek ulokował się wygodnie w fotelu u kominka, z rękawa dobył tabakierkę, zażył, kraciastym fularem otarł nos i przymknął oczy do drzemki.

Czytając, Stankarowa miała uczucie, że jest daleko od miasta. Nie dochodził tu żaden turkot, żaden szmer nawet, nie słychać było dzwonek, bieganiny po schodach. Doznawała złudzenia, że jest w Ługach, że stryjowi czyta.

Nawet dla większego podobieństwa Mietka po dobrym obiedzie chrapała smacznie w swym jedwabnym gniazdku, jak taksy w Ługach — i ogień czasem prysnął strzelił wesoło — jak w Ługach.

— Dobrze mi tu, dobrze, cicho! — szemrało w jej zmęczonej duszy. — Nie ma ludzi, nie słychać życia, o jak dobrze. — I czytała machinalnie.

Wtem hrabina przerwała:

— Co takiego! To nie ma związku. Niech pani powtórzy.

— O przepraszam! Odwróciłam dwie kartki — poprawiła się przestraszona.

— Snać pani czyta bez uwagi. Ale to przecie

interesująca powieść. Czy panią to nie zajmuje?

— Przepraszam najmocniej. Byłam roztargniona.

— Ja się nie gniewam, tylko się dziwię, że panią, tak młodą, nie bawi powieść. Może pani ją już czytała:

— Nie, nigdy nie czytuję powieści.

— Dlaczego?

— Bo to tak dalekie od prawdy. Hrabina spojrzała ku niej zdziwiona.

— Zapewne, ale pani za młoda, żeby to mówić. Pani jeszcze nie wolno o tym wiedzieć. To za wcześnie.

— O nie, o tym wiedzieć nigdy nie za wcześnie. Grzechem jest utrzymywać ludzi w fałszu, za który życiem się płaci. To za drogo kosztuje.

— Więc pani jest zdania, że żadnej złudy nie trzeba zostawiać. Karmić już dzieci nagą, brudną prawdą! Pani jest zwolenniczką Zoli?

— Nie czytałam Zoli, ale żyłam i żał mi tych, którzy marzą i wierzą w ideały wśród ludzi — i w czystość czegokolwiek na tym świecie.

Hrabina spuściła głowę nad robotą. Usta jej usunęły się w bolesny grymas i więcej jeszcze brózd wystąpiło na twarz.

— Klątwa Boża jest nad wami młodymi, i w wasze dusze jak robak się wżarła. Biedni jesteście!

Umilkła, a Stankarowa nierada, że się ze zdaniem wyrwała, czytała dalej.

Ale w tej chwili ocknął się profesor i rzekł powoli przez nos, sennym głosem:

— Mole mi wpadły do zbiorów i mogą pobić Darwina. W walce o byt najwięcej trofeów zabierają najmarniejsze jestestwa. Taki mól — pożre tygrysa. Dobrały się już do tego, którego mi hrabia z Indii przysłał. Bengalski król —

pastwą moli, a człowiek, co pokona tygrysa, nie da rady molom. Najmniejsze — najgorsze.

Hrabina uśmiechnęła się bardzo boleśnie.

— Ma rację profesor. Mole wszystko stoczą! — rzekła zmienionym głosem.

Ale staruszek nie filozofią, ale rzeczywistymi molami był zajęty — zupełnie się rozbudził, wyprostował.

— Jednakże trzeba się od nich bronić, bo to nie żarty. Pójdę jutro o radę do profesora Prószyńskiego, do zoologicznego muzeum, a do hrabiego trzeba o niebezpieczeństwie napisać. On młody, weźmie się energicznie do dzieła. Ja napiszę — czy adresować do Orlina?

— Nie ma go tam.

— Więc gdzie go szukać?

— Nie wiem. Jest za granicą. Może przyjedzie.

— Ha, ale kiedy? Może znaleźć w zbiorach ogromne straty. Hrabina nic nie odrzekła, rada widocznie rozmowę przerwać, ale stary był uparty. Począł zrzędzić.

— Kto takie skarby zebrał, powinien o nich pamiętać. Co będzie, jak mole dobiorą się do kolekcji motyli? Takiej drugiej nie ma na świecie.

Znać było na staruszce zniecierpliwienie.

— Zginą profesora motyle jak już zginęło wiele rzeczy — nie do odzyskania. Trzeba się z tym pogodzić. Proszę, czytaj pani dalej — dodała prędko.

Wieczór upłynął już bez przerwy — ale wracając do domu, pomyślała Stankarowa, że nie każda cisza bywa pogodą i nie każdy spokój szczęściem.

IV

Nazajutrz i dni następnych tryb jej zajęć i żyda” na włos się nie zmienił. Po paru tygodniach wciągnęła się i wprawiała, a hrabina do niej nawykła i widocznie była rada usługom. Zaczęła ją posyłać na miasto po sprawunki i z poleceniami, powierzać pieniądze i ustne interesy do znajomych. Zdarzało się, że Stankarowa nie wracała po południu do domu, albo czasem przychodziła późno, gdy byli goście u hrabiny.

Gdy raz wpadła o północy wystraszona, bo ją jakiś podchmielony młodzik ścigał, oburzyła się Zarebianka:

— Mogłaby też stara kazać pani sprowadzić dorożkę lub dać własne konie.

Ale Stankarowa nie umiała się cenić i drożyć. Rada była staruszce dogodzić, nie rachowała swego czasu.

Gdy miesiąc się skończył, nie śmiała wspomnieć o zapłacie, a staruszka zapomniała widocznie. Dopiero w dziesięć dni potem przypomniała sobie.

— Patrzcie, to już sześć tygodni, jak pani jest u mnie. Nie wspomniała mi pani nic. Przecie pani potrzebuje pieniędzy.

Odrachowała należność i dodała:

— Naprawdę — mogłybyśmy już ułożyć się na przyszłość. Ja bym panią bardzo chętnie chciała mieć na stałe. Mieszkanie i utrzymanie miałaby tu pani i to samo wynagrodzenie, ale pod warunkiem, że pani zostanie aż do mojej śmierci. Nie lubię nowych twarzy i zmian.

— Nie mogę przyjąć propozycji. Mam dziecko!

— Dziecko ma pani! Pierwszy raz słyszę. Gdzież ono

jest?

— Panna Zarębianka się opiekuje.

— Więc pani już wdowa?

— Nie, mam męża, ale mieszka w Paryżu! Jest malarzem. Staruszka badawczo jej się przyglądała.

— To szczególne! — zamruczała i już nie pytała dalej. Dopiero wieczorem, żegnając ją, rzekła:

— Zapewne mąż pani zechce zabrać do siebie żonę i dziecko? Żałuję, że pierwej nie знаła domowych pani stosunków.

— Mąż mnie nie zabierze! — odparła lakonicznie. Będę służyć, dopóki się pani hrabinie podoba mnie zatrzymać. Jestem wolna.

— Tak się to mówi, ale... — i urwała, machnąwszy ręką.

Od tego dnia stała się bardziej etykietalną i sztywną i już nie wspominała, jak pierwej, o projektach nadal. Miała też widocznie sporo utrapień, o których pośrednio z listów dowiadywała się Stankarowa.

Regularnie co tydzień generalny rządca rozległych dóbr ziemskich pisywał sążniste sprawozdania, lub dawał zapytania w ważnych sprawach. Listy te kazała odkładać na bok i zbierał się ich plik coraz wyższy na etażerce. Zastawała ją często Stankarowa, stojącą nad nimi, bezradnie, smutnie patrzącą.

Wreszcie na jesieni pan Wichrowski, plenipotent, sam przyjechał. Gdy go lokaj zameldował, staruszka nie potrafiła ukryć wielkiej zgrzyoty.

— Po co on do mnie się zgłasza! — wyrwało jej się mimo woli, ale się pohamowała, wyprostowała, i rzekła:

— Prosić!

Wszedł mężczyzna barczysty, opalony, ubrany, jak na

audiencję u papieża i, złożywszy głęboki ukłon, rzekł, jękając się:

— Pani hrabina daruje, ale musiałem do niej się udać po ratunek. Żebym miał adres pana hrabiego, pojechałbym chociaż do antypodów. Tyle spraw się nagromadziło, przechodzących moją plenipotencję, że już nie wiem, co dalej czynić. Jest szczególnie sprawa jedna tak drażliwej natury, że...

Tu urwał i spojrział na Stankarowa. Hrabina zrozumiała i rzekła Prędko:

— Wątpię, czy w czymkolwiek pomóc i poradzić będę mogła. Adresu hrabiego nie wiem.

Wichrowski głowę zwiesił i mruknął:

— Piętnaście lat służę, ale chyba wobec tego stanu rzeczy będę się musiał usunąć.

Staruszka wzdrygnęła się i zwróciła się do Stankarowej:

— Moja droga, weź Mietkę i te listy i załatw interesy. Zarazem psinę przespacerujesz.

Zaledwie drzwi się za nią zamknęły, Wichrowski począł mówić cicho, wzburzonym szeptem:

— Proszę pani hrabiny, od dwóch tygodni mam gościa w pałacu — młoda pani zjechała.

— Kto? Ta! — wykrzyknęła staruszka. — I pan ją przyjął — jakim prawem:

— A jakimże prawem mogłem nie przyjąć?! To ona mnie wygnąć może. Jest przecie prawą żoną i panią, ma na dobrach ogromny; zapis, i nikt jej z pałacu wyrzucić nie może! Jest, bawi i rozkazuje. Co mam robić?

Staruszka opuściła ręce na kolana, patrzyła posepnie przed siebie i milczała.

Wichrowski, uniesiony oburzeniem, mówił już śmiało:

— Co ja zniosłem przez te dwa lata! Przegraliśmy

proces graniczny, z braku dokumentów, które pan hrabia ma zapewne u siebie, straciliśmy sprzedaż leśną i kupno folwarku, który nam jest konieczny dla figury majątku, a który poszedł na parcele. Cała stajnia wyścigowa zmarniała. Interes o fabrykę cukru przepadł — są to setki, tysiące strat. Jeszcze takie dwa lata, a wszystko zmarnieje, i ja nawet opinii własnej nie uratuję — nikt nie uwierzy, że ta ruina W nie wina moja. A ja mam ręce związane. Pan hrabia wszystko sam prowadził, masę interesów zaczął, był tak czynny i samodzielny, że ja byłem tylko narzędziem, bez żadnych praw i mocy. I z taks plenipotencją zostałem. Nie mogłem nic sam działać — a teraz nie mogę nic uratować. Wolę się usunąć, jeśli pani hrabina nie użyje swojej powagi dla ratunku.

— A cóż ja zrobić mogę? Tam nie pojedę — do tej, tej!

— Pani hrabina może swoją powagą wezwać pana hrabiego do powrotu.

— Za wiele sobie pan obiecuje z tego powrotu. Zresztą gdzie go szukać?

— Na to jest sposób. Można zapytać banku, gdzie ostatni raz kazał sobie wysłać pieniądze. Jeśli pani hrabia pozwoli, ja znajdę ślad — chodzi tylko o słowo od niej.

Wiedział Wichrowski o domowych stosunkach i o tym, że babki wyrzekła się wnuka, nie darowała mu pojedynku, zabójstwa, potem samobójczego zamachu, że wyklęła go i odtrąciła, zerwała wszelkie stosunki, i że tylko ona mogła go na powrót sprowadzić. Staruszka zapamiętała była — trafił na opór.

— Żądasz pan za wiele ode mnie. Mój wnuk nigdy mi nie był uległym i teraz tym bardziej, moje słowo nic nie będzie znaczyło. Zresztą po co go sprowadzać? On się do dzieła nie weźmie.

— Więc mam znosić w pałacu to towarzystwo?

— Jakie towarzystwo?

— Pani przecie nie sama przyjechała. Jest jakiś Francuz — jeszcze jakiś stary jegomość i dwie damy. Dobrana kompania. Wyszuszają piwnice, biesiadują w portretowej sali, plądrują wszędzie. Groby rodzinne każą otwierać, szperają po trumnach nawet (trafił nareszcie dobrze). Ja tam nie wrócę.

Staruszka na wzmiankę o portretach i trumnach podskoczyła w fotelu.

— Idź pan — szukaj adresu! Napiszę! Odetchnął.

— Jutro przyjdę — rzekł, biorąc za kapelusz.

Hrabina, nie opanowując swego oburzenia, wzięła arkusz papieru i, chociaż nic nie widziała, pisała okropnymi hieroglifami:

„Zgraja paryskich szumowin — z była twą żoną na czele — obsiadła pałac w Orlinie. Ponieważ zaś w domu tym żyli dotąd twoi przodkowie i szanowali swe gniazdo, i w grobach spoczywa twój dziad i rodzice, i ja spocząć pragnę — wymagam, abyś przez wzgląd na mnie, natychmiast powracał i plugastwo to usunął, jeśli pozostało w tobie choć trochę poczucia jakiegokolwiek obowiązku i poszanowania dla moich siwych włosów.”

Napisawszy to, hrabina włożyła w kopertę — zakleiła starannie, a potem kazała zawołać Sakowiczową — i, wsparta na jej ramieniu, poszła do swej domowej kaplicy i modliła się długi czas. Nie wiadomo jakim sposobem, Sakowiczową dowiedziała się o nowinie tej, ale w parę dni potem, po zwykłej audiencji ubogich, rzekła do Stankarowej:

— Będą tu u nas znowu okropne historie. Hrabia teraz wszystkich tam pomorduje.

— Kogo?

— A toć ta jego żona zajęchała do Orlina. Nie słyszała pani? Wichrowski nie może jej dać rady — i sprowadzają hrabiego. Jezus Maria! Co to będzie! Nie daj Boże takiego nieszczęścia jak złe małżeństwo. Teraz to już nasza hrabina nie przeżyje.

Jednakże staruszka zachowywała świetnie pozorny spokój. Cały wielki świat wiedział już o nowym skandalu i odwiedzano ją ciekawie, węsząc nowinki. Niestety, ona się niczym nie zdradzała, a przyzwoitość nie pozwalała pytać jej wprost. Uływały tygodnie w zwykłej monotonności i Stankarowa zapomniała prawie o zwierzeniach starej gospodyni, gdy pewnego wieczora, idąc na zwykłe czytanie, ujrzała światło w oknie na prawo, a szwajcar, otwierając jej, szepnął j jakimś dziwnym tonem:

— Pan hrabia przed chwilą przyjechał.

Tak już była wtajemniczona w sprawy domu, że się przeraziła tą wieścią i stanęła jak wryta. Nie znając tego człowieka, bała go się okropnie.

— Może lepiej uczynię, nie idąc dzisiaj na górę — szepnęła.

— Pan hrabia jest u siebie i od obiadu się wymówił. Może dzisiaj się nie pokaże.

Poszła tedy. Zastała hrabinę na zwykłym miejscu — przy biurku — stary profesor drzemał w fotelu, pokój tonął w mroku, oświetlony zaledwie paru świecami i żarem węgla z komina.

Nic się w trybie codziennego życia nie zmieniło. Stankarowa usiadła na swym krzeselku, a hrabina spytała:

— Podobno chłód dzisiaj na dworze.

— Nie uważałam, bom biegła prędko. Przepraszam za opóźnienie.

— Nic nie szkodzi. Wieczory coraz dłuższe.

Stankarowa rozłożyła książkę, ale była roztargniona i ciągle nasłuchiwała. Nic jednak nie przerywało martwej ciszy tego domu i samotności tych dwojga starych ludzi.

Upłynęła tak godzina, gdy gdzieś w sali skrzypnęły drzwi i rozległy się kroki po pustych salonach. Mimo woli Stankarowa czytać przestała i rada by pod ziemię się ukryła, byle przy tym powitaniu nie być. Spodziewała się czegoś okropnego — sama nie wiedząc czemu.

Tymczasem drzwi się otworzyły i głos trochę głuchy wyrzekł lakonicznie:

— Bon soir...

Młoda kobieta spojrzała nieśmiało na tego sinobrodego.

Był to mężczyzna wysoki i szczupły — zapewne ten z portretu, ale bardzo zmieniony.

Włosy przy skórze obcięte były prawie siwe, twarz jakby wyniszczona długą chorobą i opalona na brąz — oczy zimne i wygasłe, na ustach wyraz gorzkiego cynizmu i pogardy.

Podszedł do babki i pochylił się do jej ręki. Podała mu ją, jak królowa. Pocałował i dodał jako tłumaczenie spóźnienia:

— Musiałem się po podróży ogarnąć.

— Jedziesz z Orlina? — spytała tak ostrym tonem, jakiego nie znała w jej ustach Stankarowa.

— Tak! — odparł.

— Eh bien?

— Wszystko załatwione według babki woli. Surowo, niespokojnie, pytająco nań patrzała. Uśmiechnął się szyderczo z pogardliwym lekceważeniem:

— Oh, pas de morts. Ma cravache a suffi! — odparł, oglądając się wokoło.

Teraz dopiero spostrzegł Stankarowa i sekundę wzrok na niej zatrzymał, potem widząc, że babka jej nie prezentuje, uklonił się w milczeniu.

Profesor się wreszcie obudził.

— Jesteś, hrabio, nareszcie? Widziałeś już, jak ci mole urządziły zbiory?

— Zniszczyły? Ha, to może będzie zajęcie zbierać na nowo.

— Jeśli cię cieszy chów moli, to dużo prościej kupuj stare futra, lub wełnę, i paś je! Przywiozłeś co nowego? Byłeś podobno w Kamerunie?

— Nie, byłem w Szkocji i Norwegii. Przywiozłem tylko żywego psa.

Profesor pogardliwie ręką machnął, poprawił się w fotelu i drzemał dalej.

Stankarowa złożyła książkę i rzekła z cicha:

— Mogę odejść? Może jutro nie przychodzić?

— Owszem! Jak zwykle. Dobranoc, ma chère.

Wróciwszy do domu, zastała Stankarowa niespodziankę — list od męża:

„Ze zwróconych mi pieniędzy wnoszę, że ci się dobrze powodzi. Czyś otrzymała sukurs od stryja? Rad też jestem, żeś mi zdjęła z głowy kłopot o małą, bo moja kasa artystyczna jest bardzo zmienna. Teraz jestem a flot i czuję, że żyję! Modelki, szelmy, są tylko bardzo drogie, i trudno o coś zupełnie typowego. Mam nadzieję, żeś się już z naszym rozstaniem pogodziła i zrozumiała, że to było dla mego talentu konieczne.

Jeśli mi dobrze pójdzie, przyjadę może na wiosnę, by cię odwiedzić.”

Twarz Stankarowej mieniła się przy czytaniu, a przy końcu wzdrygnęła się ze wstrętem. Zmieła list i rzuciła pod

stół. Potem chwilę stała jakby przerażona otchłanią nienawiści, pogardy, obrzydzenia, jakie czuła w duszy dla tego człowieka — dawnego bóstwa. Wstydem jej życia się stał, a zmorą — każde jego wspomnienie.

Dziecko już spało, a ona była sama w pokoju, który odnajmowała u Zarębianki — nie potrzebowała ukrywać wrażeń i uczuć. Co będzie, jak przyjedzie? Żoną jego jest! Ma prawo do niej, do dziecka — prawa boskie i ludzkie. Uwolnić ją może tylko śmierć. Jednakże, jak jej dusza wzmocniła się przez ten czas pracy i biedy zwalczanej! Przed pół rokiem może by rozpaczała, drżała ze strachu, teraz po chwili wzburzenia i niepokoju odzyskała równowagę i znalazła otuchę.

— Ucieknę, skryję się. Będę skąpic, oszczędzać, aby móc z wiosną stąd wyjechać, aby i ślad mój zginął.

I już spokojna poszła do jadalni przywitać swe opiekunki.

— Mam dla pani cud, nie posadę! — zawołała Zarębianka.

— A po co? Przecie mnie hrabina nie odprawia.

— Ale tam dają czterdzieści pięć rubli miesięcznie. Biurowa praca — tylko do czwartej. Wieczory i święta wolne i o trzy kroki stąd.

Piętnaście rubli było kuszące, ale Stankarowa odparła:

— Zostanę u hrabiny. Ludzi tam się nie spotyka prawie, cicho, spokojnie. Zresztą obiecałam jej służyć, póki zechce — i jużem do zajęcia nawykła. Mówiła mi, że na lato wyjedziemy na wieś i małą pozwoliła mi zabrać. Nie, nie opuszczę jej — chyba...

Tu się zacięła i poczerwieniała.

— Chyba mąż się odnajdzie! — podpowiedziała Zarębianka, ale, widząc ponure ściągnięcie brwi, dodała:

— Ej, ej! Pani chyba legatu od hrabiny się spodziewa, bo baba podobno nieznośna piła!

— Przywykłam. Zresztą — niewesołą ma ona starość, więc nie dziw, że gorzka!

Na tym się skończyło. Zarębianka nie nalegała.

Stankarowa z akuratnością maszyny ruszyła nazajutrz w Aleje.

Nic się tam nie zmieniło, tylko wizyt było dużo tego dnia, widocznie ciekawych hrabiego.

Ale on był niewidzialny, tylko na progu jego apartamentów, z powagą sfinksa, leżał olbrzymi pies śnieżnobiały, patrzący z lekceważeniem na przychodzących gości.

Przechodząc przez sień do ubogich, Stankarowa, stanęła chwilę nad przepysznyim stworzeniem.

— Jakiś ty piękny! Nie ciasno ci tu, nie nudno? — szepnęła pieszczotliwie.

Pies raczył podnieść głowę i popatrzał na nią chwilę mądrymi oczami, potem westchnął i znowu się ułożył.

Wieczorem, gdy przyszła na czytanie, hrabia siedział w kącie gabinetu, w fotelu, i milczał.

Staruszka milczała także, profesor jak zwykle drzemał. Trudno było o bardziej smutne, nudne towarzystwo.

Wejścia lektorki hrabia wcale nie zauważył, dopiero gdy zaczęła czytać, drgnął na dźwięk głosu i podniósł wzrok na nią.

W ogólnym mroku tylko jej twarz oświetlona była, i on długą chwilę się przyglądał, jakby zdziwiony, skąd w tym domu się wzięła ta młodość, ta piękność i ten głos dźwięczny i to jakieś życie zgoła inne.

Potem wzrok jego zmętniał, zgasł, utonął w próżni.

Nieruchomy przesiedział cały wieczór. Gdy podano

herbatę, wstał, przeszedł do jadalni, wypalił cygaro i wrócił, by babce życzyć dobrej nocy.

— Zabierz te listy z etażerki. To są interesy! — rzekła mu sucho. Spojrzał po sprzętach, szukając.

— Podaj proszę, ma chère. Dobranoc ci! — odprawiła staruszka oboje razem.

Stankarowa podała listy i ustąpiła o krok, aby przeszedł pierwszy, ale on usunął się z lekkim ukłonem i wyszedł za nią. Za drzwiami nagle się odezwał:

— Nie przedstawiono nas sobie. Pani pozwoli, że sam to uczynię.

Skłoniła się, powiedziała swe nazwisko i szła dalej.

— Pani już dawno jest u mojej babki?

— Pięć miesięcy.

— To niesłychanie długo.

— Nie wydało mi się. Dobrze mi tutaj. Tak cicho! Popatrzył na nią zdziwiony.

— Lubi pani ciszę? Skinęła głową.

— Szczęśliwy, kto ją ma! — rzekł.

Byli już na dole schodów. Biały pies na jego widok podniósł się i parę kroków na spotkanie postąpił.

— Jaki on piękny! — zawołała Stankarowa.

— I dobry, co nigdy w parze u ludzi nie chodzi — odparł. Zwrócił się do szwajcara, który, zdziwiony rozmową, gapił się beczynn timer.

— Okrycie pani podaj!

Skłonił się jej i wszedł do swych apartamentów.

Dnie następne płynęły z zegarkową ścisłością. Co wieczór zastawała Stankarowa milczącą trójkę w gabinecie, jej głos jeden przerywał grobową ciszę; odchodziła, nie usłyszawszy słowa, oprócz pożegnalnego bon soir, ma chère — hrabiny.

Hrabia się nigdy do niej więcej nie odezwał, witał i zęgnął ukłonem. Czują jednak często na sobie jego wzrok i czują też, że między babką i wnukiem rośnie z dniem każdym burza cicha, pokryta wytwornymi formami towarzystwa.

Nareszcie pewnego dnia burza wybuchła.

Staruszka o południu wyprawiła Stankarowa na spacer z Mietka i jednocześnie posłała lokaja prosić na górę hrabiego.

Gdy przyszedł, spytała go oschle:

— Proszę cię, wytłumacz mi swoje postępowanie. Dlaczego dotychczas nie oddałeś żadnych wizyt. Tak może zachowują się w Australii, skąd wracasz, ale nie w Europie.

— Nie widzę potrzeby zadawania sobie przymusu. Świat mnie, a ja świata nie potrzebuję.

— Szkoda zatem, żeś nie został u ludożerców.

— Przyjechałem na wezwanie babki, spełniłem rozkaz.

— A dalej co będziesz robił?

— Nic. Życie już odbyłem!

— To nazywasz życiem? Nie czujesz w sobie sił do rehabilitacji tego życia?

— Nie. Umarłych się nie wskrzesza.

— Tak. Ale grzechy się maże, a twoje wszystkie wołają o pomstę do Boga.

Skurczyła mu się twarz i zbladł, ale milczał.

— Nie masz nawet odwagi ludziom w oczy spojrzeć.

— Nie mam ochoty — poprawił. Staruszce drżały ręce.

— Czy ty chcesz, żebym cię jeszcze, konając, przeklęła?

— zawołała zmienionym głosem.

— Jużem przekleństwo babki miał wtedy, przed moją śmiercią. Czy to nie dosyć? Do mnie już żadna groźba nie ma przystępu.

— Więc po cóż tu jesteś?

— Po co? — powtórzył powoli, myślą daleki. — Po co ja tu jestem? Nie wiem! Mogę wyjechać.

Mówił głosem bezdzwięcznym, cichym, jak człowiek, którego gwałtem budzą.

Babka podniosła na niego oczy i długo się wpatrywała. Gdzieś, z dna serca, dawno, zda się, umarłe, poruszyło się w niej uczucie dla tego jedyne jej krwi dziecka.

— Zostań! — rzekła z westchnieniem.

Zdziwił go inny ton i spotkali się oczami. Wyciągnęła do niego rękę.

— Mówże co! Co ci jest? Przecie tak być nie można. Masz zaledwie trzydzieści parę lat. Co z resztą życia będzie? Romek!

Wziął jej starą rękę w obie dłonie, pochylił się i pocałował. Po zmarszczkach jej twarzy łyzy biec poczęły. Wstrząsnął go ten widok.

— Babciu, zrobię, co chcesz. Nie, takich łez nie zniosę — szepnął miękko.

— Powiedz, co ci jest, może ja co poradzę. Widzisz — takie straszne rzeczy przeszły. Musiałam karać. Aleś ty mi jeden. Tyłem się za ciebie modliła i myślę wciąż o tobie. Jest nas przecie dwoje nieszczęśliwych. Mów! Jam ci matka.

— Ja już nawet nieszczęśliwym się nie czuję. Jestem niczym. Umarły. Nic nie chcę, nie cierpię, nie cieszę się, nie myślę, nic, nic!

— Romku, nie ma win bez zmayı — nie ma upadków bez powstania. Z najgorszej nędzy może być odrodzenie.

— Ale co jest odrodzenie, jakie powstanie? Kto, co wróci mi wiarę?

— Przymuś się do czego. Do zajęcia, do nauki. Pomóż

swej duszy.

— Nie mam siły!

— Musisz! Dla mnie to zrób. Ja cię prosić będę. Pamiętasz, jakeś chłopakiem, wyrostkiem będąc, nie hulając, ale czytał, studiował, jak mi wszyscy ciebie zazdrościli! Jakeś uniwersytet świetnie skończył, jakeś ledwie pełnoletni, dobra objął, pracował, myślał, administrował. Mój Boże, nie było nade mnie szczęśliwszej, dumniejszej. To wszystko w tobie było.

— I to właśnie, co dumą babci było — to było moja zgubą. Nie byłem taki, jak wszyscy.

— Romku, czy ty się spowiadasz? — spytała cicho.

— Nie! — odparł twardo. — Dwa razy nie otrzymałem rozgrzeszenia, więc po co ta forma, gdy się treści duszy nie zmienia. Z Bogiem się nie pojednam, sobie nie ulżę, o światową ceremonię nie dbam. Czy ja jestem chrześcijaninem? — Nie!

— Mój Boże, mój Boże! — jęknęła staruszka.

— Widzi babcia, po co mnie było wyciągać na słowo! Nie ma żadnej rady na tę moją chorobę. Najlepiej milczeć. Po świętach wyjadę znowu.

— Dokąd?

— Do Indii. Dżuma tam! — dokończył ciszej dla siebie tylko, ale hrabina dosłyszała, zatrzęsła się grozą.

— Romku, czy ty myślisz, że to nie samobójstwo?

— Może być, ale to jedno, co mnie jeszcze nęci!...

— Nie wyjedziesz. Ja cię nie puszcę. Wszystkich pochowałam, ale na twoich rękach chcę skonać. I chcę ciebie mieć przy sobie — już do końca. Zostaniesz, niech się dzieje dopust Boży.

Zapanowało milczenie, wreszcie ozwała się jakby wahająco:

— Teraz po tej ostatniej awanturze, żebyś chciał rozwodu, już bym ci się nie sprzeciwiała.

— Ale ja na to teraz inaczej patrzę. Nazwiska nie używa, tej obietnicy mi dotrzymała, i rozmówiliśmy się w Orlinie. Nie przyjedzie więcej do kraju. Co rozwód da mi lepszego lub gorszego? I tak nie istniejemy dla siebie.

— Więc mówiłeś z nią?

— Tak! — odparł krótko.

— Nędznica!

— Jak wszyscy! — mruknął.

Oparł łokcie o kolana, objął głowę rękami i milczał. Znowu po chwili ozwała się hrabina:

— A za obietnicę niebywania w kraju, ileś jej zapłacił?

— Nic — także obietnicą.

— Jaka?

— Że na każde jej wezwanie z zagranicy — stawię się.

— I tyś się na to zgodził? Raczej było fundusz dać, tysiące! Nic nie odparł.

— Dziwne jednak masz dla niej względy. I na to nie było odpowiedzi.

Zachnęła się niecierpliwie, wstała i wyszła z pokoju. Jednocześnie w przeciwległych drzwiach z Mietka na rękę ukazała się Stankarowa, zarumieniona od mrozu, i z rozjaśnioną dziwnie twarzą.

— Widziałas, Mietka, choinki? Jak to wsią i borem pachnie! — mówiła, układając psinę w jej pluszowe gniazdeczko.

Wtem hrabia się poruszył, spostrzegła go i umilkła.

— Pani zapewne ze wsi rodem! — rzekł.

— Tak, trzy lata temu pierwszy raz miasto zobaczyłam.

— I pewnie by pani do wsi nie chciała już wrócić?

— Ja! Ja bym stąd każdej godziny uciekła — zawołała

gorąco.

— To rzadki gust. Dlaczegoż pani nie wyjeżdża?

— Bo nie mogę! Popełniłam przestępstwo, za które mnie los tym kamiennym więzieniem pokarał.

— Jakież to przestępstwo, jeśli wolno spytać?

— Małżeństwo — odparła krótko.

— Pani zamężna? — zdziwił się, tak młodo, dziewczęco wyglądała.

— Niestety! — wyrwało się jej mimo woli, i wnet się poprawiła: — Mam już dwuletnią córkę!

— Nie z wielką czcią traktuje pani ten sakrament — zauważył. Roześmiała się krótko, pogardliwie, chciała coś odpowiedzieć, ale w tej chwili hrabina weszła do pokoju i rzekła:

— Ma chère, wyobraź sobie, że zapomniałam cię posłać do św. Marty z pieniędzmi.

— To idę natychmiast — ofiarowała się ochoczo.

— Jedź dorożką, to daleki kurs! Romciu, może mi zmienisz sto rubli?

Wyjął pugilares i odliczył żadaną sumę. Potem i sturublową asygnatę pozostawił.

— Przed świętami babka potrafi i to umieścić — rzekł z lekkim uśmiechem.

— O naturalnie. Umieszczę ci cały Orlin! — odpowiedziała niezwykle uprzejmie. — No, to kochana pani Antonino, zanieście całe sto rubli siostrzyczkom. A oto na dorożkę.

Tola zebrała wszystko i wyszła.

— Rada babka z tego nowego nabytku? — ozwał się.

— Ale bardzo, bardzo, jak z żadnej poprzednicy. Bałam się, że taka młoda i ładna, bałamuctwa jakiego, fantazji, humorów! Nic z tego! Rada bym ją zachować do śmierci.

Polubiłam ją nawet. Bardzo mi będzie przykro z nią się rozstać!

— A dlaczegóż ma ją babka tracić. Dać dobre wynagrodzenie, to i zostanie.

— Nie o to chodzi, ale ona ma męża, który ją rzucił na bruku z dzieckiem i wyniósł się do Paryża. Malarz — cygan jakiś! W każdej chwili wrócić może lub ją tam wezwać — i wtedy muszę ją stracić.

— Gdzież ona mieszka? Dlaczego jej babka na stałe tu nie weźmie?

— Ma dziecko. Mieszka u zacnych dwóch kobiet, które utrzymują czytelnię. Dziecko ma tam opiekę, a ona więcej swobody.

— Ile jej babka płaci?

— Trzydzieści rubli.

— Quelle misere! — mruknął. — To są istotnie dożywotnie ciężkie roboty, bo z tego grosza odłożyć nie można. To jest takie prix Monthion, które świat daje cnocie.

— Prawda, że to niewiele! — zamyśliła się staruszka. — Masz rację — muszę jej dodać! A w każdym razie, jeśli do śmierci przy mnie zostanie, to ty jej potem wypłacisz kilka tysięcy — niech ma po mnie pamiątkę.

Szarzało już, gdy Stankarowa wróciła. Zastała wnuka z babką rozmawiających i ucieszyła się, że przecie chmury się rozeszły. Zwróciła 40 kop. dane na dorożkę i rzekła:

— Piechotą odbyłam kurs. Takie czyste, mroźne powietrze. Żal mi było jechać. Oto pokwitowanie od Sióstr. Czy mogę już odejść?

— Dziękuję ci, ma chère. Mon Dieu, toż ja ciebie dotąd nie puściłam na obiad. O, pardon!

— To nic, to nic! — uśmiechnęła się, wychodząc.

— Zostań u mnie na obiedzie! — zatrzymała ją staruszka.

— Dziękuję pani hrabinie, za pół godziny będę z powrotem. Na czytanie przyjdę akuratnie.

— Mais, ma chère, nie o to mi chodzi, ale doprawdy zanadto cię wyzyskuje.

— Nic nie szkodzi. Proszę więcej! — odparła wesoło i znikła za drzwiami.

— Nigdy nie przyjmie zaproszenia na obiad. Cest tellement fier! — zauważyła hrabina. — Tak, masz rację — za mało jej płacę. Dziś to uporządkuję.

Ale nazajutrz, przy śniadaniu, staruszka rzekła do wnuka, mocno zalterowana:

— Wyobraź sobie, miałam wczoraj pierwsze przejście ze Stankarowa. Dałam jej pięćdziesiąt rubli gratyfikacji na gwiazdkę — i nie chciała przyjąć!

— Tiens! — mruknął hrabia. — Typowa szlachecka buta.

— Powiedziała, że jeśli mi z nią dobrze, to jej wystarczy dobre słowo i własne zadowolenie z dobrze spełnionego obowiązku. Że mi jest wdzięczną za kawałek chleba, służy z miłą chęcią i nic więcej nie pragnie, jak mi zawsze dogodzić. No, i nie przyjęła pieniędzy. Zupełnie jestem tym wykolejona i nie wiem, co mam robić.

— Niech jej babka da jaki prezent.

— Nie przyjmie. Już mi raz powiedziała, że nie przyjmuje się nic takiego, za co się podobnym odplacić nie można.

— Prawda, nigdy na świecie nie wykonywana! — zauważył. — A zatem niech jej babka pieniędzmi nie traktuje. Przyjdzie sposobność wynagrodzenia jej w inny sposób.

— Ale, prawda. W końcu, po długim wahaniu, prosiła mnie, jak o łaskę, o pozwolenie wstąpienia czasem, na chwilę, do ogrodu.

— Bo tam śnieg leży — taki prawdziwy, biały jak na wsi — mówiła, i była uszczęśliwiona, jak dziecko z pozwolenia!

No, i po wielu namowach zgodziła się obiadować tutaj i to pod warunkiem, że gdy będą goście, to się zajmie zastawą i podaniem, żeby być użyteczną.

Tego dnia zaraz Stankarowa, załatwiwszy ubogich, pobiegła do ogrodu. Stary ogrodnik rad, że ktoś przecie okazał zajęcie dla jego państwa, oprowadził ją wszędzie, uszczęśliwiony, że zna każdą roślinę w cieplarni, każdą zieleninę w inspektach. A potem śmiał się jak z dziecka, gdy brnęła po śniegu, wyszukując, gdzie go najwięcej było — po zakątkach ogrodu.

— Na wiosnę będę wam kopać, pleć choć chwilę na dzień — i rzekła na pożegnanie.

Tego dnia też zasiadła pierwszy raz do hrabiowskiego stołu, na szarym końcu naprzeciw hrabiego Romana i hrabina wciągnęła ją do ogólnej rozmowy.

— Jakże ci się ogród podobał? — spytała.

— Cudnie, jak w raj! — odparła z zapałem.

— Niewiele pani od raj! wymaga — rzekł hrabia.

— Błogosławieni skapą by mieli nagrodę! — dodał kapelan.

— Ale rację pani ma! — wtrącił profesor. — W raj! musi być równie pusto — jak tu w ogrodzie.

— A to dlaczego, profesorze? — spytała hrabina.

— Tyle ograniczeń wystawił katechizm, że gdzie się tam człowiekowi z krwi i kości dostać!

— Bo też się tam wchodzi bez krwi i kości!

Profesor pokręcił głową i sceptyczny uśmiech przemknął mu po twarzy, ale nie podniósł kwestii, a hrabia spytał Stankarowej:

— A czymże się pani dzisiaj więcej cieszyła: śniegiem, czy cieplarnią?

— Naturalnie że śniegiem. To prawda.

— Jak pani będzie stara, kląć pani będzie tę prawdę — mruknął profesor. — Śnieg, to zima, a zima, to reumatyzm, ischias, artretyzm itp. przyjemności.

— Wszystkie poznane prawdy są chorobą! — rzekł półgłosem hrabia.

— Albo odzyskaniem zdrowia — zaprzeczyła Stankarowa. Uśmiechnęła się dziwnie.

— Może być — ale zawsze już z kalectwem. Zamyśliła się i umilkła.

Wstano od stołu. Hrabia pozostał w jadalni na cygaro. Stankarowa zaczęła czytać, gdy lokaj oznajmił wizytę księżny Marceliny z córką. Hrabina skinęła na Stankarowa, która się usunęła z książką na bok i szepnęła:

— Powiedz hrabiemu, że proszę, by przyszedł. Zastała go już umykającego do siebie.

Gdy posłyszał rozkaz babki, chwilę się zawahał, mruknął: *quelle corvée* — ale wrócił ode drzwi. W czasie wizyt Stankarowa siadywała na uboczu, nie mieszając się do rozmowy i brała się do roboty. Były to zwykle hafty kościelne lub włóczkowe sukienki dla dzieci do ochron. Przebierając drutami, lub haftując, myślała często, że w Ługach nikt by jej sobie nie wyobrażał z igłą lub szydełkiem w ręku. Nie lubiła też tego zajęcia i spełniała z przymusem.

Rzadko kiedy która ze starszych pań przemówiła do niej, chociaż znały ją wszystkie dobrze. Ona też pochylona nad

robotą nie słuchała rozmowy i myślą była daleko.

Dziś ten spacer po czystym śniegu przypomniał jej „ponowy” w Ługach, gdy ją stryj brał ze sobą na malutkie saneczki i jechali na zające w młode zagajniki. Widziała obwisłe od śniegu sosnowe gałęzie, cichy bór, fantastyczne pasmo zwierzęcych tropów, sanki sunęły bez szelestu; jak z baśni był obrazek.

Nagle drgnęła, podniosła głowę, upuściła robotę. Nie było już gości, hrabina ją wołała widocznie parokrotnie, bo podniesionym głosem.

— Co to? Zdrzemnęłaś się — jak profesor!

— Nie. Zamyśliłam się. Przepraszam!

— Pewnie cię korci do domu już! Idź, ma chère! Za późno na czytanie.

Jednocześnie wszedł lokaj i oznajmił:

— Do pana hrabiego przyjechał nadleśny z Orlina. Stankarowa ukloniła się i wyszła, hrabia opieszale powstał i pochylił się nad ręką babki.

— Dziękuję ci, mój drogi! — rzekła, całując go w głowę.

Tymczasem Stankarowa zbiegała pędkiem ze schodów i roztargniona wpadła prawie na jakiegoś mężczyznę, stojącego w przedsionku. Odskoczyła, spojrzeli na siebie i jednocześnie zawołali z jednakowym zdziwieniem i radością:

— Tola!

— Michaś!

— Skąd pan tutaj! — spytała, podając mu obie ręce.

— A pani? Co za niespodzianka.

— Ja tu służę! Jestem lektorką u hrabiny.

— I ja służę! Jestem nadleśnym u hrabiego.

— Służy pan. A Brzeziny?

— Musiałem sprzedać. Nie wydołałem. Ale pani dlaczego służy? Gdzie Stankar?

— W Paryżu, już blisko rok jestem na swoim chlebie. A stryj?

— Żyje. Widuję go czasem. O pięć mil służę. Gdzież pani mieszka? Można przyjść?

— A jakże! Takam rada. Kawalek młodości i szczęścia daje mi pan. Tyłkom ja cały dzień zajęta. Żeby pan mógł zaraz przyjść!

— Za chwilę będę.

— Czekam! Chmielna 20, w czytelni panny Zarębianki.

Hrabia zatrzymał się na górze, słysząc rozmowę, zdziwiony zmienionym tonem głosu młodej kobiety, i, dopiero gdy drzwi się za ni? zamknęły, zeszedł. Spojrzał na nadleśnego uważnie i spytał:

— Pan z Orlina przysłany?

— Tak. Pan Wichrowski miał termin w gubernii, a kasjer zachorował. Mnie wysłano z rachunkami, z raportami i z pieniędzmi.

— Proszę pana za mną!

Weszli do gabinetu, hrabia zasiadł u biura, Brzezicki stał z teką w ręku.

Pierwszy raz widział pryncypała, który w Orlinie mitem był i, jadąc, ogromnie się bał tej pierwszej służbowej sprawy.

Ale teraz o wszystkim zapomniał i myślał tylko, żeby prędzej się uwolnić do Toli.

Serce mu tak biło, że to bladł, to czerwieniał i dyszał jak po wielkim zmęczeniu.

— Proszę o papiery! — rzekł hrabia.

Wydobył wszystko z teki, zebrał zmysły i pamięć, i podawał po kolei, spieszenie.

Jakże mu pilno było. Widział to hrabia, rozumiał powód, i szyderczy uśmiech przemknął mu po wargach.

— Zdrowe, normalne, młode zwierzę! — pomyślał. Coś, jakb) zawiść, go tknęło.

— Proszę wolniej. Niech pan usiądzie. To nam zajmie parę godzin.

Michał zagryzł wargi, opanował się, twarz się skurczyła przymusem. Tylko oczy wciąż mu się śmiały wielką szczęśliwością. Nie usiadł jednak — tylko już wolniej podawał papiery, zaglądając ciągle w notatkę i tłumacząc.

Gdy skończył, hrabia pieniądze zamknął do kasy, zapalił cygaro i spytał:

— Pan tu niespodzianie spotkał znajomą?

— Tak. Chowaliśmy się razem. Od trzech lat, jak za mąż wyszła, straciłem ją z oczu i nie myślałem, że ją spotkam więcej w życiu.

— Rodzina jej na wsi?

— Ma tylko stryja dziwaka. Był przeciwny małżeństwu i wydziedziczył ją. Majątek jego chciał pan Wichrowski nabyć, gdyż z Orlinem graniczy, ale pan hrabia był wtedy za granicą, a teraz stary już sprzedać nie chce.

— Zamożny? Jak się nazywa?

— Łużycki Kazimierz.

— Ach — ten, co ma stado? To ja go znam z widzenia. Zawsze konie chowa?

— Zawsze. Zamożny jest, ale teraz zdziczał zupełnie.

— Pan go widuje?

— Czasami.

Hrabia chciał widocznie coś jeszcze powiedzieć, ale się rozmyślił, wstał i rzekł:

— Nie zatrzymuję pana. Proszę jutro się zgłosić. Dam do pana Wichrowskiego list.

Michał skłonił się i wyszedł. Wsiadł w pierwszą spotkaną dorożkę i z bijącym sercem jechał na Chmielną. Czytelnię łatwo odnalazł, zadzwonił, otworzyła mu sama Tola, tak radośnie uśmiechnięta, taka promienna, że oczu od niej oderwać nie mógł i wyszeptał:

— Jakaż pani piękna!

Pociągnęła go za sobą do jadalni, przedstawiła Zarębiance i pani Natalii i opowiedziała prędko, śmiejąc się przez łzy wzruszenia, jak ją uratowały od zguby, jak im zawdzięcza życie. O mężu powiedziała krótko:

— Wyjechał. Źle mu tu było. Tam mu się podobno dobrze powodzi.

A potem usiadła obok niego i poczęła pytać:

— Dawno pan był w Ługach? Jak stryj się ma? Niech pan wszystko opowiada, całe te trzy lata.

— Zaraz po pani wyjeździe chciał pan Łużycki majątek sprzedać. Nawet już się o cenę umówił z plenipotentem hrabiego, panem Wichrowskim.

— Jak to? Ten mój hrabia miał kupić? — zawołała.

— Tak, nasz hrabia! — uśmiechnął się. — Ale go wtedy w kraju nie było, Wichrowski wahał się z ostateczną decyzją bez niego, a potem pan Łużycki rozmyślił się i odmówił.

Wtedy mi matka zmarła, grad wybił zboże, spalił się dom mieszkalny — sam zachorowałem na tyfus. Zebrały się biedy kupą, jak to one lubią w gościnę do kogo przychodzić i musiałem przed nimi z Brzezin ustąpić. Chorowałem z pół roku w Ługach, gdzie mnie przygarnięto, a potem zacząłem służby szukać. Pan Łużycki mnie Wichrowskiemu zarekomendował i od św. Jana osiadłem w leśniczówce.

— W borze? Szczęśliwy pan! — szepnęła. — Stryj

wspomina mnie choć czasem?

— Nigdy — odparł cicho. — Zresztą on prawie nic nie mówi! Przez pół roku, com bawił tam, tośmy i stu słów nie zamienili.

Umilkli na chwilę. Zarębianka zrozumiała, że może o wielu rzeczach nie chcą mówić przy obcych, więc rzekła:

— Niechże pani do swoich apartamentów zaprowadzi pana Brzezickiego. Toć tam jest coś do pokazania. Ja wam herbatę przysię przez Stacha. Pogadacie swobodniej.

Stankarowa wstała, i poprowadziła go przez sionkę. Pierwszą rzeczą, co ujrzał, było łóżeczko Janki.

— Pani ma dziecko? — szepnął. Skinęła tylko głową.

Przystąpił i patrzył długą chwilę na śpiącą drobinę, potem zwrócił się do niej, oczy mu zabłyśły oburzeniem.

— I on tak panią zostawił na pastwę biedy, samą z dzieckiem. To łotr!

Blask z jej twarzy zgasł. Zastygła i skamieniała, gorzki uśmiech przemknął po ustach.

— I oto, co ludzie nazywają miłością — rzekła. Wzdrygnęła się i dodała:

— Że odjechał, to mnie już nie boli. Ale najstraszniejsze, że wróci może i że tylko śmierć mnie od niego uwolni.

Zamyśliła się ponuro i szepnęła:

— A jeszcze straszniejsze, że wolę śmierć — niż takie życie i jego widok!

Opanowała się, podała mu krzesło i sama usiadła. Pokoik był mały, czysty — ubogi bardzo. Na oknie parę wazoników z kwiatami go tylko stroiło. Spostrzegła jego smutny wzrok, gdy wokoło się oglądał, i rzekła:

— Niech pan się nade mną nie lituje. Jest mi teraz lepiej, niż było. Mam zapewniony chleb dla dziecka i dla siebie.

Pracuję, mam opiekę tych świętych kobiet i ozdrowiałam. Żeby nie szalona tęsknota za wsią, za swobodą i ten strach, ta zmora jego powrotu — zupełnie by mi dobrze było.

— A jeśli wróci? — spytał cicho.

Przerażenie, zgroza rozszerzyła jej oczy — milczała.

— Wtedy niech pani o mnie pamięta! — poprosił. — Ja zaledwie wrócę, do Ługów pojedę.

— Opowie pan wszystko stryjowi. Dobrze. Będzie się czuł pomszczonym! Ale ja tam już nigdy nie wrócę, ani on mi daruje. I słusznie. Już ja teraz rozumiem, jak on cierpiał i com mu w duszy zabiła. Tego się nie przebacza, to nie zmartwychwstaje!

— Więc on i fundusz pani stracił?

— Mniejsza o fundusz — ruszyła ramionami. — Mniejsza o głód, który potem nastął, o nędzę, o chorobę! Albo to się czuje nawet, gdy dusza umrze.

— Gdzie on teraz?

— W Paryżu! Obiecuje przyjechać na wiosnę. Po co? Ale dość już mówić o tym. Wie pan wszystko. I dla pana los nie był łaskawy. Sam pan także został i na służbie — jak ja. Tylko panu bór szumi i wolny pan, a mnie te mury tłoczą. Tak się dziwnie złożyło, u tych samych panów służymy.

— Dziś pierwszy raz widziałem hrabiego. Ten także na szczęśliwego nie wygląda. Pani zna tę całą historię?

— Znam. To jest także umarły człowiek.

— Gorzej, bo jak dowodzi Wichrowski, on tę swoją żonę pomimo wszystko kocha.

— Nie może być — oburzyła się.

— Dziwnie jednak postąpił ostatnim razem, gdy zjechała do Orlina ze zgrają Francuzów. Szpicrutą ich wyгнаł, a do niej ani słowa nie powiedział. Wyjechała z honorami, jak

królowa.

— Biedny człowiek! — szepnęła. — Toć jeśli tak jest, piekielne cierpi katusze. Pogardzać i kochać — brr!

Michał popatrzał na nią podejrzliwie. Ale jej cudnie piękna twarz była czysta i spokojna, a jego od patrzenia ogarniała miłość, jak trunek upajający, więc wstał i żegnać się począł.

— Zobaczę jeszcze jutro panią? — spytał.

— Przyjdź pan wcześniej. Ja się wyproszę u hrabiny na wieczór. Gdy przyszedł nazajutrz, zastał tylko Stasia, który mu oznajmił, że matka z ciotką poszły na wieczór do znajomych, a pani Stan—karowa lada chwila nadejdzie. Chłopak pocziwy doglądał Janki, która bawiła się na ziemi skrawkami papieru bardzo grzecznie. Michał przyniósł jej lalkę i wziął na ręce.

Dziecko miało fiołkowe, ciemno ocienione oczy matki, jej złote włosy. Michał główkę tę i oczy całował, tuląc dziecko do piersi. Trochę przestraszona zrazu, objęła go rączkami za szyję i rzekła:

— Ty tatuś? Janka cię pokocha. I zaciskała mocno rączki na szyi.

W tej chwili weszła Stankarowa, więc dzieciak począł wołać radośnie:

— Mamusiu, tatuś przyjechał. Dał Jance lalkę. Uśmiechnęła się smutnie, przesunęła rękę po głowie dziecka, a mała poczęła wołać:

— Mamusiu, pokochaj i ty tatusia.

Michał poczerwieniał i roześmiał się z przymusem. Stankarowa zmarszczyła brwi. Pomyślała z rozpaczą, że gdy tamten przyjedzie, dziecko powie to samo.

— Chodź spać, Janko! — rzekła niecierpliwie.

Ale na to powstał energiczny protest. Trzymała się

konwulsyjnie szyi Michała.

— Przepraszam panią. Zrobiłem przykrość! — rzekł.

— Pan? Cóż znowu! — zaprzeczyła i spojrzała na niego serdecznie. — Mnie strach zdjął i zgroza, że gdy tamten przyjedzie, dziecko z nim pieścić się zechce — tak samo!

Umilkli oboje i sposępniali na to wspomnienie.

— Cóż dalej będzie? Życie przed panią — rzekł po chwili. — Przecie z tą zmorą nie sposób istnieć.

— Będzie, co będzie! Po co myśleć? Kajdan mi nie zdejmie, z więzienia tego nic mnie nie oswobodzi. W pustelni stryja wolnym ptakiem byłam — zachciałam ludzi, zmian, klątki. Słusznie cierpię.

— I tak ma zostać — to okropne! Niech pani żąda rozwodu.

— Po sądach, przed ludźmi wstyd ujawniać, kłamać, nędze pożycia wywlekać! Za nic! I po co?

— Żeby odzyskać siebie, swoją wolę i swobodę. Zaśmiała się gorzko.

— Nieboszczyka nie ożywić. Porwała go złość i żal.

— Pani tak mówi apatycznie, jakby siwowłosą staruszką była. Ożyje dusza pani i serce zapagnie kochania — wtedy znajdzie pani wolę do walki — wtedy pani kajdany sama potarga; szczęśliwy, kto tę siłę w pani wzbudzi!

Wstał, zaspane dziecko na kolanach jej złożył i głęboko westchnął.

— Żegnam panią. Jeśli będę potrzebnym, proszę mnie wezwać. Muszę już odjeżdżać!

Odszedł. Słuchała jego kroków smutno zamyślona. Czemu się rozgniewał, czym go obraziła — mówiła, co czuła. Ożyć ona miała, pokochać, zapagnąć miłości! Nie, nie, nie!

V

Pewnego dnia na wiosnę Stankarowa przybiegła z ogrodu i przyniosła hrabinie bukiet pełnych parmeńskich fiołków.

— Włóż je, ma chère, do wody i postaw na stoliku przy fotelu hrabiego. To jego ulubiony kwiat. Ślicznie pachną. Otóż i wiosna! Za sześć tygodni wyjedziemy do Orlina.

Stankarowa uśmiechnęła się radośnie. Miała przecie i ona wyjechać, stała się niezbędną hrabinie, nieodstępną przez dzień cały, prawie domową. Staruszka naprawdę ją polubiła, kazała sobie przyprowadzić Jankę — i zapowiedziała, że i dziecko z nimi pojedzie na wieś! Stankarowa zupełnie ożyła. Odzyskała swą promienną, młodą, urodę, uśmiech, blask oczu, nawet dawny humor swobodny. Na wspomnienie wyjazdu nozdrza jej się rozdymały, jak u stepowego konia, śmiały się oczy, usta, cała dusza. Wyjazdem tym żyła — śniła w nocy o łąkach kwiatowych i zbożowych łąkach.

Domowi wszyscy zżyli się z nią, polubili. Była w tym gronie starych i smutnych promieniem słońca. Lubiała ją służba, kapelan uśmiechał się do niej dobrotliwie, profesor pokazywał zbiory i rad rozmawiał zachwycony, że tak dobrze zna ptaki i owady, zajmuje się ich życiem i naturą, hrabia się z nią oswoił.

Było jej wśród nich dobrze, i prawie zapomniała o swych niedolach.

Ułożywszy fiołki, przygotowała gazety i krzątała się po gabinecie, opowiadając staruszce, co w ogrodzie już kwitło, gdy wszedł hrabia. Umilkła w pół słowa, nie mogąc

dotychczas ovladnąć dziwnego strachu, jaki czuła na jego widok. Przywitał babkę, jej się lekko uklonił i spytał:

— Może przez pomyłkę oddano na górę wczorajszy numer „Figaro”?

— Jest. Położyłam przy pana fotelu, na biurku.

Wziął gazetę, zobaczył fiołki, i wyjął je z wody.

— Zaniosę profesorowi — rzekł.

— Jakże się dzisiaj miewa? Leży? — spytała hrabina.

— Wstał, ale bardzo stęka na reumatyzm. Prosił, żeby pani do niego przyszła na gawędę, bo się nudzi!

— Idź, ma chère. Ja dzisiaj mam spowiedź, czekam na kapelana. Mogę cię uwolnić do obiadu.

Stankarowa wzięła robotę, gazety i zeszła na dół. Profesor siedział w fotelu, wśród swych ukochanych zbiorów i ucieszył się ogromnie na jej widok. Pomimo dokuczliwego reumatyzmu zawsze żartobliwie był nastrojony.

— A co? Wiedziałem, że hrabina mi na dziś swego cienia ustąpi — przez umartwienie pokutne. Siadajże, srebrna Luno.

Nazywał ją zawsze Dianą.

— Niech mi profesor mitologią nie dokucza, bo okażę się okrutną jak Diana i pójdę precz.

— Nie traktujże mnie jak Akteona, ale jak Endymiona! Roześmiała się serdecznie na to porównanie i profesor także się śmiał.

— Profesor już nie stęka! — rzekł, wchodząc hrabia.

— Broń Boże! Umizgam się!

— Zdadzą się tedy profesorowi kwiaty.

— Co, byłeś w ogrodzie, zbierałeś fiołki? O wszechpotężna wiosno!

— No, nie. Fiołki zapewne zebrała pani Stankarowa.

Znalazłem je gotowe na biurku.

— Pewnie je pani zbierała z myślą o mnie? — drożył się staruszek. — Cóż, ruszyły się już owady?

— Mało co. Kowale i muszki. Na wsi może też żaby rechcą.

— Rechcą, rechcą! Nasłuchasz się ich, Diano.

— Jeszcze sześć tygodni — szepnęła. — Przeczytać panu profesorowi gazetę?

— Nie, lepiej pogawędź.

Usiadła tedy z robotą, ale nie wiedziała, co mówić. Hrabia ulokował się przy oknie i czytał gazetę. Staruszek obejrzał się, uśmiechnął.

— Czybyś ty, hrabio, nie mógł nas sam na sam zostawić. Czy to cię tu babka przysłała na duennę?

— Przeszkadzam? — mruknął hrabia.

— A pewnie. Moja Luna boi się ciebie, jak upiora. Nie spostrzegłeś tego dotychczas?

— Co też pan profesor wymyśla — oburzyła się. — Milczę, bo mi nic ciekawego nie przychodzi na myśl, co by pana profesora zabawić mogło.

— No, to sobie szyj, ale zaśpiewaj przy robocie jak onegdaj. A widzisz, nie chcesz!

Hrabia przestał czytać, spojrzał na nią:

— Słyszałem panią śpiewającą onegdaj, bom był tu obok. Czyż rzeczywiście wpływam tak deprymująco na humor pani?

— Ależ nie! Tylko myślę, że panu dogadza spokój i cisza, więc rada bym każdemu dogodzić.

— Anormalnym gustom nie trzeba dogadzać. Spytaj się kapelana, jeśli mnie nie wierzysz — mruknął profesor.

Hrabia wstał opieszale i wyszedł.

— Profesor mu zrobił przykrość! — szepnęła.

— Bo on mi żółć porusza. Wszystko ma swoją miarę i czas. Ale żeby tak się marnować, tak gnić za życia to wstyd! Toż mój uczeń — ja wiem, ile on w sobie ma zasobów nauki, wiedzy. Patrzeć na niego teraz nie mogę.

— Ależ on widocznie nie może być innym! — Nie ma siły odżyć, on jest bezmiernie nieszczęśliwy. Nie godzi się dodawać mu przykrości.

— Alboż to on pierwszy jest nieszczęśliwy w małżeństwie. Żeby wszyscy zdradzeni lub opuszczeni byli do niego podobni, ładnie by świat wyglądał.

— Różne są dusze — rzekła.

— Et, co tam dusze! — machnął ręką profesor, który pomimo towarzystwa hrabiny, miał swoje własne trzeźwe poglądy. — Żeby mu się podobało jakie piękne ciało, to by ta chora dusza poszła prędko do zapomnianych na strychu rupieci.

Stankarowa milczała, a profesor zrzędził dalej:

— Siedzi tu, jak w klasztorze. Całą mam nadzieję że w Orlinie spotka się z konieczności z panią Wandą. To go może rozrusza. Hrabina, żeby znała ludzi żywych, a nie malowanych świętych i stare dewotki — to by nie powinna prosić Boga o cnoty dla niego, ale o jaką tęgą niecnotę. Bez tego, to niech go obwijają w powijaki i złocą twarz, bo gotowa mumia.

Stankarowa się uśmiechnęła.

— Profesor jest wyznawcą leczenia truciznami. A mnie się zdaje, że by zdrowym być normalnie, jest środek lepszy, łatwiejszy i mniej ryzykowny. Żeby nasz hrabia nie był milionerem, musiał pracować, zdobywać, walczyć o byt, to by złe myśli i smutki precz poszły, jak mgły przed słońcem!

— Alboż on nie ma pola do pracy? Może, gdyby chciał.

— Ba, żeby musiał, choć nie chce, to by było dopiero skuteczne. Zagłębiony pozornie w gazetę, hrabia Roman z sąsiedniego pokoju słyszał całą rozmowę. Przestał czytać i zamyślił się.

Ten projekt nigdy mu nie przyszedł do głowy. Od czasu swych życiowych katastrof próbował wszelkich sposobów skręcenia karku i rozbudzenia w sobie zajęcia czymkolwiek, zawsze bezskutecznie. Nędzy i głodu nie próbował nigdy. Ha, a jeśli w tym właśnie najdrapieżniej uczuwa się życie! Może ta młoda, zdrowa dusza rozumie prawdę, potrzebę natury ludzkiej.

Coś go wstrząsnęło w martwocie, jakby oddźwięk, ale i temu był rad, bo go odrywało od nieznośnej nudy i niechęci do myśli i czynu.

W sąsiednim pokoju snąć profesor już zadrzemał, bo rozmowa ucichła, tylko Stankarowa nuciała półgłosem:

Czemu nie orzesz, Jasieńku,
Czemu nie orzesz?
Czy ci wołki już ustały,
Czy ci wołki popadały,
Czy sam nie możesz?

Hrabia wstał, cicho drzwi przemknął i wszedł. Kobieta urwała śpiew.

— Zaczynam wierzyć, że się mnie pani lęka, jak upiora!
— rzekł.

— Ależ nie. Lękam się tylko śmieszności. Takie mam nerwy dzikiej kozy i nie mogę od tego odwyknąć.

Nie mogę zapomnieć, że już nie ptak na swobodzie, wśród łąk i gajów, gdzie ludzi nie było.

— Alboż taki kąt jest na świecie?

— W takim się chowałam.

— I nie lubi pani ludzi?

— Teraz już do nich nawykłam.

— A jednak dla człowieka opuściła pani tę swobodę. Poczzerwieniła, ale spojrzała mu śmiało w oczy.

— Bo człowiek goni szczęście, a człowieka ściga niedola i zawsze go dopędzi. Wtedy zaczyna się drugi okres życia — borykania z jędzą niedolą.

— A potem trzeci — przerwał jej — zdeptanie, zduszenie przez jędzę i powolne konanie.

— Pewnie, słabym tak bywa, a silny jędzę zdławi, pod nogi ciśnie, potem się wyprostuje, odetchnie po znoju i jasnymi oczami za siebie i przed siebie popatrzy.

— Ale szczęścia już nie dogoni — tego pierwszego, najlepszego! Znowu krew zabarwiła jej skronie, sekundę milczała, a wreszcie rzekła:

— A może wstydzic się będzie, że gonił, takie mu się wyda marnie!

Złożyła robotę i dodała wesoło:

— Skutecznie ubawiłam profesora. Mogę iść na górę!

— Pani oznajmi babce, że na obiedzie nie będę. Mam zajęcie na mieście i wrócę późno!

W parę godzin potem hrabia wyszedł na ulicę pieszo — ubrany w stare palto i filcowy kapelusz, skrzył na Wilczą, potem na Mokotowską i szedł wolno, z rękami w kieszeniach, oglądając nędzne sklepy i szyldy. Wreszcie w jakąś bramę wszedł i spytał stróża:

— Czy żyje jeszcze stary Paschalis?

— Jeszcze i mnie i pana pochowa.

— Zawsze na tym gołębniku mieszka?

— A gdzieżby?

Stróż dostał rubla, więc czapkę zdjął.

— Ja jaśnie panu natychmiast lampą poświęcę na tych schodach! — zawołał uprzejmie.

— Nie trzeba. Znam je dobrze.

— A ja trzy lata służę i jaśnie pana pierwszy raz widzę.

— Bom tu bywał przed pięciu laty!

Rzeczywiście był jak u siebie. Minął ciasne podwórko i pięć się począł na piętro oficyny. Znalazł w ciemnościach drzwi i zapukał.

Po chwili ktoś w pantoflach podszedł do drzwi i otworzył.

Człowiek stary w kamizelce i bez surduta, w aksamitnej czapeczce na łysej głowie.

Przymrużył oczy, ale, widząc obcego, spytał:

— Czym mogę służyć?

— Musiałem się bardzo zestarzeć, kiedy mnie nawet Paschalis nie poznaje.

— Oho, głos znam, ten nie starzeje. A tom się prędzej nieboszczyka prefekta spodziewał, jak pana hrabiego.

Usunął się, hrabia wszedł do stancyjki, obejrzał się i rzekł, siadając na stołku u okna:

— Za to u was nic się nie zmieniło. Dobrze wam się powodzi?

— Dobrze, bo spokojnie.

— A Feliks gdzie?

— Feliks w ziemi.

— Umarł? Szkoda.

— Pewnie. Podalbym na sąd stratę jedynaka, ale gdzie? Śmierć się pozwu nie boi. Głupi Feliks — za ciasno mu tu było, pojechał za granicę i tam umarł. A jak on już rzeźbił. Ot, niech pan zobaczy jego robotę.

Podszedł stary do komody pod ścianą i otworzył, dobył krzyż drewniany z rzeźbioną figurą Chrystusa i pokazał ją

hrabiemu.

Ten chwilę się przypatrywał, wreszcie rzekł:

— Ślicznie! A wy już nie pracujecie, Paschalis?

— Nie. Po śmierci chłopca odrzuciło mnie od roboty. Książd prefekt też umarł, zapisał mi pięć tysięcy rubli, daj mu Boże niebo. Więc człowiek o starość spokojny, szpitala się nie lęka, po co się mordować.

— A przecie warsztat macie?

— Tak, czasem z przyzwyczajenia, dla rozrywki się coś dłubie, czasem jaki chłopak nudzi, żeby mu sztukę pokazać. Bo starego Paschalisa jeszcze pamiętają w cechu. A ma pan hrabia jeszcze te łóżka i te stoły?

— Jakże, mam! I wszyscy mi zazdroszczą.

— Ba, albobym to dla kogo innego tak zrobił! Toć mi pan hrabia swoją kaplicą imię zrobił. A Feliks za pańskie pieniądze w Niemczech trzy lata się uczył! I co grunt, że pan rozumie rzecz. To lepsze, jak pieniądze.

— A wiecie Paschalis, z jaką ja sprawą do was przychodzę?

— No, pewnie na jaki delikatny sprzęt rzeźby trzeba.

— Nie. Ja sam się chcę tego uczyć!

Dziwny był stary, bo się nie zdziwił nawet, ale się uśmiechnął.

— Ho, ho! Ja nawet jestem pewny, że pan zdolność ma. Ja panu sposób pokażę chętnie.

— Ale ja i stolarstwo chcę umieć!

— To już zbytek. Po co to panu hrabiemu?

— Poszedłem o gruby zakład, że własnoręcznie umebluję jeden pokój!

— To się pan nie zastanowił. To za ciężka robota. Toć pan prostej deski nie potrafi wyheblować.

— To się nauczę! Będę u was terminował.

— Ho, ho, ho! Łatwo to powiedzieć. To dwa lata najmniej. Łatwiej sto rubli wydać, jak sto rubli rękami zarobić.

— Ha, no, w każdym razie spróbuję. Chodzi o to, czy chcecie mnie wziąć na naukę?

— A cóż bym panu hrabiemu odmówił!

— No to i sprawa skończona. Zapłacę za naukę, ile zechcecie, a oto sto rubli na materiały, narzędzia i co tam będzie potrzeba. Tylko jeszcze jedno. Nie trzeba, by kto wiedział, com za jeden. Ułóżcie, jaką chcecie bajeczkę dla ludzi.

— To się rozumie. Wziąłem sobie ucznia krewnego z prowincji — ot, na przykład, Jan Korczyński się nazywa, mieszka przy familii, a do mnie na naukę przychodzi. Już o to niech pan hrabia będzie spokojny. Nikt podejrzenia mieć nie będzie. Ale co zakład, to pan hrabia przegra! — Uśmiechnął się dobrodusznie.

— Więc możemy zaraz dzisiaj zacząć robotę.

— Ha, no! Jak panu hrabiemu pilno, to można. Mam tu gdzieś trochę suchej lipiny. Proszę zaczynać heblować!

Zakrzętnął się stary. Dobył spod łóżka deskę, zapalił lampę nad warsztatem, przygotował narzędzia. Hrabia zdjął palto i wziął do rąk hebel.

Po chwili zdjął i surdut, a pomimo to potem się wnet okrył, omdlały mu ręce, nieznośnie bolał kark i krzyże, a deska wciąż była nierówna, poszarpana, podarta.

Tak się mozolił godzinę, wreszcie narzędzie odłożył i wyprostował się. Paschalis hebel wziął i po chwili deska była już gładka.

— Ot, proszę pana hrabiego. Trzy grosze warta robota. Mnie się widzi, że pan jutro już nie przyjdzie, po tej próbie.

— To mnie nie znacie. Przyjdę, ale czy zdołam ręką

ruszyć, to bardzo wątpię.

— Jak pan się uprze, to zdoła! Ho, ho, jak kto musi na obiad zarobić, to i bólu nie słucha! Panu hrabiemu ciężiej będzie, bo niezwyczajny. A i głód nie nagina, uśmiechnął się.

Poczęstował go hrabia cygarem i począł się rozpytywać o różne szczegóły roboty. Potem znowu za hebel chwycił i psuł dalej niewinne drzewo. Zaprzestał dopiero, gdy mu ramiona odmówiły posłuszeństwa. Na dworze był już późny wieczór.

Tej nocy pierwszy raz od dawna zasnął jak kamień, a nazajutrz wstał, pomimo nieznośnego bólu członków, rad, że ma przed sobą obowiązkową, ciężką pracę. Umówił się z Paschalisem, że będzie przychodził na naukę od dwunastej do szóstej. Zastał już w stancji stos desek i stary mu objaśnił, że je dostał od znajomego stolarza, który mieszka o dwa domy i ma specjalność trumien.

Po kilku dniach Sakowiczowa poczęła tajemniczo szeptać Toli:

— Będzie jakaś nowa awantura z naszym hrabią. Co dzień wychodzi o południu przebrany za lokaja i wraca dopiero o szóstej, taki brudny, zasmolony, spotniały, że natychmiast idzie do kąpieli. Ręce też ma pokaleczone, jak drwał. Co to może być?

— A może z nudy drwa rąbie.

— A może! To wielkie państwo, to z rozkoszy już nie wie, co wymyśleć!

Tola zauważyła zmianę w usposobieniu hrabiego. Przychodził na obiad weselszy, jadł z apetytem, czasami lekko się uśmiechał. Podczas czytania siadał bliżej światła, brał papier, ołówek, rysował jakieś ornamenty, lub przeglądał wielkie infolia pełne wzorów rzeźby i

budownictwa. Cieszyło to widocznie hrabinę, bo zaglądała często do rysunków. Raz, gdy się tak pochyliła nad jego głową, rzekła:

— Dlaczego ciebie, Romku, czuć żywicą. Czy używasz leśnej wody?

— Nie, nigdy — odparł z uśmiechem.

— Sośniną ciebie czuć — powtórzyła.

Stankarowa przypomniała sobie opowiadanie starej gospodyni i spojrzała na jego ręce. Zauważył jej wzrok i znowu się uśmiechnął. W parę dni potem w niedzielę Stankarowa spotkała go w ogrodzie. Zbierała narcyzy na rabacie przed cieplarnią, gdy nadszedł i rzekł bez żadnego wstępu:

— Należy się ode mnie podziękowanie pani za lekarstwo.

A gdy patrzała zdziwiona, dodał:

— Pamięta pani swe zdanie przed kilku tygodniami, że byłbym zdrow, gdybym musiał pracować na chleb! Uczę się tego z bardzo pomyślnym rezultatem. Terminuję u stolarza. Chcę umieć fach, a potem sprawię sobie nędzę.

— To dlatego hrabina poczuła sośninę! — roześmiała się.

— Bardzo rad jestem z kuracji i wdzięczny pani za radę.

— Niechby panu było dobrze i wesoło, z serca byłabym rada — rzekła życzliwie.

Spojrzeli na siebie przez sekundę.

— A ja byłbym rad, żeby pani zawsze u nas była — rzekł. — Jest pani uosobieniem czystej, zdrowej siły!

Zarumieniała się i dalej zrywała kwiaty.

W tej chwili ogrodnik ukazał się w alei, za nim szedł chłopak w szkolnej bluzie.

— Co się stało, Staszku?! — zawołała Stankarowa

przerażona.

— Ciocia przysłała po panią. Pan Stankar przyjechał i czeka na panią.

Kwiaty wypadły z rąk kobiety, zbladła, pociemniało jej w oczach.

Hrabia słyszał każde słowo, zbliżył się.

— Pani tam zaraz pójdzie? — spytał.

— Zaraz! Muszę! — szepnęła.

— W każdym razie proszę wstąpić do mojej babki i ochłonać. Je vous suis!

Oprzytomniała, odprawiła chłopaka i poszła na górę. Hrabina już wiedziała od lokaja o poselstwie i mocno była strapiona.

— Voila, już cię stracę! — zawołała żałośnie. Stankarowa pochyliła się do jej ręki.

— Może nie! — szepnęła. — Może na parę dni tylko przyjechał. Rozmówię się z nim i wrócę!

Staruszka potrząsnęła głową.

— Próżno mnie łudzisz! Przyjechał, żeby cię zabrać. Kobieta zerwała się, oczy jej zabłyśły.

— Mnie on zabrać? O nie! Żadna siła ni prawo mnie do tego nie zmusi!

— Nie bluźnij, ma chère. Musisz iść za nim, przysięgałaś. Ja wiem, że już ciebie więcej nie zobaczę. Szczerze cię polubiłam. Szkoda mi ciebie bardzo. Poczekaj, masz u mnie trochę grosza.

— To potem, pani hrabino, potem — broniła się — ja przecie wrócę!

— Nie wierzę w to, ale przyjdź, powiedz o twych dalszych losach. Koniecznie jutro przyjdź.

Hrabia wszedł w tej chwili.

— A w każdym razie niech pani na nas rachuje! —

dodał.

— Dziękuję. Przyjdę jutro!

Gdy się drzwi za nią zamknęły, staruszka westchnęła.

— Boję się o nią. Jest ogromnie rozdrażniona. Doprawdy nie wiem, jak się bez niej obejść.

Co chwila, co krok, brakło Stankarowej. Nie tylko hrabina, ale i profesor, i kapelan uczuli jej nieobecność. Wieczór wydał się bezmiernie długi bez głośnego czytania, gazety hrabiego były nieprzeczyte, nikt się nie odzywał — zapanowała znowu w gabinecie dawna ponurość i martwota.

Następnego dnia, gdy hrabia przyszedł na obiad, spojrzął na puste miejsce i spytał:

— Nie było pani Stankarowej?

— Nie — odparła posępnie hrabina.

— Pogodziła się z mężem i ani jej w głowie o mnie starego się dowiedzieć! — rzekł profesor.

— Niech babcia pośle Józefa po wieści!

— Poślę jutro! Mam przecie jej pensję.

Nazajutrz lokaj poszedł z kopertą i listem, ale odniósł na powrót.

— Pani Stankarowej nie ma!

— Jak to nie ma?

— Ta pani z czytelnicy zburczała mnie i powiedziała, że nie ma. Pytałem o adres, jeśli zmieniła mieszkanie, powiedziała, że nie wie.

— Poproś pana hrabiego do mnie.

— Pan hrabia wyszedł.

— Nie wiesz dokąd?

— Wychodzi co dzień o południu i wraca za ledwie przed wieczorem.

Zdumiała staruszka i w niepokoju posyłała co godzina

na dół. Nareszcie zjawił się hrabia.

— Gdzieżeś był tyle czasu?

— W bibliotece Krasieńskich.

— Wiesz, że Stankarowej nie ma. Tam się coś złego stało. Mon cher, zrób to dla mnie i pójdz sam do tej czytelnii. Adres znajdziesz na której z ksiązek. A weź pieniądze! Ja jestem chora z tego wypadku. Cały mój tryb życia zrujnowany, niczego nie mogę odszukać, nic załatwić. Mietka cały dzień piszczy i szuka jej po domu!

— Pójde zaraz!

Odnalazł łatwo czytelnię i szczęściem mało interesantów. Zarębianka była w złym humorze i gdy został z nią sam, spytała go „co pan sobie życzy?” takim tonem, jakby mówiła „idź do diabła”.

— Z polecenia mojej babki, hrabiny M” przyszedłem po wiadomości o pani Stankarowej.

Zarębianka widocznie potrzebowała pozbyć się goryczy z serca, bo rzekła impetycznie:

— Ładne wiadomości. Uciekła z dzieckiem przed mężem! A bo też wybrała sobie gagatka! Toć on mnie, mnie śmiał powiedzieć, że ja mu żonę zbuntowałam, że ja na złą drogę wprowadziłam, że ona mnie w gazetach opisze. I na takich nie ma sprawiedliwości, i kobieta dla takiego urwisa życie ma złamane i przepadnie marnie, bo co jej ta nierozsądna ucieczka pomoże! Toć ją policja złapie i do męża odstawi. A wtedy — jak Bóg na niebie — kryminal będzie. Ładny wynalazek — małżeństwo!

— Nie przeczę, że mocno nieudany, ale gdzie się udała pani Stankarowa? Do rodziny zapewne — znajdzie tam opiekę.

— Ja jej to radziłam, bo, prawdę powiedziawszy, wiedziałam, co zamierza, i gotowam wszystkich starań

dołożyć, żeby on jej nie, znalazł. Ale ona bardzo słusznie zauważyła, że on by ją tam najpierw szukał i stryja opiekuna łaski prosić nie chce, bo ją wydziedziczył za to małżeństwo. Miał rację, miał! Otóż uciekła bez I celu, jak szalona, nie było czasu się zastanowić, coś obmyśleć. Spodziewam się wieści! Ach, żeby miała jakie papiery.

— Mąż chciał ją zabrać?

— Tak, do Paryża, żeby mu służyła za model. Wcale tej funkcji nie ukrywał — owszem, znajdował, że na to jedno zdać się tylko może. Że z dzieckiem miałby kłopot — chciał, by je zostawiła „na garnuszek”. Obiecywał kiedyś zabrać.

Hrabia się pogardliwie uśmiechnął.

— Gdzież on jest teraz?

— Ano, zrobił mi skandal, obiecał się odplącić i poszedł z tym, że mu policja pomoże ją odszukać. Co chwila spodziewam się awantury, krwi, śmierci, bo to nie taka kobieta, żeby ją zmusić można było. Tylko dziecko! To jest słaba strona.

— A miała przynajmniej dość pieniędzy?

— A cóż — dałam jej, ile mogłam. Miała sto pięćdziesiąt rubli.

— Babka przysłała tu jakąś kwotę. Ogromnie jest zmartwiona stratą swej towarzyszki i bardzo radzi będziemy dopomóc jej.

— Mniejsza o pieniądze! Rada — to legitymacja.

— Gdy pani tylko otrzyma wieść, gdzie jest, proszę nas uwiadomić.

— Dziękuję panu hrabiemu. Nie omieszkałam, szczerą katoliczką jestem, ale nie boję się grzechu przed takim mężem ją bronić i ostatni grosz gotowam poświęcić, byle on jej nie znalazł. Hultaj jeden — on mnie, mnie,

Zarębiance, śmiało mówić, że ja ją na złą drogę wprowadziłam!

Znowu ją oburzenie ogarniało, więc hrabia wstał i pożegnał, ale w progu stanął:

— Może udała się pod opiekę pana Brzezickiego, który tu był zimą — mój nadleśny.

— O co to — to nie! Pod żadną opiekę się nie uda. Jeśli sama sobie rady nie da — do mnie jednej się zgłosi. Zresztą do nikogo. To harda dusza!

— Czekamy tedy od pani wieści.

Hrabina zrazu była oburzona na postępek tak awanturniczy.

— Tego się po niej nie spodziewałam. To grzeszny opór władzy boskiej i ludzkiej. On ma prawo nad nią. Powinna być uległa — mruzczała.

Nazajutrz jednak ustąpiła nieco z ostrości sądu.

— Biedna kobieta! Co się z nią dzieje? Tak sama z dzieckiem, gdzie się tuła? Jednakże musiał on być bardzo przykry, kiedy się na coś podobnego zdecydowała. Okropne położenie!

Trzeciego dnia posłała sama po Zarębiankę, kazała sobie opowiedzieć całą historię i rzekła:

— Biedactwo! Obyż nie zachorowała, nie osłabła. W jakim to strachu żyć musi. I nie możemy jej pomóc!

W parę dni potem staruszka rozpoczęła na jej intencję nowennę, że zaś straciła nadzieję powrotu, z westchnieniem rozpoczęła starania o nową lektorę.

Gdy pierwszy raz po tygodniowej przerwie usłyszał hrabia głośne czytanie po obiedzie, wszedł do gabinetu i usiadł na zwykłym miejscu. Ale zabawił ledwie kilka minut. Zastępczyni Stankarowej była to osoba skrzywiona, z miną nieszczęsnej ofiary złego losu, pretensjonalnie

ubrana, głos miała skrzypiący, monotony, wymowę szkaradną.

Wstał tedy, pożegnał babkę i więcej się wieczorami nie pokazywał.

* * *

Stankarowa w pierwszej chwili myślała tylko o ucieczce. Wsiadła do wagonu, ukryła się w kąt, uspiła dziecko, i dopiero wtedy pomyślała co dalej będzie. Mogła wrócić do stryja, ale wolała najgorszą nędzę od tego upokorzenia. Postanowiła tedy spróbować pracy o własnych siłach, bojowania własnym sprytem.

Wagon był natłoczony, jak zwykle wagon trzeciej klasy, naprzeciw niej siedziała jakaś jejmość w ciemnych okularach i badawczo się jej przyglądała. Wreszcie zagaiła rozmowę zwykłym pytaniem: :

— A daleko też pani jedzie?

— Sama nie wiem. Mam bilet do Grodna — odpowiedziała bez zastanowienia.

Jejmość jeszcze bystrzej ją obejrzała od stóp do głowy.

— Jak to? Pani nie wie, dokąd jedzie?

— A nie. Chleba szukam. Gdzie go znajdę, tam zostanę.

— A jakąż pani ma kondycję? Może lekcje?

— Wolalabym inną pracę — szepnęła.

— To pani szalona; tak z dzieckiem puszczać się w świat na niepewne. A zna też pani kogo u nas w Grodnie?

— Nie, nikogo.

Jejmość pokiwała głową i zamilkła.

Stankarowa wcisnęła się głębiej w kąt i zapłakała.

Rozstroiło ją nareszcie do gruntu poczucie osamotnienia i ciężkich chwil bliskiej przyszłości. Nie miała żadnej „kondycji”, nie umiała żadnego rzemiosła, a przede wszystkim — i to ją najgorzej przerażało — nie miała ni paszportu, ni żadnego urzędowego papieru. Do zajazdu jej nawet nie przyjmą, noclegu każdy stróż odmówi, o zarobek nie będzie się mogła postarać ani w fabryce, ani w sklepie — nigdzie!

— Czegóż pani tak płacze? — spytała ją jejmość. — Czy to takie nieszczęście na chleb pracować? Nie ma czego rozpaczać, jeśli zdrowie jest. Co by pani na moim miejscu robiła? Ot, sześć miesięcy przebyłam w szpitalu, a w domu zostawiłam na całym gospodarstwie córkę kalekę, i jak pomyślę, co tam zastanę, to już bym wołała żywa ze szpitala nie wyjść!

Stęknęła ciężko i zgarbiła się, jakby zgryzota była ciężarem, który jej zmęczone barki ciężko gniótl.

— Pani w Grodnie mieszka?

— W Grodnie, całe życie. Urodziłam się, za mąż poszłam, troje dzieci pochowałam, jedną córkę wydałam za mąż aż na Kaukaz, straciłam męża i zostałam na stare lata z ostatnią dziewczynką kaleką, sama już bez zdrowia i w biedzie! Pani to pewnie płakać zaczyna, ja już odplakałam wszystkie łzy.

Pokiwała głową i po chwili mówiła dalej:

— Mam ogród na przedmieściu. Mój mąż go założył, fachowy był człowiek, więc interes dobrze szedł. Sprzedawał kwiaty i warzywa, nasiona i szczepy. Wygodnie, dostatnio się żyło. Potem zaczęły nam dzieci chorować i umierać. W dwa lata trzech chłopaków pochowaliśmy. Stary się tym gryzł, począł się opuszczać, pić w końcu. Zadłużyliśmy się na doktorów, potem grad

wybił wszystko jednej wiosny — człek nie wytrzymał — położył się, zółkł, chudł, aż i zmarł. Od tego czasu już pięć lat biję się jak ryba o lód, Bóg wie, co zastanę teraz. Może już dłużniki i do domu nie puszczą.

— Nie miała pani listów od córki?

— Pisała parę razy, ale umyślnie nic złego. Ona to mnie do tej Warszawy wyprawiła, gdy na oczy zupełnie już prawie zaniewidziałam. Bo, powiada, co poczniemy, mam, jak oślepniesz? I prawda, ona kulawa, ja ślepa, to choć razem do Niemna iść i topić się. Trzymali mnie w szpitalu, trzymali, ledwie się wyprosiła — trochę widzę!

W wagonie było już zupełnie prawie ciemno. Szwargoczący Żydzi ucichli, kto mógł, wyciągał się na ławce do snu, mniej palono smrodliwego tytoniu, po kątach rozlegało się chrapanie — zapadła noc. Pociąg włókł się wolno, stawał na stacjach długo, a jednak Stankarowej się zdało, że pędzi za prędko, że lada chwila kurs się skończy — a wtedy co uczyni?

Zdawało się jej, że towarzyszka zasnęła, więc nie broniła się przed łzami. Rozpacz ją ogarniała beznadziejna, łkała z głębi duszy.

Wtem stara poruszyła się, przechyliła do niej.

— Bój się pani Boga! Czego tak rozpaczać? Co pani dolega? Jaż z Grodna, to pani pomogę, ale nie godzi się tak desperować. Toć u nas ludzie żyją i robotę znajdują, a pani szlocha, jakby Opatrzności Boskiej nie było na świecie.

— Nikt mi nie poradzi — wyjąkała.

— Czemuż to?

— Bo nie mam paszportu i nigdzie mi spokoju nie dadzą.

— Pani mężatka?

— Tak, ale mąż wyjechał, zostawił bez chleba, policja

potrzebuje papierów, a ja ich nie mam.

— Trzeba mężowi dać znać, to się uporządkuje,

— A tymczasem co robić? Gdzie być?

— To prawda, że kłopot. Zamyśliła się stara, wreszcie rzekła:

— U nas w Grodnie, to ja bym pani mogła pomóc. Mnie ludzie znają. U mnie by pani mogła spokojnie siedzieć, zanim się pani z mężem skomunikuje.

— Pani by to zrobiła! Mój Boże!

— Niewielkie rzeczy. Trzeba pomóc każdemu w biedzie, na ile kogo stać.

— Żeby pani mi tę łaskę uczyniła, to ja całe życie wdzięczną będę.

— Ot, nie ma za co. Ja nie mogę na łyzy niczyje patrzeć. Niechże się pani uspokoi. Nie takie biedy w życiu się trafiają. Byle zdrowie.

— Ale mało się trafia ludzi tak dobrych, jak pani! Mało kto by chciał pomóc obcej i nieznaney. Mało kto by uwierzył na słowo!

— Ej, żeby pani mówiła nieprawdę, albo była niegodna wiary, to by pani nic siedziała w trzeciej klasie i dziecka by tak serdecznie nie usypiała i nie płakałaby tyle. Z taką urodą i młodością — żeby nieprawda — to by pani jedwabny miała żywot, a nie troskę. Już ja stara, to znam porządek świata. Ja pani śmiało i radę i pomoc dam. Oszukaństwa żadnego się nie boję.

Stankarowa przechyliła się, wzięła rękę kobiety i chciała ją pocałować, ale tamta wyrwała szybko.

— Nie wiedzieć za co! Za co! Ot, słyszane, rzeczy! Niech pani trochę zaśnie, to i zdrowiej będzie. Raniutko przyjedziemy! Oj, mój Boże, co ja tam zastanę!

— Nic złego! Zobaczy pani. Bóg pani za mnie odplaci!

— Żebyż wysłuchał tych słów! — westchnęła stara.

Ale sen był niemożliwy wobec turkotu, niewygodnego miejsca i myśli różnych, kłębiących się w głowie. Zaczęły po chwili znowu gawędzić.

Dowiedziała się Stankarowa, że opiekunka nazywała się Czernikowa, że ogród był w zupełnej ruinie, że zaledwie uprawiała warzywa, trochę na sprzedaż, że resztę dochodu dawał sad i dzierzawa paru morgów pola i komorne połowy domu. Że dobytek stanowiła jedna krowa i stara klacz, którą w zimie na obrok zarabiał dziad, dawny sługa z lepszych czasów, który jak kot trzymał się miejsca za łyżkę strawy. Że córka kulawa, Sabinka, umiała ładnie haftować i szyć i miała zawsze robotę, ale mało płatną i że wreszcie najgorszą zmorą był Żyd, Belmot, który od śmieci Czernika postanowił zagarnąć posesję i jak pajak osnuwał swe nieszczęśliwe ofiary.

Na tych opowiadaniach noc zeszała. Wczesny, różowy świt pokrył niebo; gdy odebrano do Grodna bilety, w wagonie wszczął się rumor. Czernikowa poczęła zbierać tobołki, a Stankarowa wychyliła się przez okno, wciągając chciwie w płuca ranne, wonne powietrze pól i lasów. Słońce wstawało, powitała je dziękczynną modlitwą i jakby na coś drogiego i własnego patrzyła na obce miasto, wynurzające się z niemnowych oparów.

Nareszcie pociąg stanął, obudziła się Janka, poczęła szczebiotać, pytać o tysiąc rzeczy, a przede wszystkim o mleko.

— Jest krówka. Zaraz będzie mleczko! — uspokajała ją Czernikowa, pomimo trwogi o to, co w domu zastanie, uradowana na widok rodzinnego kąta.

— Tak bym tę ziemię całowała! — rzekła, gdy się znalazły poza dworcem, otoczone przez zgraję Żydów

furmanów.

Znalazł się wnet znajomy. Zabrał całe towarzystwo na swój rozklekotany wózek i ruszyli ku miastu.

Daleko, het, poza ulicami brukowanymi i gmachami, na przedmieściu, ku polom, stanęli wreszcie przed parkanem, mocno pochyłym i furtką krzywą.

Czernikowej jakby ubyło dwadzieścia lat wieku, tak żywo otworzyła furtkę i podreptała naprzód.

Dom stał w głębi duży, drewniany, ale ze wszech stron podparty, naprzeciw niego podobnież zrujnowana obórka, studnia, gołębnik, szkielet cieplarni, bez okien, a dalej, jak okiem sięgnąć, sad i pole. Główny ganek na słupach minęła Czernikowa, weszła bocznym wejściem do sionki i do dużej izby — zarazem kuchni i jadalni. Mała garbata osobka rozkładała ogień w piecyku, porwała się z radosnym okrzykiem:

— Mama!

I rzuciła się jej na szyję.

Stankarowa zatrzymała się u progu, opłaciła Żyda, poczęła znosić manatki.

Janka zajęła się kotem na podwórzu i wcale się do izby nie śpieszyła.

Ale, ucałowawszy córkę, Czernikowa przypomniała gościa i rzekła:

— To, Sabinko, jest pani, która z nami zamieszka, zanim jej mąż paszport przyśle. Nie trzeba rozgadywać, że ktoś obcy jest. Ot najlepiej powiemy, że krewniaczka w gościnę przyjechała na dni kilka z dzieckiem.

— Dobrze mamo. To ja pani uprzątnę mały pokoik rogowy i a tymczasem śniadanie podam — odpowiedziała spokojnie kaleka uśmiechając się do Stankarowej.

Po chwili podała na stół cztery wielkie kubki kawy z

mlekiem i duży bochen czarnego chleba. Obsiadły wokoło stół, a Czernikowa spytała:

— A gdzież to Gracjan?

— Pojechał z kasztanką na najem. Już tylko do środy kasztanka nasza.

— Jak to?

— Opisał Belmont i ją i krowę za dług. Mają sprzedawać we środę.

— O, ja nieszczęśliwa! — jęknęła stara.

— A duży dług? — nieśmiało spytała Stankarowa.

— Oj duży! Sześćdziesiąt rubli — szepnęła Sabinka. Zebrałam z szycia dwanaście. Nosiłam mu, prosiłam, żeby poczekał. Nie chce.

Westchnęła i patrzyła w okno, z bierną rezygnacją.

— To już kaput nam będzie! Bez kłaczy ani ogrodu obrobić, ani zarobić, a bez krowy nie przeżyjemy! — zdecydowała ponuro Czernikowa.

— Niech pani ode mnie przyjmie te kilkadziesiąt rubli. Ja mam! — ofiarowała się żywo Stankarowa, wyjmując pieniądze.

— Sumienia bym nie miała pani ostatni może grosz zabierać na wieczne może nieoddanie! Co robić! Trzeba ginać!

— Nie! Nie trzeba ginać. Trzeba sobie radę dać. Poratowała mnie pani jak matka, dajcież i mnie sposób wywdzięczenia. Tych pieniędzy już nie wezmę! Niech pani służą za mój wikt i schronienie. Będę śmieiej jadła wasz chleb.

— Nie godzi się. Pani biedna także.

— To co? Właśnie dlatego nie dbam o grosz. Pani mi dała dach i opiekę. Mnie więcej nic nie potrzeba. Pozwólcie sobie pomóc, to i szczęśliwa będę.

Spojrzały na siebie. Stara z córką łez miały pełne oczy, dobrych łez wdzięczności.

Kaleka wstała, nieśmiało wyciągnęła do niej rękę. Stankarowa uściśnęła ją i pocałowała.

— Daj Boże pani taką pociechę, jaką nam dała! — rzekła Czernikowa.

Zali mogła wczoraj myśleć biedna uciekająca, że taki będzie ranek następny! Po śniadaniu nastąpiło ulokowanie i obejrzenie wszystkich kątów. Sabinka oprowadziła po całym sadzie, opowiadała, jak to ślicznie było za życia ojca, jak drzewa rodziły.

— Teraz nikt z nas dopatrzeć ich nie umie, zdziczały, ledwie kilkanaście rubli bywa dochodu — zakończyła smutnie patrząc po gęstwinie rozczochranej.

— Ja się na tym znam — rzekła Stankarowa — znowu rodzić będą!

I poczęła pokazywać, co wypada czynić i już ją porywała żądza tej pracy ukochanej — wspomnienie Ługów, stryja, szczęśliwej młodości. Taka energia i siła biła z niej, że ożywiła się nawet znękana kaleka.

— Ja z panią będę razem pracowała. Pani mnie nauczysz. Mój Boże, z panią słońce do nas przyszło. Chce się żyć! Tylko co my zrobimy same ze starym Gracjanem? A na najem nie ma pieniędzy.

— A no, to trzeba samym zrobić. Od jutra weźmiemy się do roboty. Trzeba ogrody warzywne na gwałt uprawiać, bo już późno.

— Kiedy to się tak opuściło ręce. Jak mi opisali dobytek, a mamy nie było, to i ochota odpadła robić cośkolwiek. Nasiona nie ma, klacz zarabia na chleb, albo ja wiem, jak pogodzimy wszystko.

— Trzeba ogrody zorać, parę dni to zajmie, a potem

same musimy grzędy obrobić i zasiać. Inaczej chwasty tylko porosną, a my musimy z warzywa dużo zebrać pieniędzy

Przysła Czernikowa rozpromieniona.

Oplaciła Żyda — miały parę miesięcy spokoju. Zaczęto robić plany, potem zbierać narzędzia, zostały po Czerniku, obrachowywać koszty konieczne i prawdopodobne dochody — i wieczorem tyle było na dzień następny zamierzonych robót, że na troski i utyskiwania nie było czasu.

Rozdzielono robotę. Czernikowa miała zająć się kuchnią, domowym gospodarstwem, interesami w mieście i dzieckiem. Sabinka ze Stankarową ogrodem.

Przybył też z zarobku Gracjan i został do rady przypuszczony. Człek był stary, ale zawiedły i jeszcze krzepki. Nigdy prawie się nie odzywał, bo fajki z ust nie wyjmował. Gdy się dowiedział, że ta piękna, młoda pani wykupiła klacz i krowę, rozjaśniła mu się chmurna twarz; gdy powiedziano, że u nich zamieszka i ogrodem się, zajmie, wyjął fajkę z ust i uśmiechnął się.

Wreszcie spytał:

— To i dziecko nasze?

A gdy potwierdzono, począł się śmiać całą gębą z wielkiej uciechy i powiedział, że gdzie dziecko jest, to i pan Bóg niedaleko i że będzie u nich dobrze. Stankarową obrachowała swą kasę. Miała czterdzieści kilka rubli. Dała z nich pięć Czernikowej na różne sprawunki, a trzy na nasiona. Resztę schowała na czarną godzinę i, czując się zupełnie na razie szczęśliwą, zasnęła spokojnie.

I rozpoczęło się nowe, ciężkie życie. Od świtu poszły z Sabinką do pracy. Gracjan ogród orał, one w ślad za nim równały zagony, rozbijały bryły — siały, Janka dreptała za

nimi, bawiła się motylami, żuczkami, trawą, kotem, aż zmorzona usypiała na ziemi, skąd ją zabierała Czernikowa i odnosiła do domu na rękach.

Z początku mozolnie, wolno szła kobietom robota; mdlały im ramiona i krzyże. Biedna Sabinka daleko zostawała za Stankarową, ale obie zaczynały się na zmęczenie i pracowały, pocieszając się, że przywykną.

Pogoda była śliczna, słońce grzało, woniały młode łąskie, ptactwo śpiewało całymi chórami, chciało się żyć i pracować.

Po tygodniu zasiano ogrody. Gracjan ruszył znowu na zarobek kłaczą — kobiety wzięły się do sadu.

Stankarową zdjęła i schowała swe miejskie stroje sprawiła sobie barchanową spódnicę i bluzę — na głowie nosiła tak jak Sabinka jasną chusteczkę. Po nieznośnych bólach ścięgnię jej się zahartowały, mięśnie nabrały sprężystości, była gotowa do trudu. Dotychczas jednak nie wyszła poza furtę i nie mogła opanować drżenia, gdy ktoś wchodził z ulicy lub gdy Czernikowa zbliżała się do nich.

Ale nikt dotąd nie troszczył się o nią, nie spytał o paszport, może dlatego właśnie, że lokatorem Czernikowej był policjant „kwartalny”. Podkomendni jego nie szperali w posesji, gdzie on mieszkał, a on raz tylko spytał swej gospodyni o Jankę i zadowolnił się objaśnieniem, że to krewniaczka do nich na czas jakiś przyjechała. Człowiek to był bezzenny, niemłody, lubił kwiaty i dobre powietrze. Czernikowa go stołowała, dogadzała w wikcie, więc rad z mieszkania i opieki, raczej by pomógł, niż dokuczył.

W miesiąc po tym osiedleniu napisała Stankarową do Zarębianki, pytając o wieści, opisując swe nowe życie. Rada zeń była, ale brakło jej ludzi znajomych i umysłowej rozrywki.

O niedostatku i ciężkiej pracy nie wspomniała wcale — na to była nieczuła.

W tydzień potem przyszła odpowiedź pod adresem Czernikowej: „Moja kochana pani Antonino. Po twoim zniknięciu był tu u mnie twój małżonek już parę razy i przyznaje, że go nie poznała. Przeprosił za skandal, pytał o ciebie spokojnie, obiecał, że cię już prześladować nie będzie. Nie rozumiem, co mu się stało. Do Paryża nie wraca, osiadł tutaj i ma dużo roboty. Zaczynają o nim pisać w Kurierze. Powiedziałam, żeby ci dał paszport, na to się uśmiechnął dziwnie i odrzekł, że gdy o to go sama poprosisz, to nie odmówi. Powodzenie go poprawiło, warto z okazji skorzystać. Dowiadywał się o ciebie pan Brzezicki, który tu od hrabiego przyjeżdżał. Hrabinie dają już trzecią lektorkę — obie strony są ze siebie niezadowolone, a na mnie się to krupi. Mam tu dla ciebie pieniądze: hrabia przyniósł i zostawił trzysta rubli, co mam z tym zrobić, bo się boję złodziei.

Hrabiostwo do Orlina nie wyjechali dotąd z racji tych lektorek. Stara ma takie wymagania i grymasy, że nikt jej nie dogodzi i nie rozumiem, jak ty tam mogłaś wytrzymać. U nas wszystko pomyślnie, ale nam za tobą i dzieckiem tęskno! Nie mogłaś to się bez tego męża obejść — nie byłoby tej całej chryi. Jeśli się zdecydujesz pisać do męża, to list mi przyślij. Zobaczymy, jaki się okaże”.

Stankarowa poczerwieniała z oburzenia na samą myśl o prośbie względem tego człowieka. Jak bicze bolały ją jego cyniczne słowa, żądania, rozkazy. Umrze raczej, niż się do niego zwróci z prośbą! Obraziły ją też pieniądze hrabiny, więc odpisała natychmiast gorączkowo, pomimo że miała już ledwie kilka rubli jako cały fundusz i żadnej nadziei na poprawienie finansów.

„Należy mi się od hrabiny sto siedem rubli. Niech pani je weźmie dla skwitowania mojej należności, a resztę proszę jej oddać. Męża o nic prosić nie będę. Niech się dzieje co Bóg da! Dotychczas mam spokój i szczęście, że dobrych ludzi na drodze spotykam, a snać grzechu nie popełniam tym buntem, jeśli mi Bóg dziecko zdrowe chowa”.

Janka istotnie kwitła zdrowiem i chowała się jak ptaszę swobodnie w sadzie, świergotem wesołym bawiąc pracując, tarzając się po murawie, zbierając kwiaty, niepamiętna już ciasnego mieszkania w Warszawie, niefrasobliwa i szczęśliwa.

Nie wiedziała, jak ciężko było otaczającym. Wśród lata prawie im głód dokuczał. Patrzyły na zielone owoce i warzywa, rachowały dochód jesienny, a same obywaty się byle czym.

Mięso bywało mitem w ich kuchni, kawę zastąpiono cykorią — żywiły się mlekiem, kartoflami i chlebem.

— I tak dziw, że nie pożyczamy! — mówiła Czernikowa. — Poprzednich lat gorzej bywało. Pani umie lepiej pieniędzmi zarządzić, niż my. Wiadomo — inna edukacja, inna głowa.

Dla nich Stankarowa stała się bóstwem i wyrocznią, rozumiały, że ona ich utrzyma i pokieruje. Wydawała rozkazy, rządziła wszystkim. Słuchano jej ze ślełą wiarą.

Nareszcie minął ciężki przednówek. Dojrzały czereśnie. Co dzień Gracjan i Czernikowa wywozili je na targ, wracali z workiem miedziaków. Pieniądze składano do kuferka, nie licząc i nie wydając grosza. Potem przez resztę dnia obierano owoc dojrzały, polewano warzywa, pracowano do nocy niestrudzenie. Nie było czasu na gawędki z sąsiadkami, na kłótnie i plotki. Sabinka, która pierwiej

niedomagala często i plakała o byle co, zapomniala o niedoli swego kalectwa, byla zdrowa jak nigdy. Czernikowa, która lubila odwiedzac kumoszki, lamentowac godzinami nad swą dolą, zbierac i roznosić nowinki, teraz ledwie wiedziala, co się dzieje za furtką, z targu wracala klusem, odwiedzajace znajome odprawiala prędko, przestala bywac na sumie, zadowalala się cichą mszą, a czasem tylko pacierzem.

Stankarowa bywala pierwsza na nogach. Z poczatku zostawiala obie swe gospodynie w łózku. Ale gdy raz poszla sama do obórki, by wydoić krowę, dogonila ją tam stara, mocno zawstydzona, i odtąd już nigdy nie potrzebowała tej nauczki powtarzac. Wyprzedzaly się, kto ranej wstanie. Przy śniadaniu rozdzielano robotę, przypominano, co bylo do spełnienia w tym dniu i po tym rachunku kazdy śpieszył, czujac, że ledwie wydoła.

Czernikowa musiala isc na targ, sprzątnac mieszkanie własne i lokatora, uwarzyć posiłek całodzienny, zająć się prosiakiem, krową, kurami, uprac bieliznę, upiec chleb — gdzie jej bylo w głowie gadać z sąsiadkami, umarlaby ze wstydu, przy wieczornej rozmowie, gdy kazdy zdawal, co i wiele zrobil.

Sabinka ze Stankarowa nierozlacznie pracowaly w sadzie i wśród grząd warzywa. Jedno trzeba bylo opielic, drugie zmotykowac, osypac, okopac, lizki obrac, podlac.

Gracjan, gdy trawy podrosly, kosil kazda miedze. Zbierano i suszono nawet chwasty na siano, chowano skrzętnie na strychu obórki, na dluga zimę. Gdy nie bylo nic do koszenia, zarabial klaczą na mieście.

Przy robocie rozmawiano o ulepszeniach na przyszlosc. Stare, zdziczale truskawki na jesieni doprowadzic do porzadku, piwnice na wpol zawaloną odrestaurowac na

owoce i warzywa, założyć chów pieczarek, a może kiedyś, kiedyś i szklarnię podnieść z ruiny. Te plany dodawały Sabinece zdrowia i sił. Twarz jej, pierwiej chorobliwie blada i skrzywiona troską, teraz opalona słońcem i znojem — promieniała wewnętrzną radością.

Brzydkie jej siwe oczy podnosiły się ku towarzysze trudu z nieopisanym wyrazem zachwytu i wdzięczności. Przy niej nie czuła się już stworzeniem słabym i pogardzonym, ale człowiekiem, który ma w życiu cel i zadanie i który sobie sam wystarczy.

To poczucie miała i Stankarowa. Teraz dziwny spokój i zadowolenie miała w sobie. Jej cudnie piękna twarz nabrała pogody i jasności. Żadnych buntów ani wyrzutów nie czuła. Buntów na pracę wyrobniczy i podrzędne zajęcie, i fałszywą pozycję — wyrzutów za wykolejenie życia. W sumieniu miała spokój, żaden cień nie ćmił jej promiennych, ciemnych oczu, ani hardej duszy. Była szczęśliwa, bo zarabiała na siebie i dziecko, bo pomagała słabszym i nie dokuczali jej ludzie. Ludzi się zawsze bała, pozostała dzikim ptakiem z samotni Łużyckiego.

Po kilku miesiącach pobytu, zaledwie się ośmieliła po paru namowach Czernikowej przestąpić próg furtki — w niedzielę do kościoła.

Stara chciała koniecznie, by włożyła na ten dzień swą miejską suknię i kapelusz, ale ona się bała, że więcej zwróci uwagę sąsiadek i ubrała się, jak się ubierają kobiety podmiejskie w jasny perkalik i muślinową chusteczkę na głowie, którą nasunęła głęboko na twarz. Jednakże pomimo tego stroju mężczyźni oglądali się na nią, i od tych spojrzeń czuła w duszy takie oburzenie i upokorzenie swojej kobiecej godności, że nie mogła się modlić, skupić duszy, i w pół nabożeństwa wysunęła się z tłumu, uciekła,

odetchnęła dopiero w swojej pustelni. Odtąd wczesnym tylko rankiem bywała w kościele, wsunięta w ciemny kąt, gdzie jej nikt nie mógł dojrzeć.

Poza nabożeństwem nie bywała nigdzie. W święta lub słoty wynajdywała sobie zajęcia w domu lub czytywała głośno książki, które Czernikowa dostawała u lekarza, stałego odbiorcy warzyw, któremu przynosiła sama stara produkty do domu — najlepsze, najtaniej, za książki i gazety. Czytanie była to także rzecz niebywała w mieszkaniu Czernikowej — oprócz modlitewnika i kalendarza druki tam były nieznanne.

Z początku stara usypiała słuchając, a Gracjan co rychlej zmykał; tylko Sabinka okazywała zajęcie, potem wszyscy nabrali gustu i oczekiwali niedzielnego popołudnia, a gdy deszcz ulewny przerywał robotę, Czernikowa mówiła: ot i dobrze, dowiemy się końca tej historii, ale trzeba Gracjana zwołać, bo w niedzielę narzekał, że nie słyszał i musiałam mu opowiadać, co tam było.

Raz na miesiąc odbywał się rachunek kasy. Wydobywano z kufra pieniądze, liczono je, rozdzielano na różne potrzeby. Za każdym razem Czernikowa przypominała dług Stankarowej, ale ta wzruszała ramionami.

— Na co mi one? Jeszcze mnie stąd nie rugują. Chowajmy na czarną godzinę, zima długa przed nami.

— Nikt pani nie zaczepi. Już ludzie nawykli, a zresztą póki kwartalny tutaj, wszystko spokojnie. Przecie nas Bóg takim nieszczęściem nie dotknie. Co my warte bez pani!

I patrzyła na nią ze łzami wdzięczności.

Pewnego dnia jesienią przyszła do Stankara Zarębianka. Malarz miał teraz piękną pracownię, eleganckie mieszkanie, roboty dużo i dobrze płatnej — wypłynął na falę i miał przed sobą zapewnioną karierę, znane imię!

Gdy mu oznajmiono gościa, uśmiechnął się ironicznie i kazał prosić do gabinetu.

Domyślał się, z czym przychodzi.

Zarębianka też nie bawiła się nigdy w dyplomację zaczęła bez ogródek, po swojemu, zamasyście:

— Czy pan długo tę nieszczęsną kobietę dręczyć będzie?

— Alboż ja ją dręcę. Zostawiłem zupełną swobodę czynu i woli, nie poszukuję, nie zmuszam do powrotu. Ma, czego chciała.

— Po co te drwiny? Pan wie, że jej potrzeba paszportu? Niech go pan jej wyśle.

— Aha, przecie mąż potrzebny czasami.

— Niepotrzebny — ale głupim prawom trzeba ulegać. Ona się panu nie narzuca, ani prosi o opiekę. Daje sobie sama rady, ma pracę, o łaskę nie żebra, ale ten paszport — to godzi się jej dać, żeby spokój miała. To pana obowiązek.

— Teraz ja za panią powtórzę: Po co te drwiny? Jakiż ja mam obowiązek ułatwiać jej życie, za co, dlaczego? Obowiązki ona sama zerwała, gdy uciekła jak awanturka — nie chce mi być żoną, porzuciła dom, zrobiła skandal, podeptała ludzkie i boskie prawa — niech znosi wszystkie następstwa skandalu.

— Komu to pan opowiada! — wybuchnęła Zarębianka. — Kto porzucił, kto zostawił ją w nędzy i poniewierce? To panu wolno zrywać i deptać prawa, a jej się bronić nie

można? Pan sam powiedział, że z nią żyć nie chce, że rodzina i dom pęta panu duszę, że ona głupia i niezdolna, a dziecko gorzej diabła. Nie było tak? Nie?

— Wcale nie. Wyjechałem, bom tu się wybić nie mógł. Przysłałem dla dziecka pieniądze, odesłała z impertynenką kartką. Gdy wróciłem zbuntowała się i uciekła. Obraziła się! Mniejsza z tym. Obejdę się bez niej. Ale jeśli ona beze mnie obejść się nie może — niech się upokorzy, przeprosi i poprosi sama! Od tego nie odstępaj!

— Wielką będzie miał pan chwałę! Pastwić się nad słabą istotą — wstyd panu. Przecie pan jej nie kocha, nie dba o nią — uciekł pan od pożycia, które było kulą u nogi, wrócił pan, jak sam powiada, przez poczucie obowiązku tylko. Ona się panu z drogi sama usunęła, nie dokucza, nie krępuje swobody — po co panu potrzebna ta forma przeprosin i próśb — po co ją drażnić i siebie! Co z tego za korzyść?

— Ostatecznie zawsze pęta mam z jej racji — mruknął — i fałszywą pozycję względem ludzi. A w dodatku nazwisko moje nosi — i lichy wie, co porabia po świecie. Zresztą — mniejsza o nią — ale dziecko mi zabrała. Niech mi dziecko odda — to dam jej paszport.

— I po co panu dziecko? Co by pan z nim robił? Po tygodniu do Dzieciątka Jezus by pan odniósł. To pan gorzej dziecka, kiedy podobne absurdy opowiada. Chować taki drobiazg bez matki.

— Gdzież ona jest? Co robi? Jeśli wyciera cudze kąty i służy za pieniądze — na złość mnie, żeby moje imię na ludzkie języki i obmowę dać, to na pierwszą wieść żandarmami ją tu sprowadzę. To jej szczęście, że dotąd o niej nie mówią!

— I nie będą mówić. Niech pan będzie spokojny. I nie

godzi się ją dręczyć. Dać jej ten paszport, a potem, jeśli pan chce zupełnej swobody, ona się pierwsza chętnie na rozwód zgodzi.

Stankar drgnął — ta myśl nigdy mu nie przyszła do głowy.

— Aha, rozwodu jej się chce! — mruknął gniewnie. — Zapewne nowych związków.

— Nie! — roześmiała się Zarębianka. — Ona dziesiątemu zakaze! Źle ją pan zna, a raczej wcale nie zna.

— Gdzież ona jest wreszcie? Co robi? Mogę, sądzą choć to wiedzieć!

— Jest w Grodnie — u biednych ludzi. Razem z nimi pracuje. Dotąd jej nikt nie zaczął o paszport, ale teraz pytają. Jeśli pan go nie przyśle rychło — będzie stamtąd musiała uciekać i tułać się jak zbieg. Ale pan do tego nie dopuści. Lepszy pan jest, jak się wydaje.

Milczał chwilę — wreszcie rzekł:

— Niech mi pani zostawi jej adres. O nią mi nie chodzi, ale dziecko mi zmarnuje przez swój upór i diabelską złość. Zrobię, co uznam za słuszne.

Zarębianka zastanowiła się sekundę. Co było robić? Kobieta była tak czy owak na jego łasce i niełasce. Trzeba się było zdać na los i jego honor.

Westchnęła i podała adres.

Zapisał w notatniku i rzekł już łagodniejszym tonem:

— Ja w pani mniemaniu jestem potworem — Sinobrodym z bajki. Ale niech pani wyzna, że i ona do reszty kobiet niepodobna. Ładne by było zamieszenie i nieustająca awantura na świecie, żeby wszystkie żony były jak ona!

— Ha, może byćcie się z nimi wtedy delikatniej i względniej obchodzili! — odparła Zarębianka. — Ja w

każdym razie, przy każdym pacierzu Bogu dziękuję, że męża nie mam.

Pożegnała go z tym i wyszła. Trochę sobie wyrzucała, że zdradziła jej schronienie, ale wreszcie machnęła ręką.

— Nie mogłam inaczej. Ma ją prześladować policja, to już chyba lepiej, żeby on o tym wiedział. Dla dziecka tego nie dopuści, a przecie jej nie zje. Niech sobie z nim sama radzi.

Stankar nie był złym człowiekiem. Był tylko lekkomyślnym, gwałtownym i fantastykiem. Zły los i bieda rozgoryczyły go i rozdrażniły, teraz, gdy walka i przeciwności minęły, stał się znowu wesołym, łatwym w pożyciu, dobrym kolegą i cenionym dla humoru kompanem. Lubili go bracia malarze, powodzenie miał niesłychane u kobiet. Mówił zupełnie szczerze, że o żonę nie dbał, dogadzała mu kawalerska swoboda; jeśli jaką miał do Toli pretensję, to tylko obrazę próżności, gdy mu powiedziała, że go nie kocha i nazwała go kłamcą i nędznikiem, bez honoru i czci. Tego jej darować nie mógł, za to chciał ją upokorzyć, zmusić do przeprosin.

W głębi duszy wstyd mu było, ale do tego się nie przyznawał nawet przed sobą, różnymi sofizmatami winę pokrywając i tłumacząc. Po wyjściu Zarębianki wrócił do pracowni, wziął się do roboty i rozmyślał, jak miał postąpić. Tak zaraz wysłać jej paszportu nie chciał, byłoby to za tanio. Napisze pierwej, żeby wracała, i dopiero po tym akcie skruchy obieca jej paszport.

W tej chwili ktoś zadzwonił. Lokaj przyniósł kartę, na widok której Stankar paletę cisnął i spieszenie do gabinetu wyszedł. Przed nim stał Michał Brzezicki.

— Witaj! — zawołał Stankar radośnie, zapominając o kwasach, które ich poróżniły ongi przed weselem, a

pamiętając tylko o dobrym koleżeństwie.

Brzezicki nie spodziewał się takiego przyjęcia, poczerwieniał, ale dał się pociągnąć. Uściskali się po dawnemu.

— Skądże tu spadłeś? Co porabiasz? Gadajże? Zostaniesz na obiedzie, od tego cię nie zwolnię!

— Przecie sam mieszkasz, w domu nie obiadasz.

— To nic. Józef nam sprowadzi lepszy obiad, jak go baby w domu swędzą. Siadajże, mój stary, i opowiadaj.

Michał prędko opowiedział swe dzieje. Był rad z losu. Zarobiony, cudzy chleb lepszy był, jak własny w Brzezinach. Miał byt niezależny od urodzaju, żadnych długów i trosk, dobrych zwierchników i pracę, którą lubił.

— No, a stary puchacz, Łużycki żyje? — zagadnął swobodnie Stankar.

— Żyje. Widziałem go onegdaj.

— Co mi ta bestia krwi napsuła kiedyś — roześmiał się niefrasobliwie malarz.

Tak lekko traktował tę kwestię, że Michał rozchmurzył się zupełnie. Interes, z którym przyszedł, wydał mu się bardzo łatwym.

— Nie obrazi cię moje pytanie?

— Nie, żadne! Zresztą wiem, o co ci chodzi. Chcesz pytać o Tolkę. Nie ma jej, bracie. Jakby nic, poszła sobie w świat, na własny chleb. To jest bardzo nowoczesne! Co?

— Wiem o tym. Zupełnieście się rozstali?

— Zupełnie. Ona wracać nie chce, a ja gonić nie myślę. Wcale braku nie czuję. Skąd wiesz — może jest u stryja?

— Nie. Ale stryj wie, żeście się rozeszli — i polecił mi z tobą się rozmówić o tym!

— Cóż? Chce, żebym ją odszukał i zagnał do domu jak zbłąkaną owcę?

— Nie. On ci proponuje rozwód. Bierze koszty na siebie. Jeśli się zgodzisz, to ją tymczasem zabierze do Ługów.

— Dlaczego tymczasem? A potem?

— No, potem, może — może ona za męża wyjdzie.

— Aha! — roześmiał się Stankar. — Teraz rozumiem jej bunt, oburzenie, jej wstręt niby do mnie, jej żądze swobody, i ucieczkę. Mam następcę w jej sercu. Słuchaj no, Michaś, wiem kto to jest! To ty!

I śmiał się, patrząc szyderczo na gościa.

Ale Brzezicki się zmarszczył i odparł spokojnie:

— To się mylisz. Jeśliś jej serce stracił, to nikt ci go nie odbierał, ani ona cię oszukiwała. Nie ma żadnych tajemnic ani fałszów, mówię ci prosto jak rzeczy stoją. Łużyckiemu żal kobiety — to jego krew i ukochanie. Chce ją na powrót dostać, gdy ty już o nią nie dbasz — po co się ma po świecie poniewierać? Że ją kto inny pokochać i pożądać może, też naturalne. Ma dwadzieścia parę lat i tak piękna.

— Jeśli bez fałszów mówisz — to powiedz mi, że jej nie kochasz.

Uwierzę ci na słowo.

— Tego nie powiem. Jeśli ją kocham, to, moja rzecz.

— I jej! Już porozumieliście się! Gadaj, strzelać się z tobą o to nie będę.

— Za kogo mię masz i ją? Nigdy między nami o tym mowy nie było, anibym śmiał jej to rzec. Gdy będzie wolna — to nie przeczę, że jej się oświadczę, ale teraz — żadna moc słowa ze mnie nie dobędzie.

Stankar śmiać się przestał i zamyślił się. Pomimo tego, co mówił, wierzył w uczciwość ich obojga — był pewien prawdy słów przyjaciela. Po raz drugi tego dnia wspomniano mu o rozwodzie. Było to ostatnie rozwiązanie

kwestii, zakończenie logiczne i odzyskanie zupełne swobody. Oboje się omylili, szął przeszedł, miłość nie ostała, po co mają do śmierci dźwigać kajdany i znosić fikcyjny związek!

— Czy Łużycki pisał do niej o tym? — spytał.

— Nie. Nikt nie wie, gdzie ona jest nawet. Łużycki polecił mi z tobą się rozmówić, a jeśli się zgodzisz, to oddać ci ten list, abyś do niej wysłał, i złożyć ci pieniądze na rozwód — ile zechcesz.

— Oho, bardzo się staremu chce na powrót ją odzyskać. Ciekawym, czy jej równie pilno! Ano, zostaw list, a pieniądze schowaj, i powiedz staremu, że ich nie potrzebuję. Jeśli zechcę odzyskać swobodę, to ją sobie sam kupię. — Brzezicki list na stole położył i wstał.

— Kiedy mi dasz wyraźną odpowiedź? — spytał.

— Ha, kiedy mi przyjdzie ochota tym się zająć — odparł. — Dopiekła mi baba i stary, niech trochę koło mnie potańczą.

Na tę odpowiedź Brzezicki poczerwieniał i wyszedł bez pożegnania.

Stankar także był podrażniony. Parę dni chodził nieswój, wreszcie zniknął z Warszawy, nic znajomym nie mówiąc, dokąd jedzie.

Wczesnym rankiem stanął w Grodnie, zajechał do hotelu, około południa wsiadł do dorożki i kazał się wieźć do ogrodu Czernikowej.

— Wiesz drogę? To gdzieś za miastem?

— Kawał drogi, kto by starej nie znał. Toć co dzień ją widuję. Spyzniała teraz, a na wiosnę to ją już licytować mieli.

Tu biczem wskazał na wóz pełen drzew i dodał:

— A ot, to jej parobek od Niemna drzewo ciągnie.

Przemysłna baba!

Stankar się rozglądać począł, po krętych uliczkach, starych domach, typach ludzi, i tak jechali, aż domy stały się niższe, przechodnie rzadsi, więcej nieba i przestrzeni, już zalatującej zapachem roli i wędnących liści.

Dzień był słoneczny i ciepły, w powietrzu snuły się nici „babiego lata”, spoza parkanów złote i czerwone wyglądały drzewa.

Wreszcie dorożkarz konia wstrzymał i wskazał furkę.

— To tutaj. Zaczekać pan każe?

— Czekaj. Za chwilę będę z powrotem.

Wszedł na podwórze i rozejrzał się, czy kto się nie pokaże, by mu dalszą drogę wskazać. Ale wokoło było pusto, jak zwykle w roboczy dzień, tylko dalej w głębi posłyszał śmiech i okrzyki dziecka, i na ten odgłos poszedł wąską ścieżką między zagonami warzyw. Z daleka poznał Tołę, zajętą obieraniem jabłek z drzewa. Stała na drabinie wysoko wśród konarów i zrywała owoce w wiszący na gałęzi kosz. Gdy był pełny, spuszczała go na dół w ręce Sabinki, która pakowała jabłka w większe skrzynie, sortując starannie.

Na ziemi, obok gromady owoców, bawiła się Janka, układając je w kupki i niby pasąc. Były to „koniki” i „krówki”.

Wszystkie były tak zajęte, że go nie spostrzegły. Dopiero Sabinka zawołała:

— Ach Boże, jakiś pan przyszedł!

Stankarowa się obejrzała, drgnęła i pobladła nagle. Poczęła prędko schodzić na dół. Zęby jej szczykały jak w febrze.

Ale Stankar przede wszystkim zbliżył się do małej, pochylił się, chciał ją wziąć na ramię. Dziecko przerażone,

podniosło wrzask ogłuszający, poczęło się bronić, odpychając go i krzycząc:

— Mamo, mam, dziad przyszedł.

Stankar się cofnął, gniewnie się zmarszczył, i spojrzął na żonę, do której schroniła się Janka.

Może by było dość tej maskarady! — rzekł po francusku. — Zbieraj się. Zabiorę was ze sobą.

Tola wzięła małą na ręce, ucałowała ją, pogłaskała i rzekła łagodnie:

— Wstydz się, Janko. To nie dziad! To tatuś! Przywitaj tatusia, pocałuj, pokochaj.

Dziecko bezpieczne przy matce, spojrzęło trwożnie, nieufnie, ale przestało płakać.

Zbliżył się do nich, gniew opadł; pogłaskał małą po złotych włosach, i rzekł:

— Ależ urosła. No, chodź do ojca. Wyciągnął rękę, oddała mu Tola dziecko.

— Ładny kanar! — rzekł, całując ją.

Potem postawił ją na ziemi i zwrócił się do żony:

— No, a ty się nie raczysz ze mną przywitać. Kiedy tu jestem, to znak, że ci już wybaczył ten skandal!

— Nie zrobiłam żadnego skandalu. Powiedziałeś wtedy: „albo zrobisz co każe, albo idź do stu diabłów!” Więc poszłam!

— Radzę ci nie przypominać przeszłości, żebyś w złość nie wpadł i wtedy źle będzie z tobą, jeśli mą opiekę cofnę! Tymczasem szkoda mi dziecka, i zrobię koniec tej maskaradzie. Do czegoś ty podobna, z kim tu siedzisz! Słyszysz u tych chłopów! Słowo daję — trzeba być skończoną wariatką, żeby coś podobnego urządzić.

— Nie służę! Pracuję razem z nimi — dobrze mi tutaj. Zostaw mnie. Po co ja ci potrzebna? Dziecko zdrowe, a

mnie tak spokojnie bez ludzi. Daj mi paszport, a nigdy ci w drogę nie wejdę. Nie wytrzymam wśród ludzi w mieście.

Podniosła nań oczy, ale ujrzała, że prosi na próżno.

— Dawno tu u ciebie był Brzezicki? — spytał z błyskiem gniewu w oczach.

— Brzezicki? Jaki? Michał? — zdziwiła się.

— Nie udawaj. Wiem wszystko. Przeszkodziłem wam moim powrotem. Uciekłaś, żeby swobodnie tu z nim romansować. Ten osioł się zdradził. Nie zwracaj mi głowy sielankowymi bajkami. Zaraz mi się spakujesz i pojedziesz ze mną do Warszawy!

Tola nie rzekła słowa. Twarz jej się skurczyła, oczy nabrały odblasku stali.

Wzięła dziecko za rękę i poszła ku domowi. Stankar pożałował swego wybuchu, był pewny, że cisnął jej obelgę niewinnie, ale się zaciął w uporze. Ruszył za nią, mówiąc:

— Tylko się żywo zbieraj, bo dorożka czeka, a ja czasu nie mam.

Czernikowa już się dowiedziała od Sabinki o przybyciu męża i przeczuwała katastrofę. Siedziały obie w jadalni i płakały. Gdy Stankarowa weszła, poznały z jej twarzy, że coś złego się stało i stara ryknęła na głos, zawodząc jak nad umarłym.

Kobieta spojrzała po nich, stanęła chwilę wahająca, zrozpaczona — wreszcie rzekła:

— Nie ma rady. Muszę iść od was. Mąż mnie zabiera zaraz. Niech wam Bóg zapłaci za opiekę i za to lato dobre.

— Jezus Maria! A jakże my sieroty bez pani żyć potrafimy! I tak zaraz, gwałtem mąż panią zabiera? Mój Boże, co my poczniemy nieszczęsne!

— Sabinka, poproszę pana do domu! Mnie ze zgryzoty całkiem nogi odjęło.

— Nie pójdę! — szepnęła Sabinka. — To taki wielki pan, i tak gniewny wygląda! Jeszcze się obrazi!

Stankarowa weszła do swej izdebki, zawołała Sabinę, oddała jej klucz od kuferka, gdzie chowano pieniądze, przebrała się w swe miejskie suknie, ubrała Jankę, obejrzała się po kątach i stała chwilę, dysząc jak po wielkim trudzie.

— Upakuję pani rzeczy? — szlochając rzekła kaleka.

— Nie, nie, nie wezmę. Zdadzą się wam te szmaty, a tam innych mi trzeba. Pamiętajcie o mnie, może wam jeszcze kiedy spadnę. Adres wam przyślę! Piszcie, jak wam się powodzi — i jakby jaka bieda lub potrzeba była. Może ja jeszcze wrócę!

— Niech pani swoją należność weźmie z tych pieniędzy. Może choć część się zbierze.

— Niceście mi niewinne, a ja pieniędzy nie potrzebuję. Toć na chleb cudzy idę! — Uśmiechnęła się gorzko, raz jeszcze obejrzała się po kątach, ucałowała szlochającą dziewczynę i wyszła.

Stankar już się zaczynał niecierpliwić w dorożce, gdy skrzypnęła furtka i ukazała się Tola z Janką.

Dziecko miało w rączkach dwa wielkie czerwone jabłka, a Tola bukietik astrów, zresztą żadnych pakunków, i kobiety do furtki ją tylko odprowadziły, bojąc się „wielkiego pana.” I tak ruszyli ku miastu. Janka szczebiotała, że jedzie, Stankar gwizdał, Tola milczała. Tak stanęli w hotelu.

Janka przestała szczebiotać, obejrzała się po pokoju zimnym i ciemnym, przytuliła się do matki i spytała:

— Mamusiu, czy my już w więzieniu?

Gracjan ją zawsze więzieniem straszył, żeby się za furtkę nie wychylała.

— Gdzie wasze rzeczy? — zagadnął Stankar, dzwoniąc o rachunek.

— Nie mam żadnych! — mruknęła.

— Winszuję. Trzeba będzie odziewać od stóp do głowy i ludziom wstyd pokazać. Tom się dopiero kłopotu nabrał.

— Takeś chciał! — odparła przez zęby.

— Cicho! — syknął rozdrażniony. — Com chciał, to i zrobię i na twój upór znajdę lekarstwo! Tymczasem zbierz moje rzeczy — i jazda na kolej.

Jak automat spełniła rozkaz. Przez cały ciąg drogi nie odezwała się do niego ani słowa!

Póki było jasno, wyglądała przez okno i zabawiała dziecko — potem ułożyła je do snu, wtuliła się sama w kąt wagonu, i z oczami utkwionymi w jeden punkt przesiadziała nieruchomo aż do Warszawy.

W parę dni potem Zarębianka krzyknęła radośnie na widok wchodzącej Stankarowej.

— Jesteś! A co? Nie dał paszportu?

— Zabrał mnie!

— No, to i dobrze. Biedy już cierpieć nie będziesz — bo okrutnie sławny się zrobił. Kurierki są pełne jego pochwał. Mieszka jak milioner. Ostatecznie, co robić — musisz się go trzymać.

Stankarowa milczała.

— Jakże? Pogodziliście się? — badała Zarębianka.

— Wczoraj mnie uderzył! — ponuro odpowiedziała.

— Bił! Za co?

— Żebym go kochała.

Zarębianka oniemiała na chwilę z wrażenia.

— Jezus Maria! Jakże to być może! — szepnęła. Stankarowa jakimś drewnianym głosem zaczęła mówić:

— Naprzód powiedział, że tam w Grodnie się ukryła, aby mieć kochanków, potem nas tu przywiózł, i zaraz nazajutrz ulokował dziecko w freblowskiej szkółce — na cały dzień. Mnie kazał się ustroić i bawić jego gości. Zeszło się kilkunastu mężczyzn, podpiłi, prawili mi głupstwa, i tak się zachowywali, że wyszła z pokoju. Na to — on do mnie wpadł, kazał wrócić i gości przeprosić. Jeden z panów wyciągnął go i ujął się za mną. Ten jeden był trzeźwy.

Urwała, pasowała się z sobą, wreszcie ciszej skończyła:

— A potem przyszedł pijany, wściekły, lżył mnie, a wreszcie — bił!

Zarębiance krew uderzyła do twarzy.

— Idź do sądu po ratunek. Przecież na to musi być jakieś prawo, obrona. Niech go do kryminału wsadzą.

Stankarowa potrząsnęła głową.

— Na sakrament jest ucieczką tylko śmierć.

— Gadanie! Ludzie się przecie rozwodzą.

— Za obopólną zgodą, a on się nie zgodzi.

— No, więc co będzie?

— Galery — zanim śmierć nie przyjdzie.

— To nie może być! Napisz do stryja!

— Stryj mnie wykłął i wypędził — słusznie — bom była niewdzięczna i szalona. Zresztą — choćby się i zlitował nade mną i darował — jaki ratunek dać może! On mąż — pan, za nim prawo boskie i ludzkie, za nim opinia, za nim siła. Byłam dziś po radę i pomoc w kościele, u spowiedzi — i nie otrzymałam rozgrzeszenia. Ksiądz mi kazał męża kochać i być mu uległą. Mężatka nie ma człowieczeństwa. Prawda: przysięgam wiarę, miłość, posłuszeństwo, nie dotrzymuję przysięgi — nie ma dla mnie przebaczenia. Będę potępioną, bo nienawidzę i żoną być nie chcę! Takie

jest prawo!

Zarębianka sumowała. Jej energiczna natura nie znosiła próżnych narzekań — szukała rady i sposobu zwalczenia złej doli. Nie starała się słowami pocieszać, ale już brała za kapelusze i okrycie.

— Pani wychodzi? — spytała Stankarowa.

— A coż! Mamy lamentować na próżno. Pójdę spytać kogoś rozumniejszego w kwestiach prawa i będę wiedziała, jak rzeczy stoją. Przyjdź jutro, to coś stanowczego zdecydujemy.

1, nie tracąc czasu, poszła do znajomego adwokata. Zastała go szczęściem w domu i zaraz zagaiła sprawę:

— Proszę pana, czy to łatwo dostać rozwód?

— To zależy. Jeśli kto nie żałuje pieniędzy, a są dobre punkty — to w rok może dostać. Kogóż to pani rozwodzi?

— dodał, śmiejąc się.

— Jeżeli mąż żonę bije? Katuje? — pytała żywo.

— O tym się nie mówi! A dzieci nie ma?

— Jest jedno.

— To źle. A na utrzymanie daje?

— Daje.

— Zdrow na ciele i umyśle?

— Zdrow.

— No, to z jakiej racji ma być rozwód?

— Przecie panu mówię, że ją bije?

— Są na to świadkowie? Za co ją bije?

— Jak to, za co! Więc za co bić wolno, a za co nie?

Adwokat śmiał się z jej zaperzenia.

— A zna pani rusińskie przysłowie, że żonę trzeba „lubić jak duszę, a trząść jak gruszę”. Zresztą to pastwienie i katowanie to figura retoryczna. To jak strachy, wszyscy o tym mówią, ale nikt tego nie widział. Ja rozumiem, o co

rzecz chodzi — ta protegowana pani, jakżeby to wyrazić, chciałyby zmienić męża i chciałyby to uczynić lojalnie — aktualny posiadacz temu nierad — no, i ma zapewne rację. Otóż najprostszy, najmniej kosztowny sposób — niech przyjmie protestantyzm i sprawa pójdzie jak po maśle.

Zarębianka porwała się oburzona.

— Ja pana proszę o radę poważną, a pan odpowiada ubliżającymi żartami. Ja nie proteguję jawno grzesznicy i te się bez opieki waszych statutów obchodzą. Żegnaj pana!

I wyszła, trzęsąc się z gniewu.

Nie dała jednak tak łatwo za wygraną — poszła do znajomego księdza, sławnego z cnoty i rozumu. Temu opowiedziała fakty szczegółowo.

— Proszę księdza dziekana, przyszedłam zasięgnąć światłej rady w delikatnej sprawie. Znajoma moja wyszła za mąż, mając lat ośmnaście. Mąż jej stracił cały fundusz, źle ją traktował, wreszcie porzucił bez chleba z małym dzieckiem i sam w świat poszedł. Kobieta pracowała uczciwie, wyżywiła siebie i dziecko, bez skazy żyła i cienia grzechu, tylko znienawidziła go.

Ksiądz się uśmiechnął.

— Nie możesz tedy powiedzieć, że była bez cienia grzechu, bo nienawiść jest ciężkim, niechrześcijańskim uczuciem.

— Alboż on nie zawinił względem niej, nie zasłużył na to uczucie?

— To kwestia jego sumienia, a nie jej. On za swe winy przed Bogiem odpowie, ona za swoje. Może cierpieć, a powinna wybaczyć i spełniać swe obowiązki — bez względu na to, czy on je spełnia.

— Dlaczegoż jedna strona ma wszystko cierpieć i znosić, a druga! nic?

— A dlaczego jedna strona ma być zła dlatego, że druga złą jest. Toć byśmy tak rezonując, zeszli do stanu zwierząt. Zresztą szczytnym powołaniem kobiety jest cierpienie, cichość i dobroć. W tym jej triumf i zwycięstwo, i przewaga moralna. I

Zarębianka poczerwieniała, ale ją mitygowała powaga duchownego.

Po chwili on spytał:

— I ten mąż ją zupełnie opuścił, a ona zapewne chciałaby odzyskać swobodę — może zawrzeć inne związki?

Zawsze ta sama insynuacja. Zarębianka się zachnęła:

— Ależ nie! Ona o niczym podobnym nie myśli. To czysta, prosta dusza. Tylko — mąż wrócił po roku i na powrót ją do domu chciał zabrać.

— Powinna była wrócić. On tym czynem się zrehabilitował, uznał swą winę i naprawił.

— Ona od niego uciekła, nie mogąc go znieść.

— Zgrzeszyła ciężko! — mruknął ksiądz.

— Uciekła i pracowała uczciwie, aż on ją odszukał i gwałtem zabrał do siebie. Teraz ją katuje i pastwi się — zmusza do miłości.

— Sama sobie winna. Nie chwalebę go, ale jej winy są ciężkie. Ona go popycha do złego — ona mu psuje charakter, na jej sumieniu będzie, jeśli zrażony jej postępowaniem i buntem, zacznie uprawiać rozpustę. A przykład złego pożycia jak zgubnie wpłynie na dziecko — czy ona się nad tym nie zastanawia? Źle jest, winna jest, grzeszna jest — na pochyłości zatracenia. Ty, moja duszo, zamiast się nad nią litować, do opamiętania ją doprowadź. Zastanów się, co będzie na świecie, gdy sakrament małżeństwa będzie tak sponiewierany, a szal będzie ludźmi

rządzić. Ten mąż ma świętą rację, każdy moralny człowiek jego stronę będzie trzymać.

Zarębianka drżała z hamowanego oburzenia — nareszcie nie wytrzymała i wybuchnęła:

— Po tym, co z tego sakramentu zrobili mężczyźni, nie ma co mówić o jego szanowaniu. Kobieta ta jest nieszczęśliwą i życiem to przypłaci z pewnością. Ale ja w Boga wierzę — i wierzę, że tam, na sądzie, nie będzie potępiona.

— Moja duszo, rezonujesz po kobiecemu — upominał spokojnie ksiądz.

— A dziekan dobrodziej po męsku! — odparła żywo. — I dlatego, że prawa wszelkie układają mężczyźni, kobietom niewolnicami tylko być tu na ziemi, albo nie żyć, gdy się która z człowieczą, całą duszą urodzi i w zwykły tor pójdzie. Przepraszam księdza dziekana, żem go utrudziła.

I wyszła jeszcze bardziej rozgoryczona i z cięższym zawodem jak od adwokata.

Wróciwszy do domu, wzięła pióro i napisała zamasyście:

Szanowny Panie!

„Poznałam bratanicę Pana w ciężkich chwilach, gdy ją przed półtora rokiem mąż tu zostawił z małym dzieckiem, widziałam męki i mozoly, wzorową pracę, i pokochałam jak córkę. Wtedy wystarczyła jej moja opieka i pomoc zacnych ludzi. Teraz udaję się do Pana o ratunek. Mąż jej wrócił i, odszukawszy ją w ukryciu, gdzie się przed nim schroniła, zabrał do siebie. Pożycie ich jest piekielne i ona nie przeżyje tych udręczeń, które teraz znosi. Ponieważ Pan był jej ojcem, proszę zająć się jej losem — i, jeśli można —

poratować.”

Podpisała się i wysłała natychmiast list do Ługów.

Wtedy odetchnęła, widząc, że na razie nic więcej uczynić nie było można. Nazajutrz oczekiwała na próżno Stankarowej — nie pokazała się, ani dała wiedzieć o sobie cały tydzień. Tedy Zarębianka, nie mogąc pokonać niepokoju, poszła sama na Marszałkowską — do mieszkania Stankara.

Ale przystęp nie był tak łatwy, jak się jej zdawało. Otworzył jej lokaj z miną beczelną i zuchwałą i spytał z góry, czego potrzebuje.

— Przyszłam do pani — odparła niecierpliwie.

— Do której pani, do tej dawnej, czy do nowej? — zagadnął z cynicznym uśmiechem.

— Znam jedną, żonę pana Stankara.

— Ach, tę dawną! Słaba, nie przyjmuje nikogo.

— Właśnie, że słaba, chcę ją odwiedzić. Mnie przyjmie z pewnością.

Ruszył ramionami.

— Znam jeden rozkaz bez wyjątków. Pani nie przyjmuje nikogo. I drzwi jej przed nosem zatrzasnął.

Posłyszała za sobą grę na fortepianie i wesoły śpiewy. Że jej na tym miejscu szlag nie ubił, było cudem. Zeszła na dół i odszukała stróża.

— Stróżu, powiedzcie mi, co się tam dzieje u państwa Stankarów?

Cerber wyjął fajkę z ust, splunął i odpowiedział w pół sennie:

— Gaz się wczora był zepsował, ale już sporządzili.

— Ale żona jego naprawdę słaba? Widzieliście ją w tych dniach?

— Widzieć tom jej nie widział, bo mnie nie wołali. Żadnych brewerii nie wyprawia. Pono spokojna wariatka, tylko na ulice jej nie trza puszczać.

— Bójdzie się Boga, toć ona nie wariatka!

— Ha no, kiedy mąż tak gada, to musi lepiej znać, jak obcy.

— Człowieku, toż to kryminał! Ona zdrowa, ja ją znam. On ją umyślnie więzi i takie kłamstwa rozpuszcza.

— Iii — nie może być. Onaż już raz od niego uciekała, ledwie ją odszukał i przywiózł. Litość ma, że jej do Tworek nie odesła. Podobno precz uciekać chce. Nawet ci wziął jakąś krewną, co by mu jej pilnować pomagała.

Zarębianka załamała ręce w bezsilnej rozpacz.

— A nie można by jej zobaczyć? Przez kuchnię dostać się nie można?

— Nikogo nie puszczej! Doktor tak kazał.

— Który doktor?

— Nie wiem. Mnie to wszystko opowiadał ich lokaj. Ja tam nie chodzę.

— Jest kucharka?

— Nie ma. Lokaj przynosi obiad z restauracji.

— A dziecko?

— Co dzień ją posłaniec, co u nas mieszka, prowadzi do freblówek, a potem wieczorem odprowadza. Ma ci ten lokator galanty kłopot i koszt. Mają też i państwa swoje biedy, na równi z biednym narodem.

Zarębianka, znękana, dowiedziała się tylko, gdzie odprowadzają Jankę — i tam wprost poszła. Maleństwo bawiło się niefrasobliwie i ledwie ją poznało.

— Czy twoja mamusia zdrowa?

— Zdrowa.

— Cóż robi w domu?

— Szyje dla Janki sukienki.

— A tatusia kochasz? Dobry?

— Kocham! Bardzo dobry — daje Jance karmelki i obiecał mnie zawieźć do ogrodu, jak będę grzeczna.

— Ucałujże mamusię ode mnie i oddaj jej ten papier. Ale samej mamusi, nikomu innemu. Zapamiętasz samej mamusi! — powtórzyła. — O tu, do kieszonki w futerku kładę ci papier. Nie zapomnij go mamusi oddać.

Ale dziecko wróciło do zabawy i wnet zapomniało o poleceniu.

Zarębianka wyszła, słabą mając nadzieję na takiego posła. Ale na razie nic więcej uczynić nie mogła.

Dnie mijały bez żadnej od Łużyckiego wieści.

Nie mogąc żyć w beczynności i niepokoju, ruszyła pewnego popołudnia Zarębianka w Aleje do starej hrabiny. Znalazła ją obłożnie chorą — nie przyjmowała nikogo.

Gdy tak stała w sieni, zgnębiona tą wieścią, wyszedł hrabia Roman, poznał ją, i przywitał.

— Babka z tego nie wyjdzie! — odparł na jej pytanie. — Żadna właściwie choroba — nie cierpi — gaśnie tylko jak lampa. Zupełnie jest przytomna, przygotowana do śmierci i spokojnie jej oczekuje. Wspominała wczoraj panią — i rada ujrzy. Mówiła, że ma jakieś zlecenia. Proszę panią na górę.

Poszli tedy i po chwili wprowadzono Zarębiankę do sypialni.

— Staruszka zmalala, wychudła, była cieniem tylko, oczy jedne żyły jeszcze.

Odprawiła ruchem ręki dozorczynię, która jej głośno czytała modlitwy, i rzekła cicho:

— Dobrze, żeś przyszła. Chciałam po ciebie posyłać. Ty znasz mnóstwo biedy — na twoje ręce zostawię dziesięć

tysięcy rubli — rozdaj wedle swego wyboru, po sutenerach i strychach. W ten sposób dłużej istnieć będę. A chciałam też od ciebie się dowiedzieć, co się stało z tą biedną Stankarową. W testamencie dla niej legat zamieściłam, ale rada bym posłyszeć, że szczęśliwa. Bardzo była dla mnie dobra, i czysta to dusza.

— Mąż ją gwałtem zabrał do siebie i teraz więzi, ogłosiwszy za wariatkę. Pisałam do jej stryja o ratunek, ale myślę, że to już będzie za późno.

— To bardzo smutne. Romku, czy on ma prawo tak czynić? Nie może kto za nią się ująć?

— Nie babciu. Między małżeństwem trudno! Ona powinna skargę podać, zażądać separacji — ale i w takim razie sprawa bardzo rozwlekła i niepewna.

Staruszka umilkła, patrząc w obraz święty, wiszący nad łóżkiem.

— Jeśli Bóg da — ja ją poratuję! — wyszeptała.

Zapadła wyczerpana w półsen, półodrętwienie, uczyniła się cisza. Hrabia Roman pochylił się nad nią, zawołał dozorczyńnię — Zarębianka się usunęła.

— Pani raczy na mnie chwilę zaczekać — szepnął do niej hrabia. Zaczekała w salonie, przygnębiona pustką i smutkiem tych magnackich apartamentów. Hrabia wszedł cicho — dywany głużyły kroki.

— W tej chwili wystawię pani czek na przeznaczoną przez babkę sumę! — rzekł.

— Godnym pan hrabia jest jej spadkobiercą. Potrzebujący nie uczują materialnie straty tej świętej!

— Tak. Zabezpieczę byt ich i nic się pod tym względem nie zmieni. Co do pani Stankarowej — będzie tu u mnie jutro nadleśny z Orlina — jej znajomy. Przez niego będzie można zawiadomić jej rodzinę.

— Będzie Brzezicki! Ano, to chwała Bogu — ucieszyła się. — Dziękuję panu hrabiemu za czek — w imieniu tych nędzarzy — i żegnam. Jeślibym się zdała do dozoru w nocy — proszę przysłać!

Poszła, pełna otuchy, rada z pieniędzy dla biednych, rozczulona takim końcem pogodnym i świętym staruszki — magnatki.

— Obiecała pomóc! Ona u Boga wyjedna, co zechce! — myślała.

Na drugi dzień zjawił się Brzezicki — zgnębiony, ponury i bezradny.

— Poślijcie jej strychniny, jeśli nie chcecie ratować! — wybuchnęła Zarębianka.

— Chcemy — cóż z tego! — ruszył apatycznie ramionami.

— To ją wykradnijcie od tego kata! Cóż ten stryj? Nie dba o nią?

— Stryj lada dzień będzie!

— Lada dzień, lada dzień! — powtórzyła. — A ona lada dzień naprawdę dostanie pomieszczenia zmysłów.

Brzezicki ścisnął czoło rękami i głucho stęknął.

— Ja nic uczynić nie mogę! — rzekł. — Jam całą sprawę popsuł swoim wmieszaniem.

— Ona nie pisała do stryja? Potrzęsnał głową.

Umilkli na chwilę.

— Nasza hrabina umarła! — rzekł smutno. — Hrabia mi rozkazał natychmiast do Orlina wracać — przygotować pogrzeb. Pojutrze ją stąd wywiozą. Chciałem tutaj na Łużyckiego czekać — i tego nie mogę.

Był tak apatyczny i zniechęcony, że Zarębianka popatrzyła na niego pogardliwie, coś zamruczała niezbyt pochlebnego i wyszła, zostawiając go z siostrą i Stasiem.

— Nikt nie powie, że ją w biedzie opuściła. Co mogę więcej uczynić! Niech ją Bóg ratuje!

I zajęła się wielką sprawą: rozporządzeniem legowanych przez hrabinę pieniędzy.

VI

Mrok zapadł. Stankarowa przestała szyc — złożyła ręce z robotą na kolanach, zapatrzyła się apatycznie w okno. Widać było przez nie żółtą ścianę sąsiedniej kamienicy — zresztą nic, ani ziemi, ani nieba. Z ulicy dolatywał turkot dorożek, dzwonki tramwajów — bliżej w otchłani podwórka wołanie handlarzy.

Twarz kobiety była blada, o rysach chorobliwie zaostrzonych, z wyrazem zaciętości w oczach.

Wtem zegar w sąsiednim pokoju wybił godzinę — drgnęła, twarz jej się rozjaśniła, złożyła robotę i zapaliła lampę. O tej godzinie Janka wracała ze szkoły.

Jakoż po chwili dziecko wpadło wesołe, zdrowe, prosto do matki kolan.

— Mamusiu, jeść!

Stankarowa zakrzętała się. Nie było kucharki, odprawił ją Stankar, w tydzień po powrocie żony.

— Możesz ją sama zastąpić — na nic lepszego się nie zdałaś! — zdecydował. — Siedz w kuchni, to jedyne stosowne dla ciebie miejsce.

Z początku chodziła sama co rano po produkty na targ — potem, gdy ją ogłosił wariatką i zabronił wychodzić — załatwiał to lokaj. Gotowała tylko dla dziecka, gdyż sama żyła tylko herbatą. Stankar jadł na mieście, i od pewnego czasu rzadko bywał w domu; żony nie widywał — gości swoich przyjmował w pracowni.

Po chwili dziecko już jadło i z niefrasobliwością ptaka świergotało, opowiadając matce zdarzenia, troski i radości spędzonego dnia.

Kobieta słuchała z zajęciem, uśmiechając się i rozpytujac. Była to jedyna chwila, w której wychodziła z kamiennej martwoty.

Nagle drgnęła. Usłyszała kroki w dalszych pokojach, zwróciła przerażone oczy na drzwi. Ale nie Stankar wszedł, tylko lokaj. Odwróciła głowę. Sługa ten był jej dozorcą i traktował stosownie do swej funkcji. Ale tym razem zupełnie innym tonem, cicho przemówił:

— Jest tu pan, co się chce widzieć z panią. Wejdzie przez kuchnię. Klucza ja przypadkiem zapomniałem we drzwiach.

— Co za pan? Ja żadnych wizyt nie przyjmuję — zawołała oburzona.

— Nie krzycz — to ja! Rozległ się za jej plecami dawno niesłyszany, a tak znany głos starego Łużyckiego.

— Ojciec! — rzuciła się ku niemu, niczego niepomna, nietrwożna, niezawstydzona, tylko beżmiernie szczęśliwa i radosna.

Objęła go za szyję — tuliła się do jego piersi, wśród łkań, powtarzając:

— Ojciec, tatku — mój tatku!

Długą chwilę tak trwali. Lokaj zniknął, Janka przestraszona widokiem obcego, siedziała cichutko, wreszcie Łużycki odsunął ją od siebie i bacznie się przyjrzał:

— Do czegoś ty podobna? Cień, szkielet! Dlaczegoś nie pisała?

— Nie śmiałam. Moja wina, moja pokuta!

— No, nie ma o czym mówić! Przyjechałem po ciebie, to jest po was!

Spojrzał na dziecko i dodał:

— Ja już jej wychowywać nie będę. Dobrze, zem dożył,

by ciebie z tego kamiennego więzienia wydobywać. Zostaniesz po mnie w Ługach. Chowaj dziecko inaczej — ja nie umiałem.

— Tatku, to ja, tylko ja byłam winna!

— No, basta. I ja nie bez winy. Przyjechałem po was.

— On nie puści! — szepnęła.

— Rozmówię się z nim. A nie pomoże — to cię w każdym razie zabiorę.

— Gwałtem?

— Po co gwałtem. Workiem po zębach! — odparł pogardliwie. — Przekupić wszystko można! Chciałem cię dzisiaj widzieć, i oto jestem — kupiłem fagasa. Jednego Boga i przyrody nie przekupisz — a zresztą cały świat.

— On wściekły, nie zaczepiajcie go, tatku — rzekła, trwożnie na drzwi patrząc.

— Nie bój się, cały zostanę! Jutro się rozmówię. Chciałem cię zobaczyć i uprzedzić. Ługi już czekają na was.

— Mój Boże, i ja tam wrócę. Chyba nie, chyba nie! Do raję wrócić — z piekła!

— Toć właśnie bieda, że raj trzeba stracić, żeby ocenić!

W tej chwili wpadł przerażony służący — i szepnął: — Pan przyszedł!

Tola zadrżała i pobladła, a stary odparł spokojnie:

— To się dobrze składa. Powiedz mu, że ojciec pani tu jest i chciałby zaraz z nim się widzieć. Im prędzej — tym lepiej!

Spojrzał na wahającego się lokaja, sięgnął do kieszeni i podał mu asygnatę.

— Masz kordiał na odwagę!

Lokaj pieniądze porwał, zgiął się do ziemi w ukłonie, i wyszedł. Łużycki usiadł i najspokojniej zapalił cygaro.

— Czego się trzęsiesz? Tak cię odmienili! To niczego się nie bałaś tam — u nas! — upominał tulącą się do niego kobietę.

— Tam nie było ludzi, tatku!

— Racja! To najgorsze — odparł.

W głębi mieszkania słyhać było gniewny głos, potem kroki coraz bliżej, wreszcie na progu stanął Stankar. Łużycki na pół się podniósł i głową skłonił.

— Witam pana — rzekł spokojnie.

Stankar był wściekły, ale się hamował.

— Nie spodziewałem się mieć pana kiedykolwiek u siebie! — odparł.

— Przecie, po mojej propozycji, którą panu Brzezicki zakomunikował, oczekiwałem odpowiedzi, a wreszcie po nią sam przybyłem, nie mogąc się doczekać!

— Propozycja była tak dziwaczna, że wcale o niej na serio nie pomyślał.

— Dlaczego dziwaczna? Sprzykrzyła się panu żona, ciężą obowiązki, kobieta ta jest panu kulą u nogi w artystycznej karierze — chcę pana od tego uwolnić. Możemy się porozumieć, sądzę.

— Pan się tak na rzecz zapatruje, a ja wcale inaczej. Kobieta ta zabiła we mnie miłość, zożydziła mi dom, zatrula mi życie. Teraz zbuntowana i zdemoralizowana swobodą, stawia się w roli ofiary, piekło mi zrobiła w domu, wystawia mnie na śmieszność i upokorzenie. Chce się mnie pozbyć, bo jej mąż niepotrzebny — ma pocieszycieli. Otóż ja jej pokażę, kto jej pan i złamię ją, zniszczę, ale uwolnić — nie!

Łużycki zmarszczył brwi i czoło mu krwią nabiegło. Tola wstała i wyprowadziła dziecko z pokoju. Stankar sapał.

— To, co pan mówi, jest tak nikczemne, że chyba pan sobie z tych słów nie zdaje sprawy! — wybuchnął stary. — Kobieta kochała pana nade wszystko. Dla pana porzuciła i podeptała wszelkie uczucia. Jakżeś musiał ją traktować, kiedyś zabił tę miłość? A teraz co zamierzasz? Jużes ją ogłosił obłąkaną — i zwariuje na pewno z czasem, ale się nie ugnie. Straciłeś ją. Chcesz, żeby umarła?

— Chcę, żeby się nikt do moich rodzinnych spraw nie wtrącał. Jestem mężem i panem.

— Ale i ona nie jest kupioną na targu niewolnicą i oprócz pana i męża — ma mnie ojca — i ja jej ani zabić, ani zmysłów pozbawić nie dam. Oprócz praw, które są za panem, jest szczęściem jeszcze opinia. Na jej sąd ja oddam naszą sprawę.

— Zrobi pan, co zechce. Zapowiadam tylko panu, że w takim razie i ja tej awanturnicy nie oszczędzę.

Na te ostatnie słowa weszła Tola. Stała w progu blada, ale widząc, że się Łużycki porwał z krzesła, rzuciła się ku niemu.

— Tatku, on jeszcze i ojca zabije — krzyknęła.

— Mylisz się. W swoim domu muszę i takich znosić! Zresztą jeśli cię dotychczas nie zabił, to dowód mego charakteru. Czy ma pan mi jeszcze co więcej do powiedzenia?

— Nic więcej nadto, że żądam, by pan tę nieszczęsną uwolnił dobrowolnie — jeśli pan nie chce skandalu. Ja jej tu na pastwienie nie zostawię!

— A ja panu zapowiadam, że ją mieć chcę i będę — póki mi się podoba, i wymawiam sobie wtrącanie się do moich spraw domowych.

— A zatem żegnaj pana! Domowe pańskie sprawy pozna cały świat!

Ucałował Tolę i wyszedł. Stankar za nim zarygłował drzwi od kuchni.

— A teraz my się rozmówimy! — rzekł, wracając i stając nad żoną.

Zrozumiała, że ją czeka coś okropnego, ale wobec niebezpieczeństwa lęk ją odleciał. Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

— Rozmówić się — nie — odparła — możesz mówić, ja nie odpowiem. Tylko mnie nie rusz, bo będzie — śmierć!

— Co! Przyniósł ci na mnie sztylet czy rewolwer?

— Na ciebie — nie — broni żadnej nie mam, ale jeśli rękę podniesiesz — na bruk się rzucę! Mam dosyć takiego życia, a dziecku może lepiej będzie, gdy mnie nie stanie. Wolę nie żyć, niż oszaleć! Idź stąd.

— Ty kto jesteś, żebyś do mnie tak śmiała mówić? Grozisz mi ty! Ja ci zaraz pokażę, co sobie robię z twoich gróźb! Ja ciebie!...

Porwał ją za ramiona brutalnie, ale w tej chwili jakaś ręka odciągnęła go. Obejrzał się wściekły, Tola odskoczyła w kąt.

Przed szaleńcem stał jego starszy kolega i przyjaciel, profesor Józef i rzekł groźnie:

— Chcesz bić kobietę? Pijany chyba jesteś i to ciebie nie tłumaczy. Wyjdź stąd!

Wziął go za ramię i wyprowadził osłupiałego. Znaleźli się w pracowni. Stankar rzucił się na kanapę i dyszał.

— Wiesz, że gdyby ludzie dowiedzieli się o tym, żaden porządny człowiek ręki ci nie poda. To haniebnie!

— Ty nie rozumiesz tej sprawy! — bąknął Stankar.

— I nikt nie zrozumie. Rozgłaszasz, że ona obłąkana, więzisz ją, a zastajesz, jak się ty na nią rzucasz, jak szaleniec. Czego chcesz od niej?

— To szatan! To zwyrodniałe, piekielne stworzenie! Co ja cierpię przez nią — to straszne. Żebym nie więził, nie trzymał w grozie — jutro by uciekła — na rozpustę.

— A w ten sposób ją nawracasz? Winszuję. Chcę wierzyć, że i ona winna, ale tyś najwinniejszy. Po coś się żenił? Dla artysty to śmierć. Albo się sprzeniewierza swej sztuce i fantazji, albo unieszczęśliwia Bogu ducha winną istotę. Albo zmarnuje talent, albo za życia ma piekło. Chcesz usłuchać mojej rady. Niech ta kobieta idzie, gdzie chce, bo w takich warunkach nie potrafisz tworzyć — staniesz się w najlepszym razie rzemieślnikiem!

Stankar milczał. Wreszcie ścisnął głowę rękami i szepnął:

— Jak mnie wściekle łeb boli.

— Połóż się, prześpij i zastanów. Szkoda mi twego talentu. Zabijasz go!

Wyszedł. Stankar pozostał na kanapie. Coraz więcej go bolała głowa, ciężyla ołowiem. Służącego wyгнаł, a ten skwapliwie z tego skorzystał. W całym mieszkaniu była tylko Tola.

— Ja chyba będę ciężko chory! — pomyślał z przestraczem. — Trzeba się położyć.

Dźwignął się i przeszedł do sypialni. Czerwone płatki latały mu przed oczami. Z każdą chwilą było mu gorzej. Rzucił się na łóżko i nacisnął machinalnie dzwonek elektryczny. Ale nikt nie przychodził, tedy się zwałkł instynktem zachowawczym wiedziony i poszedł do żony.

Zastał ją jeszcze ubraną — modliła się, klęcząc przy łóżeczku dziecka: Podniosła schyloną twarz i spojrzała na niego zimno.

— Idź, pošlij stróża po doktora. Bardzo mi niedobrze!
— rzekł, mrugając na światło.

Wstała natychmiast; bez słowa zarzuciła na siebie szal i wyszła. Wróciła po chwili i zajrzała do sypialni.

— Stróż poszedł. Połóż się! — rzekła. — Co ci jest?

— Nie wiem. Będę chory. Masz szczęście. Zmarszczyła brwi, chciała się cofnąć, ale się przemogła.

— Pomogę ci. Głowa boli?

— Boli. Obejdę się bez nienawistnej pomocy. Otwórz doktorowi. O więcej cię nie proszę.

Położył się, krzywiąc się z bólu, ona wyszła. Nazajutrz rano Zarębianka otrzymała od niej kartkę: „Mąż zachorował ciężko — doktor boi się tyfusu. Uprzedźcie o tym stryja i zabierzcie dziecko, bo się o nie lękam.”

W godzinę potem Zarębianka i Łużycki już byli. Nikt im wejść już nie bronił. Stankar leżał w gorączce, Toła czuwała nad nim.

— Ładna awantura! — zawołała Zarębianka. — Teraz po sprawiedliwości możesz go zostawić i odjechać z dzieckiem. On tak zrobił wtedy.

Łużycki mocno zafrasowany, mrucał:

— Zarazi ją — sam wyzdrowieje, a ona umrze. Cóż doktor mówi?

— Tyfus! Zabierzcie małą. Będzie ze mną co Bóg zechce.

— Ratuj go, ratuj, jak wyzdrowieje, to ci się odwdzięczy! — dogadywała stara panna.

— Nie ma co mówić. Musi zostać. Przecie go nie może jak psa porzucić. Małą zabiorę, ulokuję ją gdziekolwiek i wrócę ci pomagać. Nabrał się człowiek biedy, tfu!

— Małą ja zabiorę zaraz. O to niech się pan nie troszczy. Ale tu nie zajrzę — nie żebym się lękała, ale że takiego zbója nie widzę dobrej racji ratować. O, ja bym wiedziała co zrobić na twoim miejscu!

Nieprzejednana odeszła, zabrawszy Jankę. Tego samego dnia Stankar stracił przytomność. Tyfus się rozwinął bardzo ciężki. Znajomi i przyjaciele uprzedzeni wstępowali po wieści do stróża, na górę nikt się nie kwapił. Przyszedł tylko profesor Józef i ofiarował się z pomocą. Tola dziękowała, twierdząc, że wystarcza sama z Łużyckim, ale profesor, zabawiwszy parę godzin, przypatrzwszy się im i zapoznawszy, uparł się, że co nocy na parę godzin będzie ich luzował.

Przychodził odtąd akuratnie o pierwszej i zostawał do siódmej. Przemocą prawie wyprawiał Tolę spać, ale przeszkodzić nie mógł, by się nie zrywała co parę godzin, dowiedzieć się, co słyhać. Łużycki ze swej kieszeni opłacał doktorów i lekarstwa, całą kurację, niczym nie zdradzał, że ten człowiek ograbił go ze szczęścia i skarbu żywota, odebrał mu kochanie i pociechę starości.

Oboje pielęgowali chorego, jak najdroższą istotę. A chory ani ich poznawał, ani rozumiał, kto o niego ze śmiercią walczył. Był wciąż nieprzytomny i doktorzy co dzień mieli miny bardziej posępne.

Pewnej nocy profesor Józef przyszedł pewien katastrofy. Zastał jak zwykle Tolę na stanowisku z dozorczynią. Łużycki w sąsiednim pokoju drzemał na kanapie.

Chory wyglądał już na martwego. Grobowa cisza panowała w sypialni.

Przywitał Tolę i spytał szeptem:

— Może pani spocznie?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Popatrzył na chorego, a potem rzekł:

— Dogasanie!

— A może przesilenie? — odparła.

— Pani chyba wierzy w cuda? Niechby wreszcie był jaki

koniec, bo pani nie wytrzyma już długo takiego umęczenia.

— Mocna jestem.

— Ratuje go pani jak szczęście. Wy kobiety bywacie czasami święte za życia.

— Ja nie. Ratuję go i życzę mu życia, zdrowia, bo byłabym podła, inaczej płacąc za złe.

— Jeśli cud się stanie i on się z tego dźwignie, całym życiem i całym uczuciem nie wywdzięczy się pani za taką ofiarność.

Poruszyła brwiami, jakby wątpiła o takim skutku, ale odparła powściągliwie:

— Niechby żył. Potrząsnął głową.

— To niemożliwe. Niech się pani przygotuje na rychły koniec. Niedaleko przed panią — swoboda. Ten szalenciec przegrał los i życie.

Zapanowało milczenie. Dyszenie chorego ścichło. Tola wstała i zbliżyła się do niego. Chwilę pochylona badała jego rysy, nasłuchiwała oddechu, potem wyprostowała się i wróciła do profesora.

— Zasnął. Doktor mówił, że to będzie życie.

Nie było radości w jej głosie, był spokój. Profesor badał jej twarz długą chwilę.

— Jak pani to mówi! Widziałem pani trud i poświęcenie przez tyle dni i nocy. A teraz nie rozumiem, po co go pani śmierci wydzierają. Pani nie dba o niego — nic — wcale.

— Pan myślał, że go ocalić chciała, żeby go dla siebie odzyskać, zdobyć, zmienić. To według pana byłoby świętym i chwalebnym. Ale ja nie święta. Doglądałam go, ratuję — niech żyje — nie odstąpię go, dopóki bezsilny i na mojej łasce. Ale gdy wyzdrowieje — ani go zdobywać nie będę, ani starać odzyskać, ani zmienić. Może być dobrym lub złym, wdzięcznym lub niewdzięcznym. Dla

mnie on istnieć przestał.

— Ej, byle wyzdrowiał, już ja pani zaręczam, że wasze pożycie się zmieni. Już ja go objaśnię, co za skarb posiada. Wróci pani szczęście.

— Moje szczęście! — uśmiechnęła się gorzko. — Jego może pan przekona i opamięta — ale mnie już nic i nikt.

— O! to pani pogańsko mściwa! Nie wierzę! Wszystkie urazy zagoi wyznanie winy i pokora.

— Wszystkie, oprócz sponiewieranej człowieczej godności — odparła tak twardo, że aż zdumiał i rzekł nieśmiało:

— Kobieta panuje i zwycięża dobrocią.

— Nie znam takich praw i warunków szczególnych dla kobiet. Nie chowałam się wśród ludzi i świata. Chował mnie stryj w pustelni i uczył tego, co sam za słuszne uważał. Nie mówił mi, bądź kobietą i daj się deptać — ale mówił: bądź człowiekiem — miej honor i bądź prawą. Dlatego wśród ludzi i świata nie ma dla mnie miejsca — bo obelg znosić nie umiem. Ale żem lekkomyślnie, dobrowolnie poddała się pod ludzkie prawa — znosić je będę.

— Pani życie chyba rachuje na godziny?

— O nie — na wieki, i stanie mi na nie sił!

Podeszła do chorego, rozmówiła się z dozorczynią i wyszła z pokoju.

— Ha — tej nie przejedna! — pomyślał profesor Józef, układając się wygodnie na fotelu do dłuższego czuwania.

Nazajutrz doktorzy stwierdzili szczęśliwe przesilenie. Należało tylko chorego pilnować, wzmacniać, a mógł być ocalony.

Rozpoznawał już otaczających, ale był tak słaby, że mówić i poruszyć się prawie nie mógł. Łużycki wyniósł się

do hotelu, nie chcąc mu się pokazywać. Tola zmieniała się co godzin parę z dozorczynią, bo praca stała się bodaj cięższą, by dogodzić grymasom rekonwalescenta.

Zaraz gdy odzyskał mowę, spytał żony:

— Długom chorowałeś?

— Trzy tygodnie.

— I tyś nie uciekła? Dziękuję ci. Któż tu jeszcze mnie odwiedzał?

— Profesor Józef.

— A gdzie mała?

— Odesłałam ją z domu. Tyfus miałeś.

— A tyś się nie bała zarazić?

— Nie! Zresztą nie myślałam o tym!

— Nigdy nie myślał, że cię zobaczę tutaj. Lepsza jesteś, jakem sądził.

Nic nie odpowiedziała; zwróciła się do wchodzącej dozorczyńni, tłumaczyła jej, co chory ma jeść i kiedy.

— Odchodzisz? — spytał zaniepokojony.

— Spocznę — trochę. Profesor obiecał przyjść. Przeprowadził ją oczami do drzwi, potem niechętnie popatrzył na dozorczynię i odwrócił się do ściany.

Profesor zastał go śpiącym, gdy się przebudził, oczami przeszedł pokój, jakby kogoś szukał.

— Cóż, wykiłeś się od śmierci? Jakże ci?

— Dobrze, czuję życie wracające. Dziękuję ci za opiekę.

— Żonie dziękuj. Gdyby nie ona, dawno byś był już na Powązkach.

— Gdzie ona?

— Namówilem ją, żeby się trochę przeszła — łyknęła powietrza. Zmieniła ubranie i poszła o małą się dowiedzieć. Ty już niańki nie potrzebujesz.

Stankar milczał chwilę, wreszcie rzekł:

— I tak troskliwie mnie doglądała, powiadasz?

— Jakby od twego jej własne życie zależało. Jeśli o tym kiedykolwiek w życiu zapomnisz, to powiem, żeś kanalia.

— Musiała ta choroba diabła kosztować! Pożyczyłeś jej pieniędzy?

— Płacił za wszystko Łużycki i nie patrzył na wydatki.

— Stankar poczerwieniał i niespokojnie się poruszył.

— Gdzie ona bawi tak długo? — szepnął.

— Profesor Józef się roześmiał.

— Tak ci do niej tęskno! Uzbrój się w cierpliwość. Musi trochę odpocząć i naprawdę ty już tak bezustannych starań nie potrzebujesz.

— Chciałbym jej podziękować.

— Będzie czas. Teraz jedz i śpij! Ja ci opowiem nowiny ostatnich czasów. Wiesz, że stara hrabina umarła?

— Co mnie to może obchodzić!

— Przecie, bo zostawiła legat dla twojej żony. Wzywano ją do reagenta, ale nie poszła, boś był chory. Zapisała jej pięć tysięcy rubli. Onegdaj sam hrabia Roman tu był i osobiście pieniądze doręczył.

— Wzięła je?

— Wzięła i zaraz odesłała na szpitalik. Ale wiesz, co ten hrabia Roman zrobił? Zrzekł się fortuny na rzecz stryjecznego brata i wyjechał gdzieś w świat. O niczym innym nie mówią. Ubogi kuzynek dostał miliony, a ten ma podobno za granicą do klasztoru wstąpić.

— I był tutaj — u Toli?

— Był. Rozmawiali chwilę. Opowiadała mi, że nigdy się nie czuł swobodnym i szczęśliwym, jak pozbywszy się fortuny.

— Skądże ten legat i ta znajomość?

— Ona była przecie lektorką u hrabiny.

— Ach, prawda! Ale gdzie ona siedzi tyle czasu? Ja tej dozorczyńni znieść nie mogę — dodał ciszej.

I tak co parę minut dopytywał się o żonę, jak grymaśne dziecko. Nareszcie dzwonek się ozwał w przedpokoju, profesor wstał.

— Już cię pożegnam, stary. Postawiliśmy cię na nogi — teraz się szanuj i nie rób głupstw. Ja dziś wyjeżdżam do Paryża na miesiąc. Pamiętaj, żebym cię z powrotem znalazł zdrowym i szczęśliwym.

Uścisnęli sobie dłonie i profesor wyszedł. Spotkał Tołę w przedpokoju.

— Nasz chory tak się o panią upominał, że omal się nie zerwał iść na spotkanie.

— Zapewne posądzał, że byłam na schadzce — odparła gorzko.

— Broń Boże! Niechże pani mi uwierzy, że wychorowałem złość ze siebie. On się w pani powtórnie rozkocha. Proszę nie być okrutną i uwierzyć, że będzie innym. Odjeżdżam dzisiaj, jestem wam obojgu serdecznie życzliwy. W pani rękę teraz wasze szczęście. Proszę je tylko utrzymać! Z duszy wam tego życzę.

Twarz jej nie zmieniła twardego wyrazu.

— Żegnam pana, dziękuję za pomoc. Ale co do szczęścia, to jest ono zwykle fikcją w rzeczywistości, a osobiście dla każdego jest tym, co on w danej chwili za takowe uważa. Trudno dla drugich pisać recepty!

Podala mu rękę i dodała:

— Dzwoni — idę na służbę!

Profesor, schodząc ze schodów, markotnie głową kręcił:

— Ciekawym, co zastanę za powrotem? Kosa i kamień. Kto kogo zwycięży? Czy się porozumieją? — czy się ostatecznie rozejdą. No, no, jeśli by tak wszystkim

kobietom strzeliło do głowy być ludźmi — musielibyśmy się diabło zmienić. Dzięki Bogu, że dotychczas one same takie wśród siebie wyjątki nazywają wariatkami. Można jeszcze żyć po dawnemu!

VII

Gdy profesor Józef wrócił z Paryża, była już późna jesień.

Odwiedził zaraz paru znajomych i spytał, co słyhać o Stankarze.

— Jak zwykle, drze się z żoną — nawet malować przestał, tak go tamto absorbuje — odpowiedziano.

Zaniepokojony przyjaciel zaraz nazajutrz ich odwiedził.

Zastał Stankara w pracowni, którą czuć było pustką i zaniedbaniem. Leżał na kanapie i coś pisał na skrawkach papieru, których masę podartych leżało na ziemi. Zmieszał się na widok kolegi i począł sprzątać gorączkowo.

— Co to? Wiersze piszesz. Zmieniłeś patronkę! — roześmiał się profesor.

— Ja nie — ot tak z nudów gryzmołę.

— Z nudów? Cóż to, znajomi twoi wymarli? A Klara? A Maniusia? Czemuż nie malujesz?

— Nie mam do niczego ochoty. Nie mogę się zebrać do wyjazdu.

— Dokąd wyjeżdżasz?

— Sam nie wiem. Tutaj nie zostanę, albo się powieszę.

— Żona twoja zdrowa?

— Zapewne zdrowa. Nie wiem.

— Gdzież ona jest?

— Wyjechała do stryja w zeszłym tygodniu. Dziesięć dni temu!

— Puściłeś ptaka na stare gniazdo! Toś dobrze zrobił. A ludzie bają, że się dalej kłócicie.

Stankar ramionami ruszył.

— Co ludzie wiedzą. Wyjechała dziesięć dni temu i nie wróci. Zostałem sam — i mogę być wolny.

— Marzyłeś o tym. Ostatecznie takie pożycie było dla ciebie moralną śmiercią. Lepiej się stało, żeście się rozeszli. Dziecko przy niej?

— Tak — rzekł apatycznie.

— Coś taki kwaśny?

— Nie kwaśny — ale nieszczęśliwy! Tęsknię za nią. Profesor się uśmiechnął.

— Ejże — i wiersze do niej piszesz?

— Nie żartuj. Przegrałem życiową stawkę. Ona mnie nie kocha!

— No, czyniłeś co mogłeś, żeby do tego doprowadzić — to musisz sam przyznać.

Stankar nic nie odparł. Począł chodzić tu i tam po pracowni i bić się z myślami. Wreszcie stanął i rzekł:

— To prawda — winien byłem, ale się opamiętałem. Inny wstałem z choroby, gotówem był proch spod nóg jej zamiatać, służyć, dogadzać, przeprosiłem! A ona — głaz — jakbym się modlił do tego płótna. Co się stało?

— Co? rzecz bardzo prosta. Zabiłeś miłość!...

— To niemożliwe. I moja była umarła, a ożyła! Ona mnie tak szalenie kochała — wbrew wszystkiemu i wszystkim. Chyba kocha innego! Żebym wiedział!

— Dajże jej pokój! Kobieta tak znękana i zraniona, że jak od zmory broni się od miłości. Niech odpocznie i odżyje!

— Tak, a potem pokocha innego.

— Wątpię. Zresztą to twoja rzecz pilnować.

— Ale jak? Myślałem, że ją wzruszę ofiarą. Powiadam: jedź do stryja. Pojaśniały jej oczy, ale spytała tylko: a dziecko? Weź dziecko ze sobą — mówię — i czekam, że

mi się na szyję rzuci. A ona pokraśniała nieco i powiedziała: To możemy jutro jechać, stryj czeka! — Niewart jestem nawet podziękowania? — pytam. — Milczy. — Szkoda, że na prośbę nie czekał — dodaje. — Nie prosiłabym! — odpowiada. I dobrego słowa nie posłyszę? — Milczy! Mówię ci — głaz, drewno.

— Żeś się nie uniósł!

— Nie — miałem ochotę wyć i płakać! Ot, na co mi przyszło! I tak pojechała. Odprowadziłem na kolej — obiecała mi donosić o dziecku. I wiesz, gdy nie było trzy dni listu, chodziłem do tej wścieklej Zarebianki. Co ja nieszczęsny teraz zrobię. Chyba za nią pojedę — bo miejsca sobie znaleźć nie mogę.

— Oszalałeś! To będzie najgorsze.

— Kiedy ja takiego położenia nie zniosę!

— Musisz znieść, choćby czas jakiś. Daj jej przeboleć i zapomnieć. Jedź stąd, zajmij się pracą, zmusz się do pracy. Pisz do niej często, długo, serdecznie. Powoli rany się zabliznią, dziecko będzie między wami łącznikiem. Ale nie jedź, nie wspominaj praw i obowiązków — napisz jej, że nie wrócisz, aż cię sama nie wezwie! W ten sposób może ją odzyskasz — inaczej — nigdy.

— Powiadasz: może. — A jak się nie da przejednać?

— Ano, to przebolejesz! Zostanie ci sztuka, swoboda, sława — tyle pociech. W tej chwili cierpisz — bo kochasz, ale kiedyś się zastanowisz, że z was była jedna z milionów niedobrych par, które młody szal kojarzy. Jej trzeba cichych gajów i pól, żyje i żyć może bez ludzi i świata. Tobie trzeba właśnie tego świata i ludzi, ruchu tłumu, wrażeń, zmian. Możecie się pojednać, ale z ustępstwem nad siły — złamaniem życia któregoś z was. Minione wasze życie było dowodem, jakim kosztem opłacają się

take gwałcenia natury.

— Żeby uczucie, wszystko będzie łatwe!

— Frazes pusty — jak tysiące podobnych grzechotek. To dobre dzieciom do zabawy — ale nie dojrzałym ludziom. Przyroda jest mądra, tylko — w niej się słowiki nie kojarzą z orłami, ani nie owocują ananasy na jabłoniach.

— Ludzie się przecie różni łączą i żyją ze sobą.

— Ale jak, w to nikt nie wgląda. Marnują się z tej racji miliony talentów i charakterów, tylko o tym nekrologów nie piszą — i statystyki tej nikt nie prowadzi. Bądźże ty wyjątkiem. Jeśli ona sama do ciebie dobrowolnie nie wróci — nie pakuj słowika gwałtem do klatki, bo ci śpiewać nie będzie, ani sam — jeśliś orzeł, nie osiadaj w dolinach. Mniejsza, co tłum gadać będzie, życie raczej każde w swym świecie — niż macie zabić ducha dla dogodzenia gawiedzi.

Stankar milczał posepnie. Profesor czuł, że go ani przekonał, ani pocieszył, ale że mu poddał myśl, która mu często wracać będzie, i powstrzyma w danej chwili. Miał dosyć na ten raz triumfu — więc wstał i dodał:

— Bierz się, kolego, do pracy. Rozerwie cię to, a może zaimponujesz jej arcydziełami. Teraz jesień — masz zimę — umykaj do Włoch i twórz. Wiosną — zgłoś się do Monachium, do mnie. Pojadę tam, do tych gajów, gdzie słowik uleciał, i rozejrzę się, jak rzeczy stoją. Jeśli mej rady słuchać będziesz, to może wezmę cię tam ze sobą. Tymczasem bierz się do kartonów.

— Może, może! — powtórzył ponuro Stankar.

— Jak się ma do czynienia z wolnymi, dzikimi ptakami, kto powie inaczej — zakończył profesor, podając mu rękę na pożegnanie.